



Joe Alex

Powiem wam,
jak zginął



JOE ALEX

**POWIEM WAM, JAK
ZGINAŁ**

Warszawa 1959

Klitajmestra

Oto jestem. Zadany cios i czyn
spełniony.

Otwarcie i bez lęku powiem wam,
jak zginął.

Otuliłam go płótna płachtą, mocno
tkaną, jak siecią.

Nie mógł uciec ani się uchylić przed
ciosem.

Uderzyłam raz po raz, dwukrotnie,
a on krzyknął dwa razy i upadł

nieżywy.

A gdy leżał, zadałam trzeci cios:
ofiarny,

w podzięcie Zeusowi, władcy
państwa zmarłych...

Tak oto padł i zginął. Wówczas
dusza jego

ustami wytrysnęła razem z krwi
strumieniem

tak silnym, że mnie całą skropił jak
deszcz czarny.

I wstrząsnęła mną rozkosz jak ziemią
po deszczu,

gdy czuje nabrzmiewanie
kiełkujących nasion.

AJSCHYLOS - Oresteja

I. Przed uniesieniem kurtyny

Tego dnia Joe Alex skończył trzydzieści pięć lat, ale nie powiedział o tym nikomu i nawet niemal o tym zapomniał. Rano, kiedy spojrzał na kalendarz, przypomniały mu się dni dzieciństwa, tort, w którym co roku przybywała jedna nowa świeczka, twarze rodziców, zatarte kształty prezentów;

a potem przyszło nagłe, ostre wspomnienie dnia, kiedy lecąc nad chmurami ku płonącemu w dole miastu niemieckiemu, zobaczył pod słońce cień myśliwca z krzyżami na skrzydłach i pomyślał, że dziś ma urodziny i za chwilę może zginąć, dokładnie w rocznicę dnia, w którym przyszedł na świat. Ale to było przed laty. Od dawna unikał myśli o wszystkich osobistych świętach. Był sam na świecie i nic nie wskazywało na to, żeby ten stan rzeczy miał się kiedykolwiek zmienić. Tym bardziej dziś.

Mimowolnie spojrział na stojącą na kominku tacę. Leżały na niej dwa bilety

teatralne zaopatrzone w dzisiejszą datę. Chciał pójść z Karoliną na przedstawienie Makbeta. A chciał pójść z dwóch powodów. Po pierwsze, czuł od pewnego czasu, że jego przyjaźń z Karoliną słabnie. Znali się od dawna, może nawet od zbyt dawna. Karolina była ładna i kulturalna. Wiedział, że nie jest jej zupełnie obojętny. Odwiedziła jego mieszkanie po raz pierwszy przed rokiem. Potem spędzili tydzień nad morzem w Brighton. Więzy, które ich łączyły, były wiotkie, lekkie, może dlatego właśnie żadne z nich nie siliło się ich zerwać. Przez pewien czas było im nawet dobrze z sobą. Joe, będący już

w wieku, w którym instynkt daje chwilami znać człowiekowi, że powinien sobie znaleźć towarzyszkę życia, pomyślał nawet kilka razy przelotnie, że gdyby się chciał ożenić, osoba taka jak Karolina byłaby bardzo odpowiednia. Miły, czysty dom, ładna, opanowana pani tego domu, spokojna, pozbawiona wybojów droga życia. Tak, ale w życiu było chyba coś jeszcze, coś, czego nigdy dotąd nie zaznał. Miłość. A Karoliny nie kochał i sądził, że gdyby kiedykolwiek miał ją pokochać, było na to już dość czasu i sposobności.

Mimo to, kiedy ostatnio zaczął wyczuwać, że oddala się od niej coraz bardziej, uświadomił sobie, że go to

martwi. Wiedział równocześnie, że wystarczyłoby chcieć, wystarczyłoby zmusić się

do uwierzenia, że nie chce jej naprawdę stracić, aby została. Ale nie umiał wywołać w sobie tego uczucia. Stosował półśrodki. Takim właśnie półśrodkiem było wysłanie do niej kartki

z zaproszeniem do teatru na dzisiejszy wieczór. Gdzieś na tej kartce, pośród miłych, konwencjonalnych słów, powinien być tkwić wykrzyknik, może podkreślenie piórem. Ale tego nie umiał zrobić. I dlatego stał teraz, ubrany do wyjścia, smutny, ale równocześnie pełen niemiłej ulgi. Jeżeli

Karolina nie zadzwoni, to znaczy, że nie zadzwoni już chyba nigdy.

Drugim powodem, dla którego chciał pójść dziś do teatru, była chęć zobaczenia Sary Drummond, która grała rolę lady Macbeth. Ale i ten powód nie był jasny i prosty. Ani gra wielkiej aktorki,

ani trzy godziny spędzone oko w oko z nieśmiertelnym problemem ambicji i zdrady nie byłyby

go dziś zmusiły do wyjścia z domu. Po prostu musiał zobaczyć Sarę, bo był to jej ostatni występ londyński w tym roku, a on sam miał pojechać pojutrze rano do jej posiadłości, dokąd zaprosił

go Ian Drummond, mąż Sary. Nie chciał

znaleźć się pod jej dachem, przyznając równocześnie, że nie widział jej w tym roku na scenie. To byłoby nieprzyzwoite.

Ian, Alex i obecny inspektor Scotland Yardu, Ben Parker, byli w ciągu pięciu lat więcej niż przyjaciółmi. Stanowili część załogi bombowca, który wracając sponad jednego

z okupowanych portów francuskich spłonął, już nad Anglią, i runął na ziemię z wysokości sześciu tysięcy stóp. Z siedmiu znajdujących się w nim ludzi tylko trzech zdążyło wyskoczyć i rozwinąć spadochrony. Od tego czasu nie rozłączali się. Rozłączył ich dopiero

pokój. Drummond, który był młodym i bardzo zdolnym chemikiem, ale nie chciał w czasie wojny służyć krajowi poza frontem

i użył wówczas wszelkich protekcji, aby dostać się do lotnictwa i nie dać się wyreklamować

na powrót do „laboratorium, wrócił tam po zawieszeniu broni i szybko zdobył wielkie nazwisko

w świecie naukowym.

Alex został autorem powieści kryminalnych. Nie czuł żadnego powołania do tego zawodu,

ale wiedział, że po pięciu latach wojny nie potrafi już nigdy wrócić do biura, które opuścił jako dziewiętnastoletni

chłopiec, początkujący, dobrze ułożony, młodziutki urzędnik. Nic nie łączyło go już z tym chłopcem. Spróbował pisać i ku swemu zdumieniu zobaczył, że powieści jego są rozchwytywane. Na szczęście zbyt wiele czytał dobrych książek, aby ta dwuznaczna sława przewróciła mu w głowie. Mimo to starał się pisać swoje mroczne opowieści jak najlepiej.

To właśnie był jeszcze jeden powód jego złego samopoczucia dzisiejszego wieczoru. Mała, płaska maszyna Olivetti stała otwarta na stole, a na wkręconym w nią papierze widniały rozstrzelonym drukiem dwa słowa: Rozdział pierwszy.

I to było wszystko. Od dwóch

tygodni ta sama kartka tkwiła w maszynie. Od dwóch tygodni chodził po pokoju całymi godzinami, zbliżał się do stołu, siadał, a potem wstawał i znowu zaczynał krążyć od ściany do ściany. Wiedział dokładnie, jaka ma być ta książka, chociaż nie miał nawet jeszcze jej planu. Czuł, że pomysł jest świetny: zagadka postawiona przed czytelnikiem prosta

i niesłychanie jasna, a jednocześnie tak umieszczona w labiryncie pozorów, że do rozwiązania

jej będzie prowadziła tylko jedna jedyna wąska ścieżka, zaopatrzona uczciwie wszystkie konieczne drogowskazy, ale ukryta w mroku.

Westchnął. To, co czuł, nie miało żadnego znaczenia, skoro nie mógł zacząć. Może w cichym, okolonym starymi drzewami, wspartym o nadmorskie skały Sunshine Manor, otoczony dyskretną gościnnością Drummondów, będzie wreszcie mógł ruszyć z miejsca. Wiedział, że jeśli tylko potrafi zacząć, wszystko pójdzie dobrze.

Spojrzał na zegarek, a potem na milczący telefon. Jeżeli Karolina nie zadzwoni za pięć minut...

Telefon zadzwonił. Joe podniósł słuchawkę.

— Dobry wieczór — powiedziała Karolina.

— Dobry wieczór. Zacząłem się już

obawiać, że nie dostałaś mojej kartki.

— Dostałam... — w głosie Karoliny zabrzmiało nieuchwytnie wahanie. — Przykro mi, ale dzisiaj wyjeżdżam. — Znowu wahanie. Joe milczał. — Wyjeżdżam na długo. Dzwonię, żeby ci powiedzieć: do widzenia, Joe.

— Do widzenia, Karolino. Życzę ci dobrej podróży.

— Dziękuję... — Pauza. — Byłeś dla mnie bardzo miły, Joe. Mam nadzieję, że się jeszcze kiedyś spotkamy.

— Na pewno! — powiedział z uprzejmym przekonaniem.

Pauza.

— Do widzenia, Joe.

— Do widzenia, Karolinko.

Po drugiej stronie przewodu widełki opadły cicho, naciśnięte spokojną, małą dłonią.

Joe Alex z wolna opuścił słuchawkę, ale w chwili kiedy opadła, telefon znów zadzwieczał. Poderwał rękę.

— Słucham?

— To ty, Joe?

— Ja. To ty, Ben, prawda?

— Tak, oczywiście, to ja. Co robisz w tej chwili?

— Co robię? Powinienem być zmartwiony. Nie jestem zmartwiony i martwię się tym, że nie jestem zmartwiony. Rozumiesz?

— Rozumiem. Czy myślisz, że policjanci nie mają prywatnych

zmartwień?

— Nie jestem przekonany... —
mruknął Joe. — Może byś wpadł do
mnie? Właśnie idę do teatru i...

— To znaczy, że masz dwa bilety na
Macbetha i nie wiesz, co zrobić z
drugim.

— Mniej więcej... — powiedział
Joe i nagle zrozumiał. — Skąd wiesz, że
na Macbetha?

— Zgadłem po prostu.

— Hm..

— Co, hm?

— Nic. A czy chcesz pójść?

— Nie wiem. Jestem dzisiaj
samotnym policjantem — powiedział
Ben Parker. — Jestem policjantem

ubranym w jak najbardziej wieczorowy strój. Prawdę mówiąc, chciałem cię wyciągnąć z domu. Jest w East Endzie pewien dość ekskluzywny lokal, który wart byłby obejrzenia.

To znaczy, możemy połączyć przyjemne z pożytecznym. Ale to nic pilnego. Po prostu rutyna zawodowa. Lecz skoro masz bilety na Otella...

— Na Macbetha.

— Właśnie! Ta sztuka zdecydowanie mi odpowiada. Jest zbrodnia, są motywy i jest gruntowna analiza psychiki zbrodniarzy. Mógłbym niejedno do tego dopisać, gdybym umiał posługiwać się białym wierszem.

— Czy to znaczy, że chcesz pójść?

— Tak. Potem moglibyśmy wpaść gdzieś na kieliszek. Mam do ciebie niewielką prośbę.

— Prywatną?

— Nie.

— To ciekawe — powiedział Joe Alex. — Mamy dwadzieścia minut do rozpoczęcia przedstawienia, muszę jeszcze po drodze kupić kwiaty. Gdzie po ciebie podjechać.

— Nigdzie — brzmiała spokojna odpowiedź. — Jestem w barze naprzeciw twoich okien, a jeżeli odsłonisz firankę, zobaczysz przed tym barem czarny samochód. Za kierownicą siedzi pyzaty młody człowiek w szarym kapeluszu. Nazwisko jego brzmi Jones i

jest on sierżantem.

— To znaczy, że jesteś w tej chwili na służbie, prawda?

— Jestem tylko słabym człowiekiem — roześmiał się Parker.

Ale Joe znał go zbyt długo, aby nie wiedzieć, że Ben prędzej strzeliłby sobie w głowę ze służbowego pistoletu, niżby miał użyć służbowego samochodu dla prywatnych celów.

— Zaraz zejść! — odłożył słuchawkę, poprawił w lustrze włosy i wyszedł do przedpokoju po okrycie, rozmyślając nad tym, skąd Ben wie, że dziś chciał zobaczyć Macbetha, że Karolina

nie przyszła, że...

Otulił się szczelniej płaszczem, bo wieczór był chłodny. Odczuwał lekkie podniecenie.

Zły nastrój minął.

II. Ratujcie ich!

Wypełniona do ostatniego miejsca widownia trwała w absolutnej ciszy. Sara Drummond uniosła rękę ku oczom. W kręgu światła rzucanym przez umieszczony w górze niewidzialny reflektor wydawało się Alexowi, że naprawdę dostrzega na jej dłoni czerwoną plamę.

— To zapach krwi! — powiedziała

aktorka cicho i prawie spokojnie. —
Wszystkie pachnidła Arabii nie zmieniają
zapachu tej drobnej dłoni. Och!

Ostatni wykrzyknik był pełen
cichego zdziwienia i równocześnie tak
pełen szaleństwa, że Alex przetarł oczy.
Nigdy nawet nie przypuszczał, że można
zawrzeć całe tomy spraw
psychologicznych, całą mękę człowieka
i całe oddalenie szalonego mózgu od
świata w jednym kompletnie nic nie
znaczącym słowie, wypowiedzianym w
dodatku tak cicho, że gdyby nie zupełna
cisza w teatrze, nie dotarłoby ono chyba
do słuchaczy. Kątem oka spojrzął na
Parkera. Inspektor siedział pochylony
nieco ku przodowi, oczy miał

przymrużone, a na twarzy wyraz takiego skupienia, jak gdyby był uczonym obserwującym fenomen, od którego zależy los wszystkich jego badań. Mimo to wyczuł spojrzenie sąsiada i z wolna odwrócił głowę. Ze zdziwieniem Alex dostrzegł w jego oczach nie podziw, ale jak gdyby troskę.

Kiedy kurtyna opadła i nastąpiła mała przerwa przed rozpoczęciem ostatniego aktu, Parker trącił go lekko.

— Czy chcesz zostać do końca? Lady Macbeth już nie zobaczymy, a dalszy ciąg i tak znamy ze szkoły — uśmiechnął się leciuteńko. — Jestem tylko policjantem, ale wydaje mi się,

że dla pozostałych aktorów szkoda godziny naszego życia. To dziwne przedstawienie. Ta kobieta panuje nad wszystkim tak bardzo, że szczerze mówiąc, mniej mnie obchodzi jej mąż i jego losy.

— Dobrze — powiedział Joe. — Chodźmy.

Po kilkunastu minutach czarny samochód zatrzymał się przed jego domem. Inspektor ocknął się z zamyślenia.

— Mieliśmy przecież jechać do East Endu! Zapomniałem powiedzieć sierżantowi i dlatego odwiózł nas z powrotem. Ale może to nawet lepiej. Czy mogę o tej porze wpaść do ciebie

na chwilę?

— No pewnie! — powiedział Alex.

— Przecież ciągle jeszcze nie powiedziałaś mi tego, co chcesz powiedzieć.

— Ja? Tak. Oczywiście... — Parker zamilkł.

Winda miękko popłynęła w górę. Kiedy weszli, Alex wyciągnął z małej lodówki, ukrytej pomiędzy pełnymi książek półkami, dwie butelki i trzymając je w obu rękach pokazał inspektorowi.

— Koniak czy whisky?

— Whisky. Bez wody sodowej, jeżeli mogę prosić.

Usiedli. Alex nalał. Wypili w

milczeniu. Alex nalał powtórnie. Inspektor przecząco potrząsnął głową.

— Myślę — powiedział z troską w głosie — o tym, że jedziesz do Drummondów, żeby pisać. Nie chciałbym ci przeszkadzać w tym. Nie mam właściwie prawa.

— Ben — Joe wstał — rozumiem, że kiedy jest się znakomitym detektywem, człowiek nie może zachowywać się zupełnie tak samo jak, powiedzmy, nauczyciel greki albo właściciel sklepu z zabawkami. Ale jeżeli wolno mi prosić, to proszę, żebyś nie zachowywał się jak postać z drugorzędnej powieści kryminalnej.

— Idiota! — powiedział inspektor szczerze i rozłożył ręce. — Ja naprawdę bardzo się martwię i naprawdę nie wiem, co ci mam powiedzieć.

— Jeżeli zaczniesz mówić, dojdziemy w końcu do jakichś rezultatów. Tak mi się przynajmniej wydaje...

— Prawdopodobnie masz słuszność... — Inspektor wychylił szybko zawartość drugiej szklaneczki i znowu umilkł. Teraz Joe postanowił mu nie przerywać. Był naprawdę zaniepokojony. Mimo to jeszcze miał w oczach drobną, wyprostowaną sylwetkę kobiety na scenie. Wszystkie pachnidła

Arabii...

— Gdyby nie to, że Ian Drummond, ty i ja byliśmy kiedyś przyjaciółmi i, jak myślę, jesteśmy nimi nadal, nigdy bym do ciebie z tym nie przyszedł — zaczął Parker. — To, co ci powiem, jest tajemnicą służbową. No, niezupełnie może, bo uzyskałem zgodę moich zwierzchników, aby mówić z tobą na ten temat... — Znowu urwał. Alex milczał nadal. — Nie wiem, czy mam słuszność, ale wydaje mi się, że Ian jest w niebezpieczeństwie... — powiedział wreszcie inspektor. — W dużym niebezpieczeństwie, nie mniejszym może niż wtedy, kiedy razem z nami latał nad

Niemcami. Może nawet w większym, powiedziałbym, bo wtedy wiedzieliśmy, co nam grozi. Byliśmy uzbrojeni, czujni, wyszkoleni w zwalczaniu tego niebezpieczeństwa i mieliśmy tyle samo szans, co atakujący nas myśliwiec. Teraz jest inaczej.

Głowa Sary Drummond zniknęła z wyobraźni Alexa i na jej miejsce pojawiła się roześmiana twarz w oficerskiej, nasuniętej na bakier czapce. Taki był Ian wtedy. Niewiele się zmienił. Utył może trochę, ale ciągle wyglądał jak chłopak. Duży, genialny chłopak o uśmiechu, który rozbrajał wszystkich i nic dziwnego, że rozbroił także największą aktorkę Wielkiej

Brytanii.

— Jak to? Ian?

— Tak. Jak wiesz, Ian jest chemikiem. Wiesz także, że zrobił to, co w innych zawodach nazywałoby się wielką karierą. Wśród uczonych nie używa się tego określenia. Ale Ian jest światową znakomitością w dziedzinie tworzyw syntetycznych. On i jego najbliższy współpracownik, Harold Sparrow, pracują w tej chwili nad syntezą siarki. Nie umiem powiedzieć o tej sprawie zbyt wiele, bo nie jestem specjalistą. Zresztą ty też nie jesteś. Ważne jest to, że ich badania mogą przynieść prawdziwą rewelację w sensie

przemysłowym. Jeżeli to, nad czym pracują, przyniesie owoce, sprawa stosowania mas plastycznych rozrośnie się w krótkim czasie niesłychanie. Od syntetycznych tanich domków do leciutkich kuloodpornych pancerzy dla czołgów i absolutnie odpornych na wzrost temperatury kadłubów samolotów naddźwiękowych. Powtarzam ci tylko to, co usłyszałem. Oczywiście, jest to więcej niż tajemnica wojskowa... chociaż okazuje się, że zna ją zbyt wiele osób.

— Rozumiem.

— Myślę, że trochę już rozumiesz. I Drummond, i Sparrow są nie tylko naukowcami,

ale i ludźmi interesu. Chociaż przeprowadzają badania pod wysokim protektoratem jednego z naszych na pół rządowych koncernów, nie zwierzają się nikomu. Mimo to sprawa wypląnęła na zewnątrz.

— Skąd wiesz?

— Stąd... — powiedział inspektor i wyciągnął z zewnętrznej kieszeni marynarki kopertę. — Wiedziałem, że o to zapytasz. Chcę ci to pokazać. Jeżeli tajemnica jest znana komuś zupełnie obcemu, nie ma powodu, żeby jej nie powierzyć tobie. Zresztą muszę ci zaufać.

Podał Alexowi list. Joe wyjął z

koperty niewielką, zwykłą kartkę, pokrytą maszynowym pismem, i zaczął czytać półgłosem:

Do Scotland Yardu

Panu Ianowi Drummond i panu Haroldowi Sparrow grozi niebezpieczeństwo. Chodzi o ich badania. Są komuś bardzo potrzebne. Próbowano kupić. Teraz będą próbowali ich zmusić do milczenia. To straszne. Ratujcie ich!

Przyjaciel Anglii

Alex roześmiał się.

— To brzmi jak list napisany przez wariata, który przeczytał za wiele

komiksów — powiedział szczerze. — Nie tak wyobrażam sobie ostrzeżenie serio. Dostajecie chyba codziennie setki takich listów. Na pewno grożą, że zabiją królową albo wysadza parlament, albo podłożą bombę pod obcą ambasadę. Takich maniaków są setki, może nawet tysiące. Nie. Nie przejmowałbym się tym.

— I ja nie — powiedział inspektor — gdyby nie kilka punktów, które to wykluczają.

Po pierwsze: maniak, który by wiedział, na przykład, że dziś w nocy mamy wypróbować latającą łódź podwodną, byłby nie tylko maniakiem, gdyby termin był prawdziwy, a sprawę tej łodzi

otoczono ścisłą tajemnicą.

— Chcesz powiedzieć, że zastanawia cię, skąd autor tego listu wie o pracy Drummonda i Sparrowa, tak?

— Tak. Po drugie, wie on także, że były próby pertraktacji z obu uczonymi. Prowadzili je przedstawiciele pewnego bardzo z nami zaprzyjaźnionego mocarstwa, które interesuje się, oczywiście, rozwojem wiedzy o tworzywach sztucznych. Próby penetracji były bardzo ogólnikowe i wydawało się, że tamci raczej coś zwęszyli, ale nie mają żadnej pewności, co właściwie nasi uczeni kryją w rękawie. Przedsięwzięliśmy jak najdalej

idące środki ostrożności, bo chociaż przyjaźń międzynarodowa i pakt wiekuistej przyjaźni to rzeczy chwalebne, ale sprawa dotyczy pierwszeństwa na rynkach całego świata i olbrzymich sum patentowych. Kiedy się widziało

w życiu to, co ja widziałem, wie się, że życie ludzkie jest tylko jedną z cyfr w równaniu. Niekiedy równanie wymaga, by ta cyfra była najważniejsza, wtedy człowiek staje się bezcenny. Ale kiedy indziej równanie nie wychodzi bez skreślenia tej cyfry i człowiek zostaje zmazany z tablicy

tak dokładnie, jakby go na niej nigdy przedtem nie było. Nie chciałbym... nie

chcielibyśmy,
żeby Drummond i Sparrow zostali
zmasani z tej tablicy tylko dlatego, że
mocarstwo, będące naszym wielkim
przyjacielem, posiada gałęzie
przemysłu, które nie znoszą konkurencji.
Ten list byłby może listem maniaka.
Niestety, zawiera on zbyt wiele prawdy.
Poza tym, i to jest trzeci punkt, który
mnie niepokoi i każe traktować go
poważnie: autor listu wie, że Drummond
i Sparrow współpracują z sobą. Mało
tego, wie, że praca ich w tym stadium, w
jakim się znajduje, może zejść do grobu
razem z nimi.

— Nie chcesz mi chyba powiedzieć,
że na porządku dziennym jest zabijanie

uczonych obcych krajów tylko dlatego, że mają jakiś dobry pomysł? Tych rzeczy się nie robi.

— Masz słuszość i nie masz słuszości. Trudno określić, jaki skutek wywrą prace obu naszych uczonych na ukształtowanie się rynku. Mogą przecież doprowadzić do ruiny tych, którzy będą musieli, siłą rzeczy, posługiwać się innymi metodami, bardziej przestarzałymi. Mogą uderzyć w producentów stali, w przemysł hutniczy, czy ja wiem zresztą, w co? Nie wiem. Jedno tu jest tylko trochę niejasne...

— Co? — zapytał Alex.

— To mianowicie, że w takich

wypadkach zabijanie ludzi jest, jak mi się wydaje, zupełną ostatecznością. Z tego listu wynika, że jakieś bardzo potężne siły wiedzą o badaniach Drummonda

i Sparrowa i chcą ich unieszkodliwić. Otóż jest to trochę sprzeczne z logiką.

— Dlaczego?

— Bo genialnych ludzi nie zabija się jak muchy. Nawet gdyby badania ich mogły spowodować rzewrót w przemyśle, to zawsze chce się ich najpierw kupić, zneutralizować, wykorzystać

dla siebie. Przecież przedstawiają oni ogromną wartość dla każdego, kto ich wykorzysta. Umarli znaczą tylko tyle, co

dwaj umarli urzędnicy. A tych prób, tych zabiegów, tej penetracji, jak dotąd, ani jeden, ani drugi nie odczuł. Poza tym, mówiąc szczerze, ma to trochę fantastyczny posmak.

I gdyby nie...

— Gdyby nie fakt, że autor listu zdaje się stać blisko tych spraw, nie przejmowałbyś się tym?

— Mniej więcej. Jest w tym wszystkim coś niejasnego, coś, co wymagałoby wytłumaczenia. Nawet jeżeli wyobrazimy sobie mocarstwo czy koncern zagrożone badaniami Drummonda

i Sparrowa, to taki niczym jeszcze nie sprowokowany zamach na nich w

drugiej połowie dwudziestego wieku jest trochę nieprawdopodobny. Przecież nie wiadomo nawet, w jakim stopniu i o ile ich prace są ważne. My przypuszczamy, że są. Obaj badacze wierzą w to, ale mam informacje, że praca ich nie jest jeszcze zakończona, że istnieje szereg trudności, a w końcu byłoby nonsensem zakładać, że fabrykanci lamp naftowych powinni byli zamordować Edisona, kiedy wynalazł żarówkę elektryczną, a producenci salwarsanu zabić Flemminga, kiedy ogłosił odkrycie penicyliny. Przemysł nie broni się przecież przed postępem technicznym, chce go raczej wykorzystać dla siebie.

— Więc?

— A, ba! Czy ja wiem? W końcu wszystko jest możliwe. Nie wiemy o autorze tego listu niczego poza tym, że napisał go na małym, walizkowym Remingtonie i wrzucił do skrzynki w Londynie. Oficjalnie nie przykładamy zbyt wielkiej wagi do tego rodzaju listów. Ale kiedy chodzi o naszych najwybitniejszych uczonych, nie wolno niczego lekceważyć. Tym bardziej gdy list posiada cechy, o których już mówiliśmy.

— Dobrze — powiedział Alex i mimo woli uśmiechnął się. — To znaczy, że nic im chyba nie grozi, ale jeżeli któregoś dnia

zostaną obaj znaleźieni w swoich łóżkach z wielką porcją arszeniku w żołądkach, wówczas Scotland Yard nie będzie się dziwił.

— Przeciwnie, będzie się dziwił! — Parker, wstał. — Będzie, bo do zadań Scotland Yardu należy między innymi, aby obywatele tego kraju nie byli przed snem karmieni arszenikiem. Słuchaj, Joe — podszedł do przyjaciela i położył mu rękę na ramieniu — będę z tobą zupełnie szczery teraz.

— A więc nie byłeś do tej pory?

— Byłem, Ale niezupełnie. Ten list nadszedł do nas przed dwoma tygodniami. Zrobiliśmy od tego czasu wszystko, co robi się

zwykle w takich sprawach. Rozmawialiśmy z obu uczonymi, oczywiście bardzo delikatnie, i otoczyliśmy Sunshine Manor dyskretną opieką. Na szczęście, posiadłość jest oddalona od większych skupisk ludzkich i nietrudno bez zwracania na siebie uwagi kontrolować ruch obcych w okolicy. Niestety, na moją propozycję, aby umieszczono w domu jednego z naszych ludzi, Drummond odpowiedział zdecydowanie odmownie. Trzeba przyznać,

że ani on, ani Sparrow nie przejęli się w ogóle tym listem. I tu właśnie...

— Zaczyna się moja rola?

— Tak. — Parker usiadł i nalał

sobie whisky, ale odstawił szklaneczkę i spojrzał niemal wesoło na stojącego przed nim gospodarza. — Oczywiście... hm... uzyskałem pozwolenie wglądu w korespondencję domowników Sunshine Manor. Przed tygodniem przeczytałem list, w którym Ian zaprasza cię do siebie, a trzy dni temu twoją odpowiedź, w której dziękujesz za zaproszenie i oświadczasz, że pojutrze przyjedziesz tam na dwa tygodnie.

— Hm.. — powiedział Alex. — Zważywszy, że prawa naszego kraju zabraniają władzom ingerencji w prywatne życie obywateli i zapewniają, między innymi, tajemnicę

korespondencji...

— Istnieje u nas paragraf dotyczący dobra publicznego. W pewnych specjalnych

i umotywowanych wypadkach może on być stosowany. Wydawało nam się, że jest to właśnie jeden z tych wypadków, a Home Office uznało to za słuszne. Czytałem więc te listy, jak by to powiedzieć, w imieniu Jej Królewskiej Mości. Oczywiście, gdyby nie fakt, że uratowałeś mi kilka razy życie...

— A ty mnie!

— Nie o to chodzi. — Inspektor machnął ręką. — Gdyby nie fakt, że uratowałeś mi kilka razy życie, że razem

wykonaliliśmy w czasie wojny kilka ściśle tajnych zadań lotniczych, że wreszcie osobiście zaręczyłem, że ufam ci tak, jak sobie samemu, nigdy byś się o tym nie dowiedział.

— Rozumiem. — Alex usiadł, nalał whisky i umoczył usta w szklaneczce. — Chcesz, żebym znalazł się w Sunshine Manor jako twoje nieoficjalne ucho i oko. Ale czy potrafię nim być?

— Nie wiem. Nie proszę cię o nic nadzwyczajnego. Szczerze mówiąc, rozmawiałem z Ianem kilka dni temu i, oczywiście, zaprosił mnie jak najserdeczniej, wzmiankując, że napisał także do ciebie. Bardzo się cieszy na myśl o

tym, że usiądziemy wszyscy trzej przy kominku

i przypomnimy sobie stare dzieje. Oczywiście zdaje on sobie sprawę, że będę tam po trosze służbowo, ale sądząc z rozmowy z nim, jestem jedynym policjantem, którego chciałby tolerować pod swoim dachem. Niestety, będę mógł przyjechać tam dopiero w przyszłym tygodniu, bo kilka spraw zatrzymuje mnie w Londynie. A sądząc z tego zwariowanego listu, niebezpieczeństwo, które grozi naszym uczonym, jest bliskie, o ile w ogóle mamy się z nim liczyć. Z samego rytmu zdań wynika, że autor wie o czymś, co wisi w powietrzu. Chcę od ciebie dwóch rzeczy:

po pierwsze, jesteś dorosłym, wysportowanym mężczyzną i przyjacielem Iana, więc po wtajemniczeniu w całą sprawę staniesz się naszym sojusznikiem, który będąc na miejscu, może w jakimś nie znanym mi krytycznym momencie zapobiec czemuś, czego także nie umiem określić. Po drugie, chciałbym, żebyś jako jeden z gości zorientował się w sytuacji. W Sunshine Manor znajduje się w tej chwili sześć osób, prócz służby. To znaczy w tej chwili znajduje się tam pięć osób, ale Sara Drummond, którą podziwialiśmy dzisiaj, zakończyła właśnie występy i pojedzie do męża na kilkutygodniowy wypoczynek. Poza tym

jest tam Sparrow i jego żona Lucja...

— Czy mieszkają tam?

— Nie. To znaczy Sparrow nieomal mieszka, bo urządzili sobie wraz z Drummondem prywatne laboratorium w Sunshine Manor i spędzają tam większą część roku. Lucja Sparrow jest chirurgiem.

— Ach! — Alex gwizdnął cicho przez zęby. — To ona! Lucy Sparrow! „Najpiękniejszy chirurg Wysp Brytyjskich!” Ian nie mówił mi, że to żona Sparrowa.

— Widocznie zapomniał. Znasz uczonych. Otóż piękna Lucy jest tam teraz także i pozostanie kilka tygodni dojeżdżając raz na tydzień do Londynu.

Sądząc z tego, co wiem, powinna bywać nawet częściej w Sunshine Manor...

— Czy masz na myśli bezpieczeństwo jej męża?

— Można by to nazwać i tak... — Parker uśmiechnął się. — Może to tylko plotka, jedna z tych, które podobnych okolicznościach Scotland Yard musi znać, a która nie ma specjalnego znaczenia. Mimo to chcę, żebyś jadąc tam wiedział jak najwięcej. Otóż, o ile wiem, Sparrow jest, jak by to powiedzieć, pod wielkim urokiem żony swego przyjaciela, a naszej niezapomnianej gwiazdy dzisiejszego przedstawienia.

— Czy chcesz przez to powiedzieć,

że za plecami Iana jego żona i współpracownik...

— Nie wiem. Może to nie jest zupełnie tak. Może Sara po prostu musi podporządkować sobie wszystkich mężczyzn, którzy wejdą w jej orbitę. A może właśnie to, że żona Sparrowa jest tak wielką piękną, spowodowało, że chciała spróbować swych sił przeciwko niej. W każdym razie podczas przeczesywania życiorysów tej grupki ludzi natknąłem się na jakąś nikomu z ich bliskich nie znaną wycieczkę autem we dwoje, na jakieś spotkanie w Szkocji i jeszcze na dwa czy trzy mniej znaczące fakty, które wskazywałyby na przyjaźń nieco bardziej gorącą, niż jest

to ogólnie przyjęte w stosunku do kolegów męża. Ale to było w zeszłym roku. Czy sytuacja taka trwa nadal albo czy znaczy ona wiele w życiu tego małego społeczeństwa, nie wiem. Bywa i tak,

że dwoje ludzi może być nagle pociągniętych ku sobie, wbrew wszelkim oficjalnym więzom, a potem oddalają się od siebie i nie pozostawia to żadnego śladu w ich psychice. Jeżeli chodzi o Sarę Drummond, to jej życiorys jest dość bujny, chociaż nigdy nie przekroczyła granicy skandalu. To, o czym ci mówię, jest raczej własnością Scotland Yardu, a nie ogółu. Myślę,

że ani Drummond, ani Lucja nie mają pojęcia o tym, że tamci przeżyli kiedyś, taką przygodę.

Co prawda, Sparrow jest człowiekiem uczciwym i solidnym, więc dla niego musiało to być wielkie przeżycie. Nie myślę o tym, co przeżywał z Sarą Drummond, ale raczej o tym, co przeżywał, sprzeniewierzając się przyjaźni, koleżeństwu, żonie i tak dalej. Nie należy on do ludzi, którzy swobodnie mogą mieszkać pod czyimś dachem i uwodzić żonę gospodarza.

— A jednak?

— Właśnie. Dlatego przypuszczam, że jego sytuacja musiała być trudna, a może jest taka nadal. Jeżeli mimo to

sprawa nie pociągnęła za sobą żadnych konsekwencji i pozostała w tajemnicy, należy to zapewne przypisać Sarze, która na swój sposób kocha naszego przyjaciela Iana i nigdy by go nie rzuciła. To ona musiała pokierować Sparrowem i zmusić go do ukrycia wszystkiego i dalszej współpracy z Drummondem, jak gdyby nic się nie stało. Ale są to jedynie moje przypuszczenia. Mogę się w ogóle mylić. Te spotkania ich mogły być bardziej niewinne, niż na to wskazują moje informacje. Ludzie mają skłonność do wyolbrzymiania tych spraw...

— Biedny Ian... — westchnął Alex.
— Ale to jednak genialna aktorka. Nie

wiem, czy mam słuszność, lecz umiałbym ją rozgrzeszyć z takich słabości.

— Nie wiem, czy Ian byłby tego samego zdania, a jeśli mowa o Lucji Sparrow, to i ją można nazwać wielką indywidualnością. Fakt, że tak piękna kobieta została tak znakomitym chirurgiem, też nie da się łatwo wytłumaczyć. Wydawałoby się, że te śliczne dziewczyny mają do dyspozycji tysiące innych zajęć w życiu, przynajmniej do chwili, póki nie zwiędnie ich uroda.

— Ciekawe towarzystwo... — mruknął Alex. — A któż tam jeszcze przebywa, jeżeli skończyłeś już

wylewać błoto na żony naszych przyjaciół?

— Jest tam jeszcze sekretarz obu uczonych. Nie jest on właściwie sekretarzem, ale także chemikiem, młodym i bardzo zdolnym uczniem Drummonda. Może właściwsza nazwa dla niego byłaby: asystent. Nazywa się Filip Davis, ma lat dwadzieścia osiem, matkę i dwoje rodzeństwa, jest bardzo przystojny i po uszy zakochany w Lucji Sparrow.

— O, wielki Boże! — westchnął Alex. — Kiedyż ci ludzie dokonują swych wiekopomnych odkryć, jeżeli przez cały czas zajęci są zupełnie czym innym?

— Widocznie umieją łączyć przyjemne z pożytecznym. O ile mogłem stwierdzić, Lucja Sparrow nie wie nawet o gwałtownym uczuciu asystenta swego męża. Znam je z jego listu do matki. Mówi o swojej cichej, beznadziejnej miłości.

— To już lepiej. — Joe Alex wypił swoją whisky. — Odzyskuję wiarę w społeczeństwo. Młode pokolenie nie jest cyniczne. Co dalej? Kto jeszcze?

— Poza tym przebywa tam, zaproszony przez Iana jeszcze zimą, profesor Robert Hastings z uniwersytetu Pensylwania w USA. Przyjechał przed tygodniem i zamierza pojutrze odjechać. Ma już zarezerwowany bilet na samolot

do Nowego Jorku. Jest to uczony wielkiej miary o zainteresowaniach zbliżonych do zainteresowań naszych badaczy.

— Czy myślę się, czy też mając na myśli zaprzyjaźnione z nami mocarstwo, które mogłoby ponieść wielkie straty na skutek badań Drummonda i Sparrowa, miałeś na myśli Stany Zjednoczone?

Parker rozłożył ręce.

— Gdybyś pracował na oficjalnym stanowisku, a nie był gardzącym polityką autorem kryminalnych romansów, wiedziałbyś, że zadawanie takich pytań jest nie na miejscu. Nie jestem upoważniony do niedyskrecji na ten temat. — Uśmiechnął się. — W

każdym razie byłbym ci wdzięczny, gdybyś umiał sobie pozyskać sympatię tego miłego pana.

— Nie jesteś zupełnie pewien, czy przyjechał do Sunshine Manor tylko dla odpoczynku?

— W moim zawodzie pewność uzyskuje się wyłącznie drogą bardzo żmudnych dochodzeń i wielostronnych dowodów. Tam gdzie nie ma tych dowodów, nie ma także pewności, Joe.

Jeżeli jesteś pisarzem z wyobraźnią, nie żądaj ode mnie dalszego zagłębiania się w rozmowę o tym człowieku, który może okazać się dla ciebie przedmiotem interesującego studium

psychologicznego. Byłoby ciekawe, gdyby udało ci się poznać chociażby część jego cennych myśli. Pan profesor Robert Hastings jest sławnym człowiekiem. Chciałbym, żebyś odnalazł w sobie słabość do sławnych ludzi.

— Rozumiem. I to już wszyscy?

— Wszyscy, nie licząc służby. Ale służba na razie nie wchodzi w grę. Jest tam nasz stary znajomy Malachi, a poza tym dwie miejscowe kobiety. Obie poza wszelkimi podejrzeniami, jak mi się wydaje.

Joe Alex westchnął.

— Wybierałem się do Sunshine Manor, żeby napisać książkę — powiedział bezradnie. — Chciałem

spokoju ukojenia nerwów, zerwałem dzisiaj z kobietą...

— Z panią Karoliną Beacon, wiem. Jutro zamieszka ona w Torquay, w hotelu „Excelsior”.

— O Boże! Więc i mnie szpiegujesz?

— Skądże! Po prostu, kiedy otrzymałeś zaproszę: do Iana, musiałem przejrzeć listę twoich znajomych. Mógłbyś przecież, nie wiedząc o niczym, dać się wykorzystać w jakimś celu, którego byś nie zrozumiał. To nie był brak zaufania do ciebie. Ale jeżeli ten anonim zawiera choć słowo prawdy, to tamci, kimkolwiek oni są, także przecież musieli postarać się o

przejrzenie życiorysu Iana i listy jego przyjaciół. Chodzi im może o kontakt z nim, o przeszmurowanie swojego człowieka do jego otoczenia, o zebranie informacji o jego życiu. Nikt cię o niego nie wypytywał?

— Nie — Alex potrząsnął głową. — Nikt, nigdy... — Zastanowił się. — Nie, na pewno nie.

— Właśnie. — Parker wstał. — To ciekawe, że żaden przyjaciel Drummonda albo Sparrowa ani nikt z ich dalszej rodziny nie stał się celem badań tych, którzy mogliby im zaszkodzić. Sprawdziłem to dosyć dokładnie, bo od tego miejsca mogłyby się zacząć nici prowadzące

do ewentualnego kłębka. Ale nic takiego się nie dzieje. Trzeba przyznać, że przeciwnik, o ile istnieje, jest bardzo przebiegły. Dlatego każda informacja będzie dla nas bezcenna.

— Ale czy ja...

— Czytuję przecież te twoje książki. Jest w nich spostrzegawczość i zmysł matematyczny. Często są bardziej podobne do życia, niż ci się wydaje. Poza tym jesteś przecież rozgarniętym chłopcem, który trochę przeżył. A w końcu chodzi o Iana. To na pewno nie jest chwila, w której jego przyjaciele powinni zlekceważyć grożące mu niebezpieczeństwo, nawet jeżeli są

szansę,

że jest ono tylko wytworem czyjejś wyobraźni. Mój telefon domowy masz zapisany u siebie, prawda?

— Tak.

Inspektor wyciągnął z kieszeni kartkę papieru.

— Tu masz mój numer w Yardzie, a ten drugi, to numer posterunku policji w Malisborough.

O ile pamiętam, jest to nieduże miasteczko odległe o dwie mile od posiadłości Drummondów. Jeżeli powiesz im, że chcesz ze mną rozmawiać, natychmiast cię połączą. Znajdą mnie od razu, bo wiedzą, gdzie mnie szukać. A za

tydzień ja sam wpadnę na parę dni do Sunshine Manor. Wymogłem na Ianie, żeby nikomu nie mówił o moim zawodzie. Przyjadę jako jego kolega z czasów wojny. Zresztą stary Malachi zna i ciebie, i mnie z tamtych czasów. Ty też o tym będziesz musiał pamiętać.

— To nie będzie trudne — powiedział Alex. — Przynajmniej to jedno nie będzie trudne.

Odprowadził gościa do windy, a potem podszedł do okna i zobaczył pośród nocy czarny samochód oddalający się cicho wymarłą, jasno oświetloną ulicą.

III. Dziecko na szosie

Przytłumiony podwójną szybą zamkniętego okna szum motoru i miękki syk opon na mokrym asfalcie oddalił się i przygasł. Na dachy Londynu spadał z czarnego nieba drobny, bezgłośny deszcz. Joe Alex przymknął oczy. W pokoju było teraz cicho, tak cicho, że usłyszał własny spokojny oddech, i na chwilę zastygł w napiętym oczekiwaniu, bo wydało mu się, że oddech ten należy do kogoś stojącego za jego plecami. Ale po sekundzie zrozumiał swoją omyłkę, roześmiał się, opuścił firankę i z wolna podszedł do stolika. Stojąc, nalał sobie jeszcze jedną szklaneczkę

i opadł na miękki fotel. Przez chwilę siedział pogrążony w myślach, potem podniósł szklaneczkę do ust i nie zdając sobie zupełnie sprawy z tego, co robi, odstawił ją nie tkniętą na tacę.

— Wyobraźnia! — powiedział półgłosem, starając się włożyć w to jedno jedyne słowo jak najwięcej pogardy. — Wystarczy, żeby twój stary przyjaciel, który przypadkowo jest policjantem, poprosił cię o drobną przysługę i powiedział przy okazji parę słów o swojej pracy, pokazując równocześnie kartkę napisaną na maszynie Remington przez jednego z tysięcy nieszkodliwych wariatów, którzy

co dnia wrzucają takie i tym podobne listy do skrzynek pocztowych, jak Anglia długa i szeroka — a oto natychmiast twoja wyobraźnia zaczyna budować obrazy najbliższej przyszłości, pełne krwi i trupów, z których najciekawszym jest twój drugi przyjaciel, towarzysz broni i jeden z najszlachetniejszych ludzi, jakich udało ci się poznać. A mimo wszystko tęskni w tobie coś za tym. Pragniesz, żeby po twoim przyjeździe do Sunshine Manor zaczęły się tam dziać rzeczy okropne, w których odegrałbyś decydującą, bohaterską rolę. Bądźmy szczerzy, chciałbyś, żeby tamci, kimkolwiek są, ruszyli do ataku i żebyś ty ocalił obu badaczy

i zasłużył na podziw wszystkich obecnych, nie wyłączając Sary Drummond, o której nie przestajesz myśleć już od paru godzin, to znaczy od chwili, kiedy zobaczywszy ją na scenie zrozumiałeś, że już pojutrze spotkasz ją w ślicznym starym dworku, otoczonym romantycznym parkiem. Chciałbyś stać się w jej oczach bohaterem i dlatego wyobraźnia twoja w tej chwili odsłania ci obraz postaci skradających się nocą przez oświetlony księżycem park. Uciekają z planami wynalazków Drummonda i Sparrowa. A to właśnie ty zabiegasz im drogę. Błyskają ogniki wystrzałów,

budzą się przerażone ptaki, ludzie-cienie walczą w milczeniu na śmierć i życie, słysząc okrzyk bólu. Przez oświetlony księżycem klomb powraca do pałacu jeden człowiek.

Jest pokrwawiony, ubranie ma w strzępach, włosy w nieładzie. Ale niesie odzyskaną teczkę z bezcennymi rękopisami. Ten człowiek to ty. Wchodzisz w krąg światła. Oni (a przede wszystkim ona) patrzą na ciebie. Zmęczony opierasz się plecami o ścianę i wyciągasz przed siebie teczkę. — Mam ją... — mówisz skromnie i w tych dwóch słowach zawierasz całe swoje bohaterstwo, bo wszyscy widzą i rozumieją, co się

musiało dziać przed chwilą w mrocznym parku. A kiedy już wypełniłeś swój obowiązek, przybywa spóźniona policja, wpada Ben Parker ze swoimi ludźmi, a ciebie dopiero wtedy opuszczają siły. Słaniasz się. Podtrzymują cię i jakaś drobna dłoń podsuwa ci kieliszek whisky. Drobna dłoń... Wszystkie pachnidła Arabii...

Roześmiał się na głos i spojrzał w róg pokoju, gdzie stała otwarta maszyna do pisania ze swoją nieśmiertelną kartką i napisem: Rozdział pierwszy.

— Właśnie! — Rozdział pierwszy! Zamiast marzyć o tych wszystkich głupstwach, powinieneś je zrećcznie umieścić tam, w twojej

nowej książce, która ciągle czeka na to, żebyś ją napisał.

Ale ja wiem, dlaczego nie możesz jej zacząć. Wszystkiemu winna jest Karolina. Tak, bądźmy z sobą szczerzy. Jesteśmy przecież sami w tym pokoju: ja z sobą. Czy kocham Karolinę?

Zastanawiał się przez krótką chwilę i potrząsnął głową.

— Nie. Chyba nie. Nie kocham Karoliny. Nigdy jej nie kochałem i pewnie nigdy jej nie pokocham. Nie będę zresztą już miał okazji. Ale żał mi jej. Żał mi siebie. Żał mi mojego przemijającego bezsensownie życia. Skończyłem dziś

trzydzieści pięć lat i w ciągu tych trzydziestu pięciu lat nie stało się nic, co by usprawiedliwiło moje istnienie na ziemi. No, może wojna.

Wtedy wiedziałem, że jestem potrzebny. Broniełem przed zagładą kraju, w którym się urodziłem, i sposobu życia, który jest mi bliski. Ale kiedy obroniliśmy wreszcie Anglię, straciłem sens w dniu, w którym zdjąłem mundur. I od tej chwili nie umiem, odnaleźć tego sensu. Może gdyby Karolina?... Moglibyśmy mieć dziecko, dwoje dzieci. Żyłbym dla nich. To by już było wiele. Bardzo wiele. A ten dom nie byłby nigdy taki pusty jak w tej chwili. Nie jestem tego zupełnie pewien, ale

gdyby zadzwoniła teraz...

Spojrzał na telefon. I znowu, jak gdyby wypadki tej nocy posiadały nieuchronną celowość, której człowiek nie jest w stanie się przeciwstawić, telefon zadzwonił.

Alex poderwał się z miejsca i przez chwilę stał nieruchomo, jak gdyby szukając słów, które musi powiedzieć Karolinie. Telefon zadzwonił po raz drugi. Szybko ujął słuchawkę i czując przyśpieszone bicie serca, powiedział:

— Słucham. Tu Alex.

— Dobry wieczór...

Nie. Karolina nie rozmyśliła się. Głos był kobiecy niski i bardzo melodyjny. Wydał

mu się znajomy, chociaż nie mógł go sobie skojarzyć z żadnymi znanymi rysami twarzy.

— Proszę wybaczyć, że dzwonię tak późno, ale po przedstawieniu byłam na kolacji z kolegami i dopiero teraz wróciłam do domu. Dziękuję za róże. Są śliczne.

— Czy to pani Sara Drummond? — zapytał, chociaż wiedział już, że to ona, i pytanie wydało mu się głupie.

— Tak, i dzwonię do pana nie tylko dlatego, żeby podziękować za kwiaty. Zastałam właśnie depeszę od Iana. Pisze, że wybiera się pan do nas. Kiedy?

— Chcę wyruszyć pojutrze rano.

— Właśnie, Ian pisze: „Zatelefonuj do niego. Jeżeli może wyjechać dzień wcześniej, zabierz go z sobą”. Więc telefonuję i chcę pana zabrać z sobą.

I znowu Joe chciał powiedzieć coś błyskotliwego, ale stwierdził, że ma absolutną pustkę w głowie.

— To bardzo miłe. Dziękuję bardzo...

— Więc? — zapytał niski głos. — Gotowa jestem podjechać po pana nawet o dziewiątej rano.

Alex wahał się przez krótką chwilę. Nic go nie wiązało z Londynem. Jeżeli napisał do Iana,

że przyjedzie pojutrze, to tylko dlatego, że jakąś datę musiał przecież podać.

— Nie chciałbym pani sprawiać kłopotu...

— Żadnego. Poza moją walizką i mną w samochodzie nie będzie nikogo.

— W takim razie...

— W takim razie podjadę po pana o dziewiątej. Czy to nie będzie za wcześnie?

— Jeżeli powiem pani, że codziennie budzę się o świcie i zasiadam o siódmej do pracy, minę się z prawdą — powiedział Alex, odzyskując z wolna równowagę. — Ale dziewiąta godzina będzie znakomitą. A może pojedziemy moim samochodem?

Oddałem go do przeglądu i jutro mam odebrać. Co prawda trochę później.

— Nie. Wolę jechać własnym. Lubię prowadzić, a przede wszystkim lubię wozić mężczyzn. Pasażer mężczyzna daje mi większą satysfakcję niż pięć kobiet. Może dlatego, że w ciągu paru ostatnich tysięcy lat ciągle nas wożono i nie miałyśmy pojęcia, że można się bez tego obejść.

— W takim razie odpokutuję z przyjemnością za czyny moich przodków.

— Jestem ohydnie punktualna. Proszę czekać o dziewiątej przed domem. A teraz dobranoc.

Już bardzo późno. Kobieta w moim

wieku powinna się wysypiać. To znakomicie konserwuje cerę.

I zanim Joe zdążył zdobyć się na konwencjonalny protest, odłożyła słuchawkę.

— No właśnie! — powiedział ze zdumieniem. Czując nagły przyływ energii odszedł od telefonu i odkręcił w łazience kran z gorącą wodą. Potem poczuł głód i pogwizdując wesoło zaczął parzyć herbatę w małej kuchence. Zajrzał do lodówki. Cała beznadziejność dnia trzydziestych piątych urodzin minęła, jakby nigdy jej nie było. Myślał o jutrzejszym poranku.

Myślał o nim nadal, kiedy wykąpany i po zjedzeniu prowizorycznej

kawalerskiej kolacji, składającej się z chleba z masłem, sardynek, sera i zakończonej puszką sok cytrynowego, położył się, nastawiwszy budzik na ósmą. Tak, to było mu potrzebne. Niezmacony pogodny humor Iana, stary dwór, pokój, do którego przez otwarte okna wpływał bliski szum drzew i daleki szum morza, poranne spacery nad urwistym brzegiem. Kiedy był tam po raz ostatni? Starał się nie myśleć teraz o tym, że chce, aby nadszedł już ranek i krótka, dwugodzinna podróż u boku niewysokiej ciemnej dziewczyny, która była tak wielką aktorką, i której życie Parker upstrzył tak wielką ilością znaków zapytania. Biedny Drummond —

pomyślał Joe, myśl ta pozbawiona była siły i wyrazu. Drummond pewno nie był biedny, lecz szczęśliwy. Taka kobieta musiała dawać szczęście mężczyźnie, nawet jeżeli dawała nie tylko jemu.

Powoli twarze Iana i Sary, a wraz z nimi obraz przyszłości, które podsuwała mu wyobraźnia, zaczęły wirować i pokrywać się mgłą. Zamknął oczy.

Wydawało mu się, że zaledwie zdążył przymknąć powieki, kiedy budzik zadzwonił. Joe zerwał się z tapczanu i podszedł w piżamie do okna.

Po ponurym, dżdżystym wieczorze ranek wstawał nad miastem słoneczny i ciepły. Dachy domów parowały i lśniły ostrym niebieskim blaskiem

rozciągniętego nad nimi bezchmurnego nieba.

W tej samej chwili, patrząc na jezdnię i zamknięte drzwi baru naprzeciwko, przypomniał sobie rozmowę z Parkerem. Ale ulica w dole nie była już tą samą nocną ulicą. Słońce wpadające przez otwarte okno, błękitne niebo nad dachami, dźwięk wody, która wypełniała szybko wannę, i syk imbryka w kuchence stanowiły razem pogodne preludium chwili, kiedy z wybiciem godziny dziewiątej wyjdzie na ulicę i zobaczy kremowego, modnego mercedesa Sary Drummond, hamującego przed domem. Dlaczego kremowego i dlaczego mercedesa, nie umiałby

powiedzieć, ale taki samochód powinna była mieć. Pogwizdując, zabrał się do porannej toalety.

Kiedy wreszcie najedzony, ogolony i umyty spojrzął na zegarek, spostrzegł z przerażeniem, że jest za dwadzieścia dziewięć. Błyskawicznie otworzył szafę i zaczął z niej wyrzucać koszule, krawaty, piżamy, skarpetki i chustki do nosa. Szybko układał je w walizce wybierając te, które najbardziej lubił. Teraz swetry, tak, i druga walizka, w której poukładał ubrania. Wreszcie teczka z przyborami do pisania, maszyna i... rozejrzył się... koniec. Nie. Nie koniec, podbiegł do biurka i wyciągnął środkową

szufladę, wyjął z niej leżący na samym
dnie ciężki przedmiot
w skórzanym futerale. Otworzył futerał.
Wszystko było w porządku. Sięgnął do
szuflady
po dwa zapasowe magazynki. Nie był to
jego pistolet z czasów wojny, ale
długolufę parabellum, które przywiózł z
Niemiec. Wsunął pistolet pomiędzy
ubrania i zamknął walizkę. Spojrzał
na zegarek. Za pięć dziewiąta! Wybiegł
na klatkę schodową, przywołał
naciśnięciem guzika windę, ułożył w
niej swoje pakunki i zjechał na dół.
Kiedy znalazł się na ulicy, rozejrzał się
szybko,
ale kremowego samochodu nie było

nigdzie widać Przysunął więc walizki do krawężnika, stawiając je przy czarnym, stojącym naprzeciw domu jaguarem. Odetchnął głęboko i chusteczką otarł pot z czoła. Minęła dziewiąta. Teraz mógł spokojnie czekać. Zaczął zastanawiać się nad jakimś efektownym zdaniem, którym powita nadjeżdżającą Sarę.

— Dzień dobry — powiedział znajomy niski głos. — Czy pan chce pojechać z kim innym?

Joe drgnął. Za kierownicą czarnego jaguara, o dwa kroki od miejsca, w którym stał, siedziała Sara Drummond i uśmiechała się, najwyraźniej rozbawiona jego miną.

— Och, dzień dobry! — Podszedł do opuszczonej szyby wozu. — Wyobraźnia... — powiedział i rozłożył ręce. — Wydawało mi się, że przyjedzie pani zupełnie innym samochodem.

— To znaczy, że pan o tym myślał. — Z wozu spojrzały na niego ciemne, lśniące oczy. —

To dobrze. Zawsze jest dobrze, kiedy o nas myślą. — Wysunęła ku niemu drobną, ciemną dłoń, którą uścisnął. Wszystkie pachnidła Arabii... Otrząsnął się i zawrócił po walizki. — Niech pan położy je na tylnym siedzeniu. O tak. A teraz niech pan już siada. Nie mogę się doczekać przyjazdu do domu!

Usiadł obok niej i ruszyli. „Trzeci raz ją widzę — pomyślał — i za każdym razem jest zupełnie inna”. Poznał ją przed trzema laty, w dniu jej ślubu z Ianem. Była wówczas piękną, skromną i dyskretnie szczęśliwą panną młodą, idącą spokojnie i pewnie u ramienia męża i spoglądającą na niego rozkochanymi oczyma, jak gdyby co chwila nie błyskały wokół nich flesze aparatów fotograficznych, którymi przedstawiciele prasy obu kontynentów utrwalali dla swych niedzielnych dodatków scenę zaślubin wielkiej tragiczki i jednego z największych uczonych brytyjskich. Spotkał ją jeszcze raz przed rokiem, kiedy była wraz z

Ianem w Londynie, i umówili się z nim na obiad

w jego klubie. Wtedy zobaczył typową brytyjską młodą damę, zachowującą się i ubraną podobnie, jak wszystkie inne młode damy z jej sfery, z tą różnicą, że w klubie patrzyło na nią więcej osób niż na wszystkie pozostałe damy razem wzięte. Teraz widział obok siebie kątem oka młodziutką dziewczynę, która skończyła właśnie szkołę i dostała od ojca pierwszy samochód. Wyglądała na lat dziewiętnaście, może dwadzieścia. Śniada, czarnowłosa, ciemnooka, czarno ubrana, z pogardą dla kontrastów i dla bieli, która podkreśliłaby smukłość jej szyi i

delikatną barwę skóry. A wczoraj wieczorem stała na scenie zmęczona, złamana, postarzała nagle w ciągu godziny, szalona i stęskniona za śmiercią dającą odpoczynek i zapomnienie. Ile mogła mieć lat naprawdę? Występowała od dawna, co najmniej od dziesięciu lat. Może miała trzydzieści? A może, jak on, skończyła trzydzieści pięć? Co to miało za znaczenie? Odetchnął głęboko.

— Byłem wstrząśnięty wczoraj... — powiedział, żeby przerwać milczenie. — Nie widziałem pani nigdy w tej roli i nigdy nie przypuszczałem, że można dokonać czegoś podobnego. Myślę, że gdyby pani żyła w czasach

Shakespeare'a, napisałby dla pani Hamleta nie o królewiczu duńskim, ale o królownie. Szkoda, że nie spotkaliście się!

— Ja nie żałuję! — Sara roześmiała się. Auto stanęło na skrzyżowaniu, czekając na zmianę świateł. — Nie byłoby mnie już. A przecież jedyna ważna rzecz, to być. Ale gdyby przyszedł, powiedziałabym mu, że kocham go jak samego Pana Boga i modłę się do niego czasami.

— Wóz ruszył.

— Ciekawe, czyby uwierzył?

Sara Drummond odwróciła na ułamek sekundy swoje promienne, ciemne oczy od smugi wpadającego pod

koła asfaltu.

— Uwierzyłyby! — powiedziała tak dobitnie, że Joe mimo woli roześmiał się.

Wjechali teraz w długą ulicę, po której obu stronach ciągnęły się nieskończone szeregi ładnych dwu — i trzypiętrowych domów.

— Niedługo miniemy Croydon — mruknęła Sara. Spojrzała na licznik szybkości —

i wydostaniemy się na szosę.

— Ile czasu jedzie pani zwykle do Sunshine Manor?

— Do Brighton godzinę, a później kwadrans nadmorską szosą, jeżeli nie ma wielkiego ruchu. Potem już tylko

kilka minut. Malisborough, a zaraz za miasteczkiem — nasz dom.

Nacisnęła pedał. Jaguar cicho przyśpieszył i wyminął bezszelestnie dwa jadące przed nim samochody. Domy, przeredzały się, po lewej stronie szosy otworzyła się szeroka, i płaska przestrzeń. Joe spojrział. Tu było kiedyś lotnisko. Jakby wywołany tą myślą wielki samolot pasażerski wynurzył się właśnie spoza dalekich domów przedmieścia, wyprzedził ich i z wolna nabierając wysokości zakręcił na południe.

— Czy nigdy pan teraz nie lata? — Sara nie odwróciła głowy od szosy. Pytanie zabrzmiało

jak pytanie dziecka, szybko i jak gdyby bez przywiązywania wagi do tego, czy odpowiedź będzie brzmiała tak, czy nie.

— Nigdy. Staram się nie latać nawet wtedy, kiedy wyjeżdżam za morze.

— Dlaczego?

— Nie wiem dokładnie. Może mam za wiele wspomnień? Próbowałem zresztą kilka razy.

Za każdym razem przez cały czas myślałem o wojnie i o tych, którzy nie wrócili. A przecież

nie ma sensu o tym myśleć. Ma pani słuszość. Najważniejsze to być. Przeszłość nie istnieje przecież naprawdę. Po co ją przywoływać?

Samolot małał na niebieskim niebie,

był już tylko drobną białą plamą. Powiódł za nim wzrokiem. Kurs na Paryż. Nie, na Amsterdam. Do końca życia będzie wiedział dokładnie, w jakim kierunku lecą samoloty z Londynu. Znał każdy kurs, leciał w tamtą stronę za dnia i w nocy, nieskończoną ilość razy, po wszystkich promieniach wybiegających z Anglii. Powrócił spojrzeniem do szosy. Zauważył, że Sara przygląda mu się o tyle, o ile pozwalało jej na to prowadzenie wozu. Samochód znowu przyspieszył. Joe spojrzął na zegar, sześćdziesiąt mil. Ładna szybkość jak na tak uczęszczaną szosę. Sara puściła jedną ręką kierownicę, a drugą wyciągnęła ku niemu.

— Proszę o papierosa. Są w skrytce przed panem.

Otworzył skrytkę i ze zdumieniem dostrzegł paczkę niebieskich gauloise'ów.

— Czy to te?

— Tak. Niech pan wyjmie jednego i włoży mi w usta. Szosa jest trochę zatłoczona.

Nie chciałabym pana wpakować na drzewo. Siebie też nie. Proszę mi podać zapalniczkę.

Zrobił wszystko, o co prosiła, wyciągnął jarzącą się zapalniczkę, umieszczoną obok skrytki, i przytknął ją do papierosa Sary. Samochód mknął teraz jeszcze prędzej.

Alex, który nie lubił zbyt szybkiej jazdy, poczuł się trochę nieswojo, ale postanowił, że ona tego nie zauważy.

— Co pani będzie grała na jesieni?

— Nie wiem jeszcze, ale prawie na pewno w Orestei Ajschylosa.

— Kasandrę?

— O Boże, nie! — roześmiała się.

— Po cóż bym miała grać to lamentujące ciele?

— Przecież nie Klitajmestrę?

Zamiast odpowiedzi dodała gazu i zadeklamowała:

Oto jestem. Zadany cios i czyn spełniony.

Otwarcie i bez lęku powiem wam, jak zginął.

Otuliłam go płótna płachtą...

Przyhamowała gwałtownie.

Zobaczył, że jej zaciśnięte na kierownicy palce zbieleły.

Wóz z sykiem sunął przez chwilę po szosie i zarzucił ostro. O krok przed kołami stało na środku szosy dwuletnie może dziecko i zasłoniwszy rękami twarzyczkę płakało, nie zdając sobie zupełnie sprawy z tego, że ułamek sekundy zdecydował o tym, że pozostało między żyjącymi. Sara wyskoczyła z wozu. Poszedł za jej przykładem. Zobaczył biegnącą od strony domu młodą kobietę w białym fartuchu.

— Elżbietko! — wołała kobieta —

Elżbietko!

Sara wzięła małą za rękę i odprowadziła ku ścieżce prowadzącej w stronę domu. Matka chwyciła małą na rękę.

— O Boże! — powiedziała omdlewającym szeptem. — Widziałam wszystko z okna... Jak ona otworzyła tę furtkę...?

— Następnym razem będzie lepiej, jeżeli pani zada sobie to pytanie wcześniej, bo może się zdarzyć, że Elżbietka już nigdy potem nie otworzy żadnej furtki. Kazałabym panią wybić, gdyby tu był pani mąż. Ale na pewno pracuje w tej chwili i nie wie, że ma żonę idiotkę. Proszę zabrać to

dziecko do domu i natychmiast zabezpieczyć furtkę tak, żeby nie mogło jej otworzyć. Czy pani rozumie?

— Tak — powiedziała kobieta. — Rozumiem, proszę pani. — Odwróciła się i niosąc na rękach Elżbietkę, która przestała płakać i przyglądała się wielkimi, jasnymi oczkami tej rozkazującej pani, odeszła prędko. Sara zawróciła do wozu.

— To byłaby moja wina — mruknęła. — Jechałam osiemdziesiąt mil na godzinę. No, ale dałam jej naukę. Założę się, że teraz będzie zamykała tę furtkę na sto zasuwek.

Ruszyli. Alex, który przeżywał jeszcze to wydarzenie, spojrzął po

chwili na prowadzącą
w milczeniu dziewczynę.

Zobaczył, że się śmieje. Widocznie zauważyła jego zdumione spojrzenie, bo powiedziała:

— To z pana! Miał pan tak zabawną minę. Słuchał pan tak grzecznie, kiedy zaczęłam deklamować. I nagle traaaach... Nie patrzył pan nawet na szosę, tylko na mnie!

— Czy pani naprawdę zdążyła to wszystko zauważyć hamując, żeby nie przejechać tej dziewczynki?

— Oczywiście. Nie miałam nic innego do roboty, tylko gnieść z całej siły hamulec i trzymać kierownicę, żeby

nas nie wyrzuciło z szosy do rowu. Wiedziałam zresztą, że przejadę tę małą, jeśli nie będzie innego wyjścia. Przy tej szybkości nie mogłam ryzykować i wpakować

nas do rowu. Ale pan patrzył na mnie. To chyba najładniejszy komplement, jaki mi się przydarzył w życiu.

Samochód znowu przyspieszył. Sara siedziała spokojnie za kierownicą, uśmiechając się lekko. Alex nie odpowiedział. Patrzył na nią.

— O czym to mówiliśmy? A tak, deklamowałam Klitajmestrę. Ją właśnie chcę grać.

Od lat umiem tę rolę. To śliczna sprawa: zabija męża, a potem bezwstydną, dumna

i spokojna wychodzi do ludu, któremu zgładziła króla, i obwieszcza, że będzie odtąd rządzić wraz z kochankiem. Wspaniała kobieta. A zagram to prześlicznie! Niech pan przyjdzie, to się pan przekona! — I puściwszy na chwilę kierownicę, klasnęła w ręce jak ucieszone dziecko. — Zaraz Brighton! — zawołała. — Jedziemy dziś dość szybko. Wyminjemy miasto od zachodu. Trochę gorsza szosa, ale krótsza.

I Alex, który przez chwilę myślał o tym, że przejedzie teraz przez miasto, w którym przed rokiem był z Karoliną, odetchnął z ulgą, kiedy przed pierwszymi domami skręcili w prawo i

wóz zwolnił.

— Czy wiele osób jest w tej chwili w Sunshine Manor? — zapytał, przypomniawszy sobie, że nie wspomniał jeszcze ani słowem o Ianie i jego gościach.

— Ian, Harold, to znaczy pan Sparrow, którego pan chyba zna?

— Nie... — potrząsnął głową. — Nie miałem przyjemności. Znam go tylko z tego, co opowiedział mi Ian podczas owego obiadu, który jedliśmy razem.

— To bardzo miły pan — powiedziała Sara obojętniej — a jego żona, Lucy Sparrow, to moja wielka przyjaciółka. Cóż to za wspaniała

dziewczyna! Słyszał pan o niej na pewno?

— To chirurg, prawda?

— Tak. Genialny operator mózgu. Mówią o niej, że nie operuje, lecz rzeźbi. Urodziła się podobno z tym talentem, bo już na studiach zbierała wszystkie medale i odznaczenia.

Na jej operacje schodzą się wszystkie nasze sławy i przyjeżdżają siwi, brodaci profesorowie z kontynentu. Ma nawet swoją własną metodę operacji. Niech pani pomyśli: co to za wspaniały zawód tak pracować wewnątrz ludzkiego mózgu! Poza tym jest niedorzecznie piękna.

Niedorzecznie, bo przecież w jej zawodzie jest to zupełnie niepotrzebne. Chciałabym wyglądać tak jak ona. Ma warunki młodej królowej. Jest młodą królową, kiedy wstaje rano z łóżka i kiedy gra w tenisa. Je groszek jak młoda królowa i myje ręce jak młoda królowa. Ile razy na nią patrzę, nie znajduję innego określenia. Gdyby pan wiedział, ile pracy wkładam, żeby wyglądać na scenie jak osoba z dobrego domu, a co dopiero urodzona do rządzenia, zrozumiałby pan, dlaczego tyle o tym mówię. Poza tym jest miła, dowcipna, odczytana, chłodna jak żelazo. Ósmy cud świata!

— Pan Sparrow musi być bardzo

szczęśliwy, posiadając taką żonę — zaryzykował Joe.

- Co? — przyłgnęła oczyma do szosy, która biegła teraz szpalerem starych drzew.
- Na pewno! — Ożywiła się nagle. — Niech pan spojrzy: morze!

W dalekiej perspektywie Alex zobaczył ogromną brudnozieloną powierzchnię, która zdawała się wznosić ukośnie ku widnokręgowi. Sara dodała gazu.

— „Nasza ogromna, słodka matka...”
— powiedział.

— To Joyce — uśmiechnęła się. —

Jedyny pisarz, którego mogę bez przerwy czytać. To znaczy, przepraszam... pan przecież...

— Proszę o tym nie mówić. — Alex patrzył na zbliżające się morze, które z wolna opadało przed maską nadjeżdżającego samochodu i stawało się coraz bardziej płaskie. — Nie jestem pisarzem i nigdy nim nie będę. Ten proceder, który uprawiam, wybrałem, bo pozwala mi budzić się rano, o której chcę, nie wstawać na widok dyrektora i zarabiać tyle, ile mi potrzeba, żeby żyć wygodnie, dużo czytać i podróżować, jeśli mi przyjdzie ochota. To wszystko.

Ale mówiliśmy o gościach państwa...

— Jest tam jeszcze asystent Iana, Filip Davis, śliczny młody chłopiec, który zamiast uganiać się za dziewczętami albo pozwolić im, żeby się uganiały za nim, skończył chemię i pracuje jak koń

od rana do nocy. Ubóstwia Iana, a poza tym układa zadania szachowe. Myślę, że kocha

się potajemnie w Lucy. Ale myślę także, że wszyscy mężczyźni powinni kochać się w niej,

mniej albo więcej potajemnie. Pana to może także spotkać.

— Nie sądzę — powiedział Alex i zaraz dodał: — Chociaż nie miałbym nic

przeciwko temu. Chciałbym kogoś pokochać.

Wjechali teraz na nadmorską autostradę, ciągnącą się wzdłuż urwistego brzegu. Po lewej strome w dole, dwieście stóp pod nimi, szumiało morze. Z dala widać było białe grzywy fal popychanych ukośnym wiatrem w stronę białych, kredowych skał. Szosa wpadła w tunel i przez chwilę siedzieli w ciemności, rozjaśnianej blaskiem lamp, uciekających wzdłuż ścian. Przed nimi, w oddaleniu, lśnił jasny otwór, powiększający się szybko, aż znowu wypadli na światło dzienne.

— A nie zdarzyło się to panu jeszcze nigdy? — W głosie Sary usłyszał

wyraźne zaciekawienie.

— Nie, to znaczy, zdawało mi się kilka razy, że tak, ale w końcu okazywało się, że zależy mi na tym o wiele mniej, niż chciałym.

— A czy chciał pan, żeby panu zależało?

— W pewnym wieku mężczyzna szuka miłości. Później to mija.

— Tak pan sądzi? — Zostawało za nimi już drugie małe nadmorskie miasteczko. — Shofeham..

— powiedziała Sara ze smutkiem. — Byłam tu kiedyś z moim pierwszym narzeczonym. Miałam wtedy te same złudzenia co pan. — Nagle roześmiała się. — Ale z nas kłamcy! Przecież

człowiek przez całe życie, od chwili
kiedy zaczyna rozumieć, do chwili kiedy
przestaje czuć, widzieć
i słyszeć, nie robi nic innego, tylko szuka
miłości! Pan, ja, wszyscy ludzie w tym
miasteczku
i na całym świecie szukamy, mylimy się,
padamy, wstajemy i szukamy dalej, póki
nam sił starczy, dopóki żyjemy. Nie ma
takiego, wieku, w którym to przechodzi.
Nie ma złudzeń. Tylko miłość łączy nas z
prawdą. Tylko miłość pozwala nam być
pisarzami, aktorami, wodzami,
stolarzami
i walczyć o to, żeby osiągnąć więcej, niż
mamy. Bez niej nie znaczymy nic i nie
jesteśmy nawet sobie potrzebni. O,

Malisborough! Zaraz będziemy w domu!

Alex milczał. Maleńkie miasteczko, śliczne i tonące w ogrodach, skupione wokół niewielkiego gotyckiego kościółka o tępej kamiennej wieży, składające się z domków o ścianach poprzecinanych czarnymi dębowymi belkami pamiętającymi czasy Tudorów, zbliżyło się i błysnęło paroma szyldami małych, schludnych sklepików.

— Czy stary Malachi Lenehan ciągle jeszcze dogląda swoich róż? — zapytał Joe. — Poznałem go w czasie wojny, kiedy spędzałem urlop zdrowotny u Iana. Byliśmy wtedy obaj kontuzjowani. Mówił pani o tym chyba?

— O tym waszym skoku z palącego się samolotu? Tak. Opowiedział mi to tak, jakby skoczył z parterowego okna do ogrodu. Miał wtedy — zdaje się, odłamek pocisku przeciwlotniczego w ręce? Skakaliście w nocy, prawda? I był jeszcze z wami ktoś trzeci?

— Ben Parker — powiedział Alex.

— Czy widuje go pan?

— Czasami...

— Ian mówił mi, że jest inspektorem Scotland Yardu. Podobno... — zawahała się. — Pytał pan o starego Malachi. Tak, jest taki sam jak zawsze... Lubię go i zdaje mi się, że i on mnie kiedyś polubi...

Nagle zahamowała gwałtownie.

— Mój Boże! Dobrze, że mi pan przypomniał!

Zawróciła w miejscu, ocierając przednimi kołami o krawężnik, i pomknęła na powrót ku Malisborough.

— Co się stało? — zapytał Alex.

— Tytoń! — Zahamowała przed najbliższym sklepikiem. — Niech pan wysiądzie ze mną

i pomoże mi wybrać tytoń dla niego. Nie było mnie w domu przez dwa tygodnie. Nie lubię przyjeżdżać z pustymi rękami.

Weszli. Joe kazał zapakować dużą niebieską puszkę Medium Playersa i kupił od siebie dobrą, prostą fajkę.

— Niech pan jeszcze chwilę zaczeka przy wozie — zawołała Sara i szybko poszła w górę ulicy.

Patrzył za jej drobną, oddalającą się sprężystym krokiem sylwetką i ku swemu zdumieniu myślał o tym, czy naprawdę przejechałaby tę dziewczynkę. Wiedział, że on sam skręciłby, nawet przy największej szybkości, gdyby tylko zdążył. Przecież zawsze istniała szansa uratowania się.

A dziecko, uderzone przez pędzący samochód, nie mogłoby...

Zobaczył Sarę. Wyszła ze sklepu niosąc dwa jednakowe, zawinięte w papier pakunki.

— To dla dziewcząt — powiedziała

— dla Kate i Nory. Dla Kate jasnoniebieski perkalik, bo jest młoda i ma złote włosy. A dla Nory szary w białe kwiatki. I o jard więcej, bo Nora przytyła ostatnio okropnie. To nasza kucharka, a Kate to pokojówka. Teraz mam już wszystko.

Znowu ruszyli.

— Czy naprawdę przejechałaby pani tę dziewczynkę, gdyby nie udało się pani zahamować? — zapytał.

— Tak. Przy tej szybkości jaguar nie utrzymałby się po nagłym skręcie. Nie było miejsca. Wpadlibyśmy do rowu, za którym co dwadzieścia pięć jardów rosło drzewo. To znaczy, że uderzylibyśmy w któreś z nich. A

wtedy najprawdopodobniej zginęlibyśmy oboje. Nie mam prawa ani powodu cenić wyżej życie obcego dziecka, niż pana i moje. Ale zrobiłam, co mogłam, żeby do tego nie doszło.

— Ale przecież prowadziła pani za szybko.

— Wypadek nie byłby spowodowany szybkością, ale brakiem dozoru nad dzieckiem.

Alex nie odpowiedział. Przez chwilę jechali w milczeniu.

— Chociaż na dnie serca ma pan do mnie żal, że nie pozuję na rycerza bez zmayı, wie pan, że mam słuszność. — Prowadząc to auto wzięłam na siebie obowiązek ochrony

naszego życia

w tym samym stopniu, w jakim ta matka, rodząc dziecko, podjęła się opieki nad nim. Miałam tylko jedno wyjście: zrobić wszystko, żeby uratować dziecko, nie zabijając pana i siebie. Ale nie mówmy o tym... — Roześmiała się niespodziewanie. — Pomiędzy mężczyznami a kobietami jest pewna fundamentalna różnica: my nigdy nie analizujemy tego, co się nie stało. Jesteśmy na miejscu.

Wóz zwolnił i skręcił w wąską asfaltową drogę, prowadzącą prosto ku położonej nad brzegiem morza wielkiej kępie drzew. Szosa odchodziła tu na północ, omijając posiadłość szerokim

łukiem; wewnątrz tego łuku mieścił się park i dom zwrócony frontem ku parkowi, tyłem zaś w kierunku urwistego brzegu, od którego oddzielał go szeroki dziedziniec, okolony kamienną balustradą.

Auto minęło otwartą bramę, na zewnątrz której Joe dostrzegł mały namiocik campingowy, rozbity w trawie pod rozłożystym dębem. Wolno wjechali w szeroką aleję. Sara nacisnęła klakson i nie zdejmując z niego palca zajechała, trąbiąc, aż pod sam dom.

— Zawsze tak robię! — zawołała. Oczy jej świeciły radosnym, ciemnym blaskiem.

Zatrzymali się przed niskim tarasem,

na który wybiegła kobieta w białej sukni, a za nią wysoki jasnowłosy mężczyzna w białym kitlu. Joe poznał w nim Iana Drummonda. Bez słowa Sara otworzyła drzwiczki, wbiegła na taras i zawisła na szyi swego męża.

IV. Joe Alex odkrywa mordercę

Pierwszą myślą Alexa, kiedy wyszedł z wozu i zaczął po szerokich stopniach wstępować na szeroki taras, było ostre, jasne wspomnienie dnia, kiedy z głową w bandażach i ręką

na temblaku wysiadł z zielonego samochodu RAF-u i wraz z Drummondem i Parkerem stanął późnym wieczorem przed tym domem. Tylko po wąziuteńkich smugach światła wydostającego się przez szpary w gęstych zasłonach mogli wtedy sprawdzić, że dom jest nadal zamieszkały.

Było to piętnaście lat temu... dokładnie: szesnaście. Padał wtedy deszcz, ostry i skośny, gnany nadlatującym znad morza wichrem. Nie tylko ten dom, ale cała Anglia pogrążona była wówczas w ciemności. Nad wyspą szalał blitz i co noc eskadry z czarnymi krzyżami

ciągnęły

znad kontynentu, niosąc nad Anglię swój śmiertelny ładunek.

W tej chwili świeciło słońce, a wojna była tak odległa, że wydawała się tylko wspomnieniem z dawno oglądanego filmu. Stała się już zupełnie nieprawdziwa, ona i jej umarli. Dom nie zmienił się od owego dnia. Zmienił się za to Ian Drummond. Przestał być owym smukłym, młodziuteńkim oficerem, i stał się cywilem w całym tego słowa znaczeniu: wysoki, rumiany, jasnowłosy i trochę otyły, stał w swoim białym kitlu i przyciskał do siebie smukłą, ciemną dziewczynę,

która opowiadała mu coś prędko, nie zwracając uwagi na obecnych. Dobroduszny, miły Anglik, tuż przed czterdziestką, zadowolony z życia, pewny siebie, uczciwy, idący bez wahań raz obraną w życiu drogą. Tylko bardzo wysokie czoło i trochę roztargnione, spoglądające w dal mądre oczy mogły potwierdzać przypuszczenie, że jest to człowiek w pewien sposób nieprzeciętny.

Alex wszedł na najwyższy stopień i zatrzymał się przy stojących. Drummond delikatnie wyswobodził się z objęć Sary i wyciągnął ku niemu rękę.

— Ty się nie zmieniasz! —

powiedział. — Ja już niedługo będę tłustym, pomarszczonym starcem, ale ty, Joe, ciągle będziesz wyglądał jak podporucznik. Dobrze, że już jesteś! — Rozejrzał się. — Przepraszam, Lucy! — zawołał. — Poznajcie się! To jest właśnie Joe Alex, którym zanudzałem was, ile razy pozwoliliście mi rozgadywać się o wojnie! A to jest Lucy Sparrow, żona mojego przyjaciela i towarzysza pracy... no i, oczywiście, znakomity lekarz. Na pewno Sara opowiedziała ci o niej w drodze.

— Oczywiście! — powiedziała Sara. — Oplotkowałam was wszystkich, z tobą włącznie. Jesteśmy przecież dosyć ciekawą grupą. A może to tylko

nam się tak wydaje?

Joe uściśnął opaloną kobiecą rękę o długich, silnych palcach. Dopiero wtedy spojrzał w twarz Lucy.

Sara nie myliła się. Zobaczył przed sobą wysoką, wyprostowaną młodą kobietę o włosach tak jasnych, że wydawały się nieomal białe. Wielkie szare oczy, którymi spojrzała na Alexa, były mądre i spokojne, ale jednocześnie nieustępliwe i pełne czegoś, co gotów był nazwać łagodną dumą. Jak gdyby wiedziały, że Lucja Sparrow przez całe swoje życie robi tylko to, co uznaje za godziwe i słuszne, i nie sądziły wobec tego, aby powinna była je

zakrywać powiekami
albo odwracać. Owalna twarz o nieco
wystających kościach policzkowych
była urzekająco piękna
i prześwietlona wewnętrznym blaskiem,
podobnym do tego, jaki znaleźć można u
owych zamyślonych kobiet Vermeera
van Delft.

— Bardzo się cieszę, że pana
pознаłam — powiedziała dźwięcznym,
melodyjnym głosem
i uśmiechnęła się. Alex zobaczył przy
tym dwa szeregi tak nieprawdopodobnie
pięknych zębów,
że z trudem oderwał od nich spojrzenie,
nie chcąc przyglądać się zbyt
natarczywie. —

W opowiadaniach Iana awansował pan na coś pośredniego pomiędzy świętym Jerzym a Donkiszotem — naszego lotnictwa. — Oczy jej rozjaśnił szary, wesoły płomyk. — Czy pan to potwierdza?

— Oczywiście! — Alex pochylił głowę. — Im lepiej o nas mówią, tym lepiej. — Teraz dopiero mógł przelotnie obejrzeć ją całą. Ubrana była w prostą płócienną, białą, sukienkę, a na smukłych gołych nogach miała sandały zapięte dużą drewnianą sprzączką, pomalowaną na niebiesko. Żadnego kwiatka, żadnej chusteczki, tylko mały rubinowy wisiołek na cienkim

łańcuszku, widoczny w wycięciu sukni
lśniący na jasno opalonej, gładkiej szyi.
Kiedy poruszyła się, rubin strzelił
ciemnoczerwonym promieniem i
przygasł.

— Czy nie mówiłam?! —
powiedziała Sara, która stała obok nich,
ująwszy Drummonda
pod ramię. — Ona jest zupełnie
niesłychana!

— Saro, błagam cię... — Lekki
rumieniec pojawił się na twarzy Lucy
Sparrow. — Błagam cię, kochanie...

— I pomyśleć — roześmiał się Ian
— że dorośli ludzie pozwalają tej
dziewczynie wycinać sobie kawałki
jedyne go instrumentu, jaki Bóg im dał,

żeby mogli rozmyślać o Nim. Chodźmy na górę. Pokażę ci twój pokój. Rzeczy zostaw w samochodzie. Zaraz je zabierze Kate. — Wskazał młodą, pyzată pokojówkę, ubraną w czarną sukienkę i biały czepeczek, która ukazała się w drzwiach i z radosnym uśmiechem dygnęła przed Sarą.

— Dziękuję bardzo! — Alex zawrócił do wozu i wystawił na ziemię najpierw walizkę Sary, a potem cały swój dobytek. — Jeżeli można prosić pannę Kate, to może weźmie tylko teczkę i maszynę do pisania, a z walizkami sam sobie dam radę.

Ale Ian pochwycił już większą walizkę i uniósł teczkę, więc Joe wziął maszynę i drugą walizkę. Ruszyli po stopniach ku drzwiom wejściowym. Zanim weszli do hallu, Alex odwrócił się.

— Do kogo należy maszyna do pisania? — zapytała Lucy, która stała na tarasie i rozmawiała z Sara, trzymając jedną nogę na stopniu auta. — Do świętego Jerzego czy do Donkiszota?

— Do smoka i do Sancho Pansy.

Potrząsnęła głową.

— Prawdziwa dama nie rozumie maszyn i jest przekonana, że wymyślili je mężczyźni, żeby mieć dostateczną

ilość śrubek do odkręcania i przykręcania w wolne niedzielne popołudnia.

Nie rozumiem żadnych maszyn, nawet tych do pisania.

— O Boże — powiedziała Sara — wobec tego odprowadzę moją maszynę do garażu

i już nie wspomnę o niej.

Machnęła im ręką i zatrzasnęła za sobą drzwiczki. Lucja z wolna schodziła po stopniach, kierując się ku kamiennej balustradzie nad urwiskiem.

— Chodźmy — powiedział Ian — jeżeli, oczywiście, możesz oderwać oczy od tej młodej damy.

— Mogę. — Alex wszedł do sieni.

Była to ogromna jasna sień, pochodząca prawdopodobnie z czasów, gdy Sunshine Manor był na pół warowną posiadłością i nie uległ jeszcze tym wszystkim przebudowom, do jakich moda i zmieniające się warunki życia zmuszały kolejnych jego dziedziców. Sień biegła na przestrzał, dzieląc dom na dwie części, i kończyła się wielkimi oszklonymi i okratowanymi misternie dwuskrzydłowymi drzwiami, przez które widać było drzewa głównej alei parku, wytyczonej na jej osi. Pośrodku jednej ze ścian otwierał się ogromny kominek, obrzeżony kamiennymi płytami i ozdobiony herbową tarczą Drummondów. Obok

nego prowadziły w prawo wąskie schody na piętro. Idąc za Ianem Alex usiłował sobie przypomnieć, dokąd te schody prowadzą. Jak przez mgłę pamiętał ciemne rzeźbione belki stropu korytarza

i napis na jednej z nich: CZCIJ BOGA POD TYM DACHEM, A NIGDY NIE RUNIE CI NA GŁOWĘ — ANNO 1689... Czy może 1699? — Minęli zakręt schodów. Spojrzał w górę.

— Osiemdziesiąt dziewięć — powiedział na głos. — Więc nie zapomniałem!

Ian obejrzał się.

— Dostaniesz ten sam pokój, w którym mieszkałeś wtedy. Myślałem, że

będzie ci przyjemnie, jeżeli znowu do niego wrócisz.

— Ten na lewo?

— Tak.

Weszli na piętro i zatrzymali się przed narożnymi drzwiami. Przez całą długość domu biegł wąski ciemny korytarz, oświetlony tylko dwoma niewielkimi oknami na obu krańcach. Alex wciągnął mocniej powietrze. Ten dom miał swój zapach. Woń ta wróciła do niego razem z resztą wspomnień. Był to zapach pasty do podłogi, starej zwietrzałej lawendy, suchego drzewa i jeszcze jakaś nieuchwytna domieszka, którą był gotów nazwać wonią wieków, czymś, co pozostaje

po wielu pokoleniach ludzi mieszkających pod tym samym dachem, ich sprzętów, sukien, broni, dywanów i obrazów, kwiatów zwiędłych przed wiekami i lekarstw o nazwach nie znanych obecnej medycynie.

Ian otworzył drzwi i przepuścił go przodem, potem wszedł za nim i postawił walizkę.

— Nawet i zegar jest ten sam — powiedział Alex. — I tak samo jak wtedy nie chodzi. Nakręciłem go, pamiętasz, a potem dzwonił co kwadrans. Ma ładny głos, jak pozytywka.

Rozejrzał się. Nad łóżkiem wisiał obraz przedstawiający jeźdźca na koniu,

przesadzającego strumień w pogoni za lisem. Jeździec ubrany był w czerwony frak, u jego stóp sadyły ujadające wyły. Przypomniawszy sobie, jak leżąc w łóżku i patrząc na ten obraz podczas ostatniej nocy

przed powrotem do eskadry myślał o przyszłości. Nie wierzył w to, że zobaczy koniec wojny.

W ogóle nie wyobrażał sobie wtedy końca wojny. Był rok tysiąc dziewięćset czterdziesty trzeci. Czas, gdy nawet tym, którzy czcili Boga, dachy padały na głowę.

— Boże, jak to już dawno, Ianie...
— powiedział i spojrzeli na siebie, uśmiechając się z lekkim

zawstydzaniem, jakie ogarnia dorosłych mężczyzn, kiedy stają się sentymentalni na trzeźwo.

— Tak... — Ian kiwnął głową. — Ale dobrze, że się skończyło. No, zostawiam cię samego.

Za godzinę mniej więcej będzie lunch. Poznasz Sparrowa i młodego Davisa, mojego asystenta.

Nie spotkali was, bo są zajęci w laboratorium. Ja też tam teraz pójde. Jeżeli będziesz czegoś potrzebował...

— To tu jest dzwonek na służbę! — powiedział prędko Alex i wskazał ukryty za poręczą dębowego łóżka guziczek. — Pamiętam.

Ian uśmiechnął się bez słowa i

wyszedł zamykając cicho drzwi za sobą.

Alex jeszcze

przez chwilę stał rozglądając się po pokoju. Potem powoli zaczął rozpakowywać walizki.

Kiedy uporał się z tym i umył po podróży w małej, przylegającej do pokoju łazience, wyłożonej starymi niebieskimi kafelkami, na których greccy bogowie, poubierani w stroje holenderskich mieszczan sprzed lat dwustu, zajęci byli odgrywaniem scen z Metamorfoz, wrócił do pokoju

i usiadł w wygodnym fotelu za małym biurkiem, na którym postawił otwartą maszynę.

Ale nie myślał nawet o pisaniu.

Doznawał dziwnego uczucia, jak gdyby pogrążono go z pełną świadomością w dawno prześniony sen i kazano raz jeszcze przeżywać na nowo to wszystko, o już minęło i znalazło swoje rozwiązanie. Odczuwał nawet ten sam niepokój, który męczył go wówczas bez przerwy i do którego nie przyznawał się nawet przed samym sobą. Bał się wtedy. Bał się chwili, kiedy znów powróci do eskadry i z nastaniem nocy wyjdzie wraz z resztą załogi na ciemne lotnisko i ruszy ku niewidocznej prawie linii ciężkich maszyn. Jedna z nich znowu uniesie go w ów okropny świat błyskających jak

noże reflektorów, cichego grzechotu odłamków rozrywających się pocisków artylerii przeciwlotniczej i lęku przed nocnym myśliwcem, który zbliża się w ciemności niepostrzeżenie jak młody nietoperz do wielkiej, tłustej, powolnej ćmy. A potem to nadeszło i minęło. Zapomniał nawet o tym lęku. Teraz siedział i zaciskał palce na poręczach fotela czekając, aż zegar zadzwoni sześć razy. O szóstej miał zajechać po nich wówczas samochód z bazy lotniczej.

Mimo woli spojrział. Ale zegar milczał. Alex wstał i podszedł do niego. Zegar był stary, czarno-złoty i miał pod

szklaną zasłoną umieszczone wahadło w formie słońca o twarzy dziewczyny, której rozwiane włosy stanowiły jego promienie. Wyżej, na białej tarczy, stały prosto rzymskie, niebiesko emaliowane cyfry. Ze szczytu zegara ulatywał złocisty skrzydlaty młodzieniec, trzymając przy ustach smukłą, długą trąbę. U dołu tarczy był napis: „I. Godde ? Paris”. Alex otworzył zegar, wsunął palec pod wahadło i odnalazł duży żelazny klucz. Przy nakręcaniu mechanizm mruczał cicho. Wreszcie Joe trącił lekko palcem twarz słońca. Zakołysała się. Rozległo się powolne, ciche tykanie. Spojrzał na swój zegarek. Za dziesięć dwunasta. Przetawiał

wskazówki zegara, raz jeszcze spojrzął na pokój i wyszedł.

Lunch podano na tarasie od strony parku. Przy stole stała w tej chwili Sara, wyższa nagle

i smuklejsza w szarej spódnicy, białej bluzce i pantoflach na wysokich, cienutkich obcasach. Układała kwiaty w wazonie, rozmawiając z pyzată Kate, która wniosła właśnie tacę z butelkami. Pomagał jej wysoki, młody człowiek, w którym Alex domyślił się Filipa Davisa. Miał ciemne, krótko przystrzyżone i zaczesane równo do tyłu włosy, mały wąsik i niebieskie, miłe oczy.

Na pewno był bardzo przystojny, ale widać było od razu, że niewiele o to

dba. Z małej kieszonki jego szarej flanelowej marynarki wystawały cztery ołówki, a krawat, jak Alex od razu zauważył, był podle zawiązany w gruby, bezkształtny supeł, który trudno było nazwać węzłem.

— Poznajcie się — powiedziała Sara, biorąc od Filipa dwie białe róże. — To jest pan Davis, współpracownik Iana, a to pan Alex, który kocha dzieci i nie lubi kobiet prowadzących samochody.

Alex uściśnął rękę młodego człowieka.

— Lubię kobiety, dzieci i samochody — powiedział półgłosem — ale każde z nich wymaga opieki. Co

prawda, znam się tylko na samochodach.

— Tak. — Sara kręciła przecząco trzymaną w ręku różą. — Niech pan nie myśli, że Ian mówił mi tylko o pana bohaterskich przygodach w powietrzu. Wiemy o panu niejedno.

— To pan także brał udział w tym sławnym rajdzie na Penemünde! — powiedział Filip Davis z szacunkiem. — Czytałem o tym, a pan Drummond opowiadał nam kiedyś, jak to się odbyło.

Pan pilotował wtedy?

— Tak. — Ian Drummond stał w drzwiach sieni. — Pilotował i osiem razy naprowadzał nas na cel. Nie mogliśmy wtedy

przedostać się przez osłonę artylerii i myśliwców. Dwie godziny lataliśmy nad Bałtykiem. Pamiętasz... zobaczyliśmy wtedy światła Szwecji. To było zupełnie jak bajka. W całej Europie nie paliła się nocą ani jedna latarnia uliczna i nagle zobaczyliśmy

z daleka oświetlone miasta, ogromne neony i reflektory samochodów na szosach. To była chyba najgorsza noc w moim życiu...

Usunął się, żeby zrobić przejście mężczyźnie, którego Alex nigdy jeszcze nie widział.

— Pan Sparrow — powiedziała Sara — szczęśliwy właściciel naszej pięknej Lucy.

Sparrow, jak gdyby nie słysząc, podszedł do Alexa i podał mu rękę. Była to duża, ciężka ręka, zakończona krótkimi, szerokimi palcami. Alex powiedział kilka zdawkowych zdań i kiedy Sparrow odszedł i stanął obok Drummonda, mówiąc coś półgłosem, przyjrzał mu się. Harold Sparrow nie był wysoki, ale atletycznie zbudowany i bardzo rozrośnięty w barkach. Gdyby nie okulary, można go było wziąć za zapaśnika. Spoza tych okularów patrzyły bystre, jasne oczy, ocienione ciemnymi brwiami. Był prawdopodobnie nieco starszy niż Drummond. Patrząc na niego Alex pomyślał, że mało jest rzeczy, których

ten człowiek nie zdobędzie, jeżeli naprawdę tego zapragnie. Cała jego postać wyrażała rzeczowość, pewność siebie i wolę.

Z parku nadeszła Lucy w tej samej białej sukience, w której widział ją po raz pierwszy.

— Siadajmy! — Sara skinęła na stojącą w drzwiach domu pokojówkę. — Na pewno jesteśmy wszyscy bardzo głodni. Kiedy słońce świeci, ludzie mają lepszy apetyt. Prawda, Lucy?

— Medycyna nic o tym nie mówi. Ale chyba to prawda. Zresztą nie chcę myśleć o moim zawodzie. Pojutrze mam bardzo trudną operację.

— A czy mogą być łatwe operacje

mózgu? — zapytał Drummond biorąc sałatkę.

— Tak. Ale ta będzie trudna. — Lucy umilkła.

— Opowiedz. — Sara odłożyła nóż i złożyła ręce. — Ile razy mówisz o tych sprawach, czuję się bezbronna. A to bardzo, bardzo przyjemnie: być bezbronną nawet przez kilka minut.

— Sama operacja na pewno by was nie zainteresowała. — Lucy roześmiała się, ale nerwowo dotknęła rubinowego wisiorka. — Operacja to kilka osób ubranych na biało i jedna osoba, która śpi i nie wie, co się z nią dzieje. Nikt, kto nie robi operacji i nie atakuje choroby we wnętrzu drugiego, żywego,

bezbronniego człowieka, nie wie, ile to kosztuje. Kiedyś oddałam lancet asystentowi i upadłam obok stołu operacyjnego. Cucili mnie pół godziny. Teraz, na szczęście, tak się nie denerwuję. Ale początkowo miałam chwile paniki. To najgorsze dla chirurga. Operacja w toku, każda sekunda jest droga, a tymczasem nagle ogarnia cię okropne przeświadczenie, że się mylisz, że ręka ci zadrży, że w kulminacyjnym momencie popełnisz małą omyłkę, o centymetr, powiedzmy, albo o milimetr, co zresztą jest czasem równoznaczne. Chory nie obudzi się. — Mówiła to wszystko bardzo spokojnie. Alex

powiódł szybko oczami po obecnych. Chociaż siedzieli w promieniach słońca, w letnie popołudnie, przy nakrytym stole i pośród klombów pełnych rozkwitających kwiatów, wyglądali, jakby zapomnieli o tym. „Ludzie zawsze słuchają o tych sprawach w skupieniu... — pomyślał przelotnie — bo wiedzą, że w każdej chwili i im się to może przydarzyć, i oni mogą znaleźć się na tym stole. Chcą wiedzieć, co myśli lekarz w takich chwilach”. Zauważył, że Sparrow patrzy na swoją żonę z wyraźną dumą. Drugim człowiekiem, który wpatrywał się w nią może jeszcze

intensywniej, był młody Filip Davis. Zdawał się chłonać każde zdanie jak objawienie. Ten na pewno kochał i nie marzył o tym, że będzie kochany. Pożałował w tej chwili tego chłopca i, jak zwykle bywa w takich wypadkach, poczuł do niego odruchową sympatię.

— To kobieta — powiedziała Lucy i nałożyła sobie na talerz plaster szynki z półmiska, który podsunął jej Drummond. — Była do niedawna najnormalniejsza w świecie. Ma męża i małe dziecko. Na szczęście, nie zaczęła od dziecka, bo to by jej się na pewno udało. Pewnego dnia,

gdy mąż wrócił z biura, rzuciła się na niego z nożem kuchennym. Zdołał ją obezwładnić, a sąsiedzi, którzy wpadli do ich mieszkania, słysząc jego krzyk, zatelefonowali po lekarza. Przywieziono ją do domu obłąkanych, bo zdradzała wszystkie objawy szaleństwa. Wieczorem powróciła do przytomności. Nie pamiętała niczego, niczego nie rozumiała. Wpuszczono do niej męża, zachowując oczywiście wszystkie środki ostrożności. Kochają się oboje bardzo i byli w rozpacz. Na drugi dzień atak powtórzył się, kiedy do pokoju wszedł pielęgniarz. Rzuciła się na niego gryząc, kopiąc i wydając nieartykułowane dźwięki. Potem

wszystko znów minęło. Zaczęto ją badać. Sprawa była niejasna, kiedy, dotarła do mnie. Z paru względów poszukiwałam właśnie takiego przypadku, bo wydawało mi się... — Urwała i znowu dotknęła odruchowo swego wisiorka. —

Ale nie o to chodzi. Ona ma ucisk na mózg, spowodowany niewielkim, dobrotliwym nowotworem. Jeszcze dwadzieścia lat temu byłaby dożywno zamknięta w domu wariatów. Niestety, ten nowotwór zaatakował okolice, w których bardzo trudno się poruszać... To ładna, miła kobieta, mają śliczną córeczkę czteroletnią. Mąż jest zupełnie załamany. Bardzo chcę, żeby mi się

udało... Niestety, tu może być tak albo nie. Albo operacja się uda i ona wyzdrowieje, albo umrze na stole. Szansę udania się operacji także wynoszą, mniej więcej, pięćdziesiąt na pięćdziesiąt. Ci ludzie mi wierzą. Mąż podpisał pozwolenie na dokonanie zabiegu. Ona także chce tego bez względu na konsekwencje. Nie dziwię się jej zresztą. To musi być straszne dla niej, kiedy tak nagle traci świadomość. Zresztą nowotwór powoli spowodowałby paraliż niektórych ośrodków nerwowych, a potem prawdopodobnie śmierć.

— Więc dlaczego dobrotliwy? —

zapytała Sara. — Czy ta nazwa nie jest trochę ironiczna wobec tej biednej kobiety?

— Dobrotliwy to taki, który po wycięciu nie odrodzi się. Ale nie mówmy już o tym.

— Dobrze. — Sara roześmiała się. — Rozumiem cię. Myślisz to co ja, kiedy mnie pytają:

Co pani czuje, grając lady Macbeth i stojąc pośród nocy, wsłuchana w krzyk zamordowanego? — Czasem myślę o sztuce, a czasem o nowej sukience, której krawcowa nie zdążyła mi uszyć.

Dla nas operacja to egzotyka, obcy, zdumiewający świat wnętrza ciała ludzkiego. A dla ciebie

to jakby bardzo ważny mecz tenisowy, gdzie trzeba się skupić absolutnie i wyężyć wszystkie siły, żeby zwyciężyć.

— No, niezupełnie... — Lucy uśmiechnęła się lekko. — Ale skoro mówimy o tenisie, może zagramy dzisiaj, jeżeli nie jesteś zmęczona. Żaden z tych trzech młodych ludzi, których miałam tu do tej pory jako towarzyszy, nie gra w ogóle.

— Ja gram! — zaprotestował Drummond.

— Ale nie masz na to nigdy czasu, co na jedno wychodzi. Czy chcesz zagrać po lunchu, Saro?

— Zaraz po lunchu, nie. — Sara

potrzęsnęła głową. — Godzinę muszę poleżeć. Mogę zagrać o drugiej, zgoda?

— Zgoda!

Podano kawę. Drummond i Sparrow rozmawiali półgłosem. Z urywków zdań Alex zrozumiał, że mówią o jednym z ostatnich swoich doświadczeń. Filip przysłuchiwał się im, ale widać było, że więcej zwraca uwagi na to, o czym mówią kobiety.

Wreszcie Sara wstała.

— Ianie — powiedziała — czy po południu też będziecie pracować?

— Nie. — Drummond potrząsnął głową. — W każdym razie ja nie. Wiesz

przecież, że nigdy nie pracuję po południu. Rano i od dziewiątej wieczór do północy. Za to Harold... — wskazał Sparrowa — będzie sam ślęczał nad pewną łamigłówką, którą zadaliśmy sobie i nie umiemy jej na razie rozwiązać. Po kolacji ja go zluzuję.

Milczący Sparrow przytaknął tylko głową.

— Zostanę z panem — Filip Davis przysunął się do niego. — Myślałem trochę o tym równaniu „S” i... — ściszył głos. Niespodziewanie serdecznie Sparrow ujął go pod ramię i słuchając uważnie, oddalił się wraz z nim wzdłuż tarasu, rzuciwszy stojącym krótkie: —

Przepraszamy na razie. Zajęcia.

— Muszę i ja przejrzeć trochę mojej literatury — powiedziała Lucy. — Dostałam ranną pocztą cały plik medycznych pism i jeżeli dzisiaj ich nie przeczytam, to kurz je pokryje jak sto innych poprzednich. — Położyła dłoń na ramieniu Sary. — Chodź, jeżeli naprawdę chcesz zebrać siły przed tym meczem. Dzisiaj nie uda ci się wygrać, przysięgam na to!

— Zobaczymy! — Sara złożyła ręce jak wstępujący na ring bokser i potrząsnęła nimi nad głową. — Będę walczyła jak lwica oswoję młode. — Kiwnęła ręką mężczyznom. — Za godzinę możecie nas znaleźć na korcie,

jeżeli będziecie mieli ochotę.

Weszły do domu. Alex sięgnął do kieszeni po papierosy i poczęstował Drummondą.

Zapalili i ruszyli wokół domu ku nadmorskiemu tarasowi.

„Gdzie jest ten Amerykanin?” — pomyślał Alex i powiedział:

— Twoja żona powiedziała mi, że macie jeszcze jednego gościa.

— Ach, Hastingsa! — Drummond uśmiechnął się i wskazał ręką morze: — Pojechał na ryby ze starym Malachi. Wzięli łódź i wypłynęli zaraz po śniadaniu. Przyjechał tu z całym kompletem rozmaitych amerykańskich przyrządów do zabijania

ryb, zupełnie jakby wyruszał na wojnę. Nasz Malachi tylko pokiwał głową patrząc na te cuda. Potem wybrali się na połów i Malachi złowił pięć pięknych ryb, a Hastings ani jednej! Trzeba było widzieć twarz Malachiego, kiedy wrócili. Wyglądał jak uosobienie wszystkich szczęśliwych konserwatystów świata. Jakby chciał powiedzieć: „A nie mówiłem! Najlepsze są dobre, stare metody dziadków”. Malachi zabrał ze sobą wędkę, którą oczywiście dostał od mego dziadka, kiedy był jeszcze chłopcem. Łowi na stare, cuchnące kawałki mięsa, przymocowane do takich haków, że trudno uwierzyć, aby najgłupsza ryba

chciała na nie nadzieć pysk. Ale nadzieją!

Podeszli do balustrady i przystanęli patrząc na morze. Po obu stronach Sunshine Marior linia wybrzeża wyginała się, zamykając posiadłość pośrodku ogromnego półksiężyca spadających prawie pionowo białych skał. Daleko na widnokręgu widać było dym idącego na zachód, niewidzialnego statku. Blżej morze było sfałdowane gęsto i pokryte drobniuteńkimi falami. Z góry i z tej odległości wyglądało jak ogromna łąka, po której gnały ku brzegowi nieprzeliczone tabuny koni, potrząsających białymi grzywami.

— Czy to łódź? — zapytał Alex

wskazując mały jasnoczerwony żagiel unoszący się i opadający w bruzdach wodnych.

— Tak! To oni. Już wracają.

Łódź zbliżała się z wolna ku skałom niewidzialnej przystani, ukrytej pod urwiskiem.

— Zejdźmy do nich — powiedział Drummond. — Zobaczymy, jak mu się dzisiaj powiodło. Chciałbym, żeby coś złowił przed wyjazdem. Inaczej cała jego wizyta nie będzie miała sensu. Przyjechał tu nie tylko po wielką rybę, ale jak dotąd nie złowił niczego.

Ruszyli wzdłuż balustrady i w miejscu gdzie kończyła się, dotykając wysokiego głazu, na którym rosły

swobodnie gęsto splątane krzaki dzikiej róży i głogu stanowiące dalszą naturalną barierę nadbrzeżną, natknęli się na początek wąskich, wykutych w kamieniu stopni, które zygzakiem schodziły w dół, aż nad morze.

— A kim on jest? — zapytał idący z tyłu Alex. — Czy to także chemik? Nie gniewaj się, ale nie znam zupełnie znakomitości w tej dziedzinie, poza tobą, oczywiście.

— O mnie nie mówmy! — Nie zatrzymując się Drummond rozłożył ręce i przez chwilę wyglądał jak wielki ptak, na tle dalekiego morza i bliskich skał. — Im dłużej pracuję, tym mniej rozumiem. W tej chwili jestem w

stadium, w którym mam już systematycznie ułożone w głowie sprawy zupełnie dla mnie nierozwiązalne. Co roku ich przybywa... Ale o mnie nie mówmy. Robert Hastings to wielki uczonec. Powiedziałem ci, że przyjechał nie tylko po wielką rybę. To prawda. Chciałby się zorientować w naszej pracy, ale to też nie jest najważniejsze. Chciałby przede wszystkim, żebyśmy wszyscy: Sparrow, ja, nawet młody Davis, znaleźli się w Ameryce i pracowali tam z nim razem. Powiedział, że wierzy w nas. To znaczy, że przemysł amerykański wierzy, że wyprzedzamy ich teraz trochę. Nie mogę powiedzieć, że mnie to martwi.

Jest to bardzo zarozumiałe towarzystwo, które ma absolutne przekonanie, że cały postęp wiedzy musi rodzić się u nich. Za milion funtów nie dałbym sobie odebrać przyjemności wyprzedzenia ich o parę długości.

Byli teraz w połowie urwiska. Łódź zbliżała się. Odróżnić w niej było już można wyraźnie dwóch ludzi, z których jeden siedział przy sterze trzymając linkę żagla, drugi stał na dziobie kołysząc się na szeroko rozstawionych dla równowagi nogach. Sunęli wprost ku ukrytej za ogromnym załomem skalnym cichej przystani, przytykającej do kawałka gładkiej plaży. Alex przypomniał sobie,

że w czasie odpływu plaża ta powiększała się wielokrotnie i można nią było wyjść kilkaset jardów do miejsca, gdzie w tej chwili szumiały fale.

— Zdaje się, że Hastings ma coś — zawołał Drurnmond i wskazał wyciągniętą ręką. Rzeczywiście, człowiek stojący na dziobie trzymał przed sobą coś, co wyglądało jak wielki podłużny worek. Łódź przeskoczyła barierę fal i zatoczywszy miękkie półkole w spokojnej wodzie, zaryła dziobem w piasek. Zanim jednak dotknęła ziemi, usłyszeli wołanie:

— Nareszcie mam ją, Ianie! Mam ją!
— Hastings kiwał ku nim z pokładu.

Drugi siedzący

na rufie rybak zeskoczył szybko, kiedy dziób dotknął brzegu, i idąc po kolana w wodzie, zręcznie popchnął łódź dalej, wykorzystując zbliżenie się długiej fali przybrzeżnej. Stojący na dziobie zeskoczył na ziemię, a potem sięgnął po zdobycz, którą porzucił na chwilę w łodzi. Alex

i Drummond byli już na dole.

— Spójrz! — powiedział rybak. Rzeczywiście, ryba była przerażająca, prawie trójkątna, o ohydnej zębatej paszczy otwartej teraz bezsilnie. — Trafiłem ją harpunem! Godzinę nas kosztowało, zanim dała się

wciągnąć do łodzi. Gdyby nie Malachi, nie oglądałbym jej chyba. Wyciągnęła nas prawie dwie mile w morze, holując pod wiatr i rozpięty żagiel. Dopiero tam udało mi się uderzyć ją po raz drugi i straciła siły.

— Piękna panna! — powiedział Drummond, klepnąwszy rybę po grzbiecie, którego łuska bardziej przypominała pancerz średniowiecznego rycerza, niż to, co ludzie zwykli nazywać rybią łuską. — Poznajcie się. To jest pan Joe Alex, mój przyjaciel z czasów wojny, a to profesor Robert Hastings, mój przyjaciel i równocześnie konkurent w sprawach związanych z pewnym żółtym materiałem, a właściwie

tym, co się da z niego uzyskać. — Alex uścisnął dłoń profesora.

Spod okapu rybackiej czapki spojrzwały na niego mądre, sympatyczne oczy, pełne wyrazu i pogody. „Optymista... — pomyślał Joe — urodzony optymista, któremu w dodatku dobrze powiodło się w życiu i jest na tyle inteligentny, żeby rozumieć, że to nie tylko jego zasługa, ale także i losu”. Amerykanin miał szczupłą twarz o ostrych rysach, nieładną może, ale w sumie dającą obraz tego, co nazywa się męską urodą, a co bywa często połączeniem opalenizny, energii, przedsiębiorczości i radości życia. „Jeden z tych ludzi, których lubią kobiety, psy i dzieci. Na

pewno myśliwy, rybak, może nawet dobry pływak albo lotnik amator. Kocha swoją pracę i chce osiągnąć w niej doskonałość, ale równocześnie wie, że życie składa się nie tylko z pracy”... Wszystko to pomyślał, patrząc już nie na Amerykanina, ale na drugiego człowieka, który w tej chwili wychodził z wody. Spod kaptura rybackiej czapki wyglądała stara, pomarszczona i spalona wiatrem twarz. Tylko oczy w niej były młode, jasnoniebieskie i tak czyste, jak oczy pięcioletniego dziecka.

— Zaczekaj, Malachi! — krzyknął Drummond. — Pomożemy ci!

Razem podciągnęli łódź wyżej, na suchy piasek. Malachi wyprostował się i

spojrzał na idącego ku niemu Alexa.

— Czyżby to był pan Alex? Witamy pana w Sunshine Manor. Tyle lat! Nic się pan nie zmienił, proszę pana! — Był wyraźnie uradowany. Alex uściśnął serdecznie jego rękę.

— Malachi — powiedział — pamięta pan, jak siadywaliśmy tu, na tej przystani, i przyglądaliśmy się Hunom, kiedy lecieli z Francji na Londyn? My wszyscy byliśmy zmartwieni, tylko pan pykał swoją fajeczkę i mówił pan, że nie takie rzeczy ta nasza dobra, stara wysepka wytrzymała, więc i to wytrzyma.

— A czy nie miałem racji? — Malachi uśmiechnął się, ukazując rząd

białych, zdrowych zębów, które w tej pomarszczonej twarzy wyglądały jak pożyczone od kogoś o wiele młodszego.

— Miał pan. — Joe sięgnął do kieszeni. — Zdawało mi się, że zawsze pali pan w prostych fajkach. Nie wiem, czy dobrze to zapamiętałem? — Wyciągnął ku niemu pudełko z fajką. — Może się przyda jeszcze jedna?

Stary ogrodnik otarł wilgotne ręce o skraj impregnowanego kaftana rybackiego i otworzył pudełko.

— Bardzo piękna, proszę pana. Dziękuję panu bardzo. To dobrze, że pan przyjechał do nas. Pamiętam, kiedy panowie przyjechali, rozbici po tym wypadku...

„Zaraz zapyta mnie o Bena Parkera”... — pomyślał Alex, ale stary Malachi raz jeszcze obejrzał fajkę, wetknął ją do ust, a potem ponownie schował do pudełka.

Ruszyli wszyscy czterej pod górę. Hastings niósł swoją ogromną rybę i nie dał się w tym wyręczyć. Zdjął tylko kaptur i Alex dostrzegł, że jest zupełnie łysy, ale łysina ta nie szpeciła go. Przeciwnie, dodawała mu godności, jak ongi starym Rzymianom, których łyse konterfekty w marmurze są w oczach współczesnego człowieka pełne cezaryjskiej godności.

— Zaraz spreparujemy ten łeb dla pana — powiedział Malachi — żeby go

pan mógł zabrać
na pamiątkę.

Hastings ucieszył się tym najwyraźniej i zapytał, czy dowiezie na pewno głowę ryby po tak krótkim przygotowaniu. Na to Drummond przypomniał parę swoich trofeów, które stary ogrodnik zakonserwował sobie tylko znanymi metodami. Alex nie przysłuchiwał im się uważnie. „Czegoś tu brak? — myślał. — Ale czego? Już wiem. Nie zapytał mnie o Parkera. Dlaczego Malachi nie zapytał mnie o Parkera?”

— Muszę popatrzeć na pracę przy tej rybie! — Hastings wydawał się tak przejęty, jak gdyby decydowały się w tej

chwili losy jego wizyty w Anglii. —
Czy można będzie?

— Czemu nie? — Ogrodnik
uśmiechnął się. — Chodźmy.

Ruszyli przez taras.

— Ponieważ my nie złowiliśmy
takiej ryby, więc nie będziemy patrzyli
na to zazdrosnym okiem — powiedział
Drummond. — Pan Alex i ja
przejdziemy się trochę po parku. Jest za
ładny dzień

na to, żeby spędzać go przy wędzeniu
rybich głów. Chodź, Joe!

Pociągnął Alexa w stronę domu.
Hastings i ogrodnik ruszyli w kierunku
małego domku, stojącego tuż nad
urwiskiem i tak oplecionego bluszczem i

pękami dzikiej róży, że poza kominem i fragmentem czerwonego dachu niewiele można było z niego dostrzec.

Drummond i Alex przeszli sień i znaleźli się na tarasie po przeciwnej stronie domu. Park był teraz w pełnym rozkwicie lata. Cztery olbrzymie platany, stojące jak potężni wartownicy po obu stronach wejścia do głównej alei, lśniły w słońcu białymi pniami. Dalej park ginął za podwójną barierą starych lip, pod którymi tylko gdzieś widać było początek znikających w cieniu wypracowanych ścieżek. Obaj mężczyźni weszli w milczeniu w

monumentalną aleję lipową, która, jak zauważył ze smutkiem Alex, nie zmieniła się w ogóle od chwili, kiedy ją widział po raz pierwszy. „Miałem wtedy dwadzieścia lat — pomyślał nagle prawie z rozpaczą — dwadzieścia lat... byłem młody...” Ale i dziś nie czuł się stary. W jakiś zdumiewający sposób życie odsuwało się i ciągle było przed nim. Ciągle wierzył, że nastąpi dzień, w którym zacznie się ono naprawdę, jak gdyby to wszystko, co przeżył, było tylko stanem prowizorycznym, który później ulegnie stabilizacji i nabierze sensu.

— Wiesz — powiedział nagle Drummond — dopiero od niedawna

zacząłem wierzyć, że życie zaczęło się naprawdę.

Alex drgnął, Ian powiedział to tak, jak gdyby czytał w jego myślach.

— Masz szczęście — odparł siląc się na wesołość. — Ja tego o sobie nie mogę powiedzieć.

— Ciągle jeszcze nie możesz się odnaleźć!

— Ciągle jeszcze.

Znowu umilkli.

— I ja myślałem tak samo, kiedy wojna się skończyła. — Drummond zatrzymał się, podniósł zeschnięty patyk i ostrożnie usunął nim ze ścieżki tłustą, włochatą gąsienicę, która najwyraźniej chciała przejść na drugą stronę, nie

wiedząc nic o butach człowieczych. — Początkowo wszystko: moja praca, tryb życia, rozmowy w laboratorium i w klubie, ulica i te wszystkie sprawy, którymi ludzie zajmują się w czasie pokoju, wydawały mi się bardzo śmieszne i nic nie znaczące. Patrzyłem na ludzi i mówiłem sobie: „Co on wie? Cóż on może zrozumieć? Przecież nie leciał ze mną nocą tu czy tam ani nie spał w butach i w kombinezonie, czekając na alarm wzywający załogi do maszyn. Co on wie? Co inni wiedzą? Co może mnie z nimi łączyć?” A potem powoli to przeszło. Na pewno przeżywałeś to

samo. Tamten świat zaczął blednąć,
zacierać się,
stał się podobny do sensacyjnego filmu,
który na pewno kiedyś oglądałem, ale w
którym przecież nie mogłem brać udziału
ja, profesor chemii, członek
Królewskiego Towarzystwa, spokojny
badacz, zajęty maleńkimi procesami
wewnątrz niedostrzegalnych pyłków
materii. I wreszcie uwierzyłem w to.
Ale to nie było jeszcze wszystko.
Wartość tamtego świata, ostrość jego
przeżyć
i jego wspaniała, straszna barwa
trzymały mnie nadal w sidłach.
Nudziłem się nieustannie,
nie umiałem sobie znaleźć rozrywek,

które by mnie rozweselały, i wypoczynku, po którym byłbym wypoczęty. Nie przypuszczałeś tego, prawda? — spojrzał z ukosa na przyjaciela.

Szli teraz wąską ścieżką, która odbiegała prostopadle od lipowej alei i wiała się przez angielski park, zarośnięty krzewami i nie strzyżoną, wysoką trawą, przetykaną polnymi kwiatami.

— Nie — powiedział Alex szczerze. — Nie przypuszczałem tego. Wydawało mi się, że ty najłatwiej z nas wszystkich potrafisz powrócić do życia i cieszyć się nim. Nawet tam... wtedy... nie sprawiałeś wrażenia, jakbyś... jakbyś...

to zanadto przeżywał... Bo, ja, widzisz, bałem się wtedy... okropnie się bałem, całymi latami... — Odetchnął głęboko.

— Boże! — Drummond przystanął. — A czy myślisz, że ja się nie bałem? Czy człowiek może nie bać się śmierci, jeżeli ciągle, codziennie jest na nią narażony? W pierwszej chwili to może być przygoda, później pasja, ale w końcu pozostaje tylko strach. Wiesz, myślę, że gdyby wojna nie skończyła się w maju, to chyba zwariowałbym w czerwcu. Byłem już zupełnie wyczerpany, zupełnie!

— Naprawdę?

— Daję ci na to słowo. Co dziwniejsze, byłem zawsze przekonany,

że to właśnie ty, ty,
który miałeś ciągle dobry humor i
potrafiłeś żartować w
najkoszmarniejszych sytuacjach... że ty
się nie boisz. Tak strasznie ci
zazdrościłem. Gdybym wiedział...

— To bardzo zabawne —
powiedział Joe — że dopiero po tylu
latach dowiadujemy się prawdy
o sobie, chociaż tak długo wtedy żyliśmy
pod jednym dachem i ciągle razem
znosiliśmy dokładnie to samo.

— Myślę, że te wszystkie lata
musiały minąć, żebyśmy mieli odwagę
mówienia prawdy
o tamtym swoim lęku. Wtedy trudno było
o tym mówić.

— Tak. Wtedy trudno było o tym mówić. Znaleźli się w punkcie, gdzie ścieżka kończyła się wśród bezdroża kwiatów. Stała tam drewniana ławeczka, a przed nią niski kamienny stolik, pokryty zielonym mchem, na który padała ostra smuga słońca przedzierającego się wśród gałęzi jarzębiny. Usiedli.

— Ale jednak odnalazłeś sens życia — powiedział Alex w zamyśleniu. — Na pewno masz słuszość. Gdybym był tobą, też bym go chyba odnalazł. Masz cudowną żonę i wspaniały zawód, w którym zostałeś tym, co nazywają wielkim człowiekiem. Połączenie tych dwóch namiętności może na pewno dać

szczęście. Myślę, że mnie wystarczyłaby nawet jedna z nich.

— A przecież i ty mogłeś sobie znaleźć z pewnością cudowną żonę — uśmiechnął się Drummond — i wierzę w to, że mógłbyś także ludziom powiedzieć wiele ciekawego o sobie i o nich w swoich książkach, gdybyś nie pisał tych kryminalnych łamigłówek. Nie. Nie dlatego odnalazłem sens życia. To pojęcie wynika, jak mi się wydaje, z prostego faktu, że człowiek budzi się rano i mówi sobie: „Chcę żyć. Jestem sobie potrzebny. To, co się ze mną dzieje, zajmuje mnie i mam zamiar z wszystkich sił wpływać na mój los”. Ze mną stało się to, kiedy

już byłem żonaty
i miałem jakie takie nazwisko w chemii.
Obudziłem się pewnego dnia właśnie z
takim przeświadczeniem, jakbym
przestał czytać długą, męczącą książkę,
która opisywała moje dotychczasowe
myśli, a wziął do ręki inną, weselszą,
prawie chłopięcą. I teraz jestem
szczęśliwy,
o ile człowiek dorosły może być w
ogóle szczęśliwy. Wierz mi, że
chciałbym żyć sto lat
i dla każdego z tych lat umiałbym już
znaleźć pełną treść. Wydaje mi się, że
człowiek może zrobić dużo dobrego dla
siebie i innych, jeżeli naprawdę chce. A
ja chcę!

Joe Alex spojrział na niego z wyraźnym zadowoleniem.

— Bardzo się cieszę! — powiedział szczerze. — Zazdroszczę ci, ale naprawdę bardzo się cieszę. Wierzę, że będziesz długo, długo szczęśliwy, oby jak najdłużej. — I jakby zawstydzony tym nagłym wybuchem serdeczności, wstał. Drummond także się podniósł.

— Ciekaw jestem — powiedział po dłuższej chwili — czy Parker też tak przez to przechodził?

— Nie wiem. — Alex wzruszył ramionami. — Jest osiem lat starszy niż ja. Był już dorosły, kiedy poznaliśmy się. Ja miałem dziewiętnaście lat, a ty, zdaje się, dwadzieścia dwa. —

Drummond skinął potwierdzająco głową. — Był starszy od nas — ciągnął dalej Joe — i miał inny zawód. On już wtedy pracował w Scotland Yardzie. Do wojska przeszedł, zdaje się, trochę służbowo. Najlepszy dowód, że do zakończenia wojny nie wiedzieliśmy, gdzie pracował przed 1939 rokiem. Myślę, że tacy ludzie jak on, którzy ciągle mają do czynienia z najgorszą stroną ludzkiej psychiki, którzy muszą rozważać, czy i dlaczego ktoś popełnił taką czy inną zbrodnię, wytwarzają w sobie instykt podobny do zwielokrotnionego przez ludzki intelekt instyktu psa gończego. Sam czasem tego doznaję,

kiedy piszę i staram się wraz z moim fikcyjnym detektywem osaczyć i wykryć przestępcę. Ben mówił mi, że także to odczuwa, ten kategoriyczny imperatyw, który każe mu nakładać na wszystkie codzienne myśli i czynności tę jedną nadrzędną myśl: o człowieku, którego musi schwytać... — Urwał. — Widziałem go niedawno — dodał. — Szczerze mówiąc, nie dalej, jak wczoraj wieczorem. Byłem z nim w teatrze i razem podziwialiśmy twoją żonę. Była zdumiewająca.

— Czy... — Drummond zawahał się. — Czy rozmawiał z tobą o mnie?

— Tak. Mówił mi, że widział się z tobą i że zaniepokoił go anonimowy list,

który nadszedł do Scotland Yardu. Mówił mi zresztą, że pokazywał ci ten list.

— Tak. — Ian machnął ręką. — To najwyraźniejszy nonsens! Ben był tu w przebraniu, zupełnie jak detektyw z powieści. Najpierw zaczepił starego Malachi Lenehana, który go przecież zna z czasów tamtego naszego urlopu przed piętnastu laty. Potem kazał Malachiemu pójść do mnie i wywołać mnie tak, żeby nikt o tym nie wiedział. Stary zrobił to i zachowywał się przy tym w taki sposób, że kiedy później przypominałem to sobie, nie mogłem powstrzymać się od śmiechu.

Ale w pierwszej chwili byłem nawet

zaniepokojony. Spotkałem się z nim w domku ogrodnika, w tym samym, do którego poszli teraz wędzić tę głowę czy też wypychać ją... nie wiem, co Malachi robi, żeby je zakonserwować... Nie poznałem Bena w pierwszej chwili. Wyglądał jak tramp, zarośnięty, w połatanej kurtce i w brudnych tenisowych pantoflach. Potem rozmawialiśmy. Nie dał się, oczywiście, namówić na obiad w domu i zaraz po rozmowie zniknął. Prosił mnie tylko, żebym pokazał ten list Sparrowowi. Mówił z nim zresztą potem krótko na moją prośbę. Prosił bardzo, żebyśmy utrzymali to w tajemnicy, to

znaczy ten list, ale oczywiście ani Sparrow, ani ja nie widzieliśmy powodu, żeby nie wspomnieć o tym Lucy, Sarze i Filipowi, któremu bądź co bądź również mogłoby zagrażać jakieś niebezpieczeństwo, gdyby ten nonsensowny list zawierał chociaż ułamek prawdy. Prosił mnie, abym pozwolił zamieszkać w służbowym pokoju domu jednemu z jego ludzi na wszelki wypadek, żeby był pod ręką, gdyby zaistniała potrzeba. Oczywiście nie zgodziłem się, bo po pierwsze, nie chcę mieszkać razem z policjantem, który mnie pilnuje, a po drugie, sama obecność takiego człowieka tworzy

pewnego rodzaju psychozę, która mogłaby się źle odbić na naszej pracy. Zgodziłem się tylko dać pozwolenie dwom młodym ludziom, aby rozbili na mojej ziemi namiocik campingowy tuż przed bramą. Zajmują się oni łapaniem motyli, ale Parker zaręczył mi, że dzień i noc będą strzegli dostępu do posiadłości i kontrolowali schodki przystani na wypadek, gdyby miało coś zagrażać od strony morza... — Roześmiał się wesoło. — Bałem się, że umieści na którymś z drzew policjanta, przebranego za dziecięcia, który będzie stukał bez przerwy, aby udokumentować swoje przebranie. Zresztą jesteśmy teraz strzeżeni jak perły seraju, bo nocą

Malachi zawsze spuszcza dwa ogromne wilczury, które biegają po ogrodzie, i nie chciałbym być tym ciekawskim, który się z nimi spotka. Są wytresowane przez starego i nie mogliby ich nawet otruć, bo jadają tylko to, co dostają bezpośrednio od niego. Poza tym Ben przyjedzie tu za parę dni. Na to oczywiście zgodziłem się jak najchętniej, bo niezależnie od pracy w policji jest, obok ciebie, jednym z najbliższych mi ludzi, chociaż tak rzadko się widzimy. Myślę, że kiedy sam tu będzie, odetchnie nareszcie. — Znowu się roześmiał. — A wiesz, że kazał mi zwrócić pilną uwagę na Hastingsa! Czy

oni sobie wyobrażają, że uczony tej miary wsypie cyjanek do kawy koledze? Zresztą nie tylko o to mu chodziło. Byłem zdumiony, kiedy stwierdziłem, że Ben wie masę o mnie i o moich badaniach. O Sparrowie, którego nie widział nigdy w życiu, mówił jak o starym znajomym. Zresztą... — tu uśmiech jego stał się trochę złośliwy — jeżeli chodzi o Hastingsa, nie musiał mnie aż tak bardzo ostrzegać. Mamy zwyczaj zamykania na klucz tej części domu, w której jest laboratorium. Prowadzi do niego tylko jedna droga: przez mój gabinet. Klucz do gabinetu jest specjalny, tylko jeden i oddajemy go

sobie nawzajem, a nocą mam go w pokoju. Poza tym w gabinecie jest dobra kasa ogniotrwała. Wszystko, co mogłoby się przydać nieproszonym gościom, jest w niej, a klucz mamy tylko my dwaj: Sparrow i ja. Nawet Filip nie ma do niej bezpośredniego dostępu. Okna całego parteru są potężnie okratowane od stu lat, a część laboratoryjna ma dzwonki alarmowe. Jak widzisz, badania prowadzone są w fortecy: psy, policjanci w namiocie, kraty, kasy, klucze! A w dodatku zobowiązał mnie, żebym mu podawał nazwiska gości i dnie, kiedy Sparrow albo ja opuszczamy Sunshine Manor. Na szczęście

już niedługo to potrwa. Myślę, że za miesiąc skończymy to, nad czym pracujemy, to znaczy opanujemy podstawy technologiczne naszej metody. Gdyby któremuś z nas coś się stało, drugi potrafi doprowadzić sprawę do końca. Później niech się martwi o to przemysł.

— Myślałem — powiedział Alex — że doświadczenia chemiczne prowadzi się w jakichś specjalnych budynkach. Przecież wyszliśmy już z epoki badaczy pracujących w domu.

— Oczywiście! — Drummond klasnął w ręce. — Boże mój! Robimy masę badań, ale przeprowadzamy je daleko stąd, to

znaczy nie my, ale na nasze polecenie pracuje nad tym cały sztab ludzi. Nie musimy tam wcale być. Dajemy zadania i otrzymujemy wyniki. Co drugi dzień przyjeżdża samochód z Londynu tylko w tym celu. Tu, na miejscu, zajmujemy się tylko teorią. Laboratorium służy czasem do pewnych doświadczeń, które dadzą się wykonać na miejscu. Kieruje nim Filip i on zdejmuje nam z głowy wiele pracy przy doświadczeniach... — Urwał. — Myślę, że Hastings dużo by dał, żeby wiedzieć, co właściwie robimy i dokąd już dobrnęliśmy.

Jest bardzo miły. Znam go od dawna. Byłem jego gościem w Ameryce i

zaprosiłem go tutaj
w wypadku, gdyby zawitał do Anglii.
Przyjechał i staram się, żeby mu było tu
jak najlepiej.

Ale on, biedak, pragnąłby bardzo zabrać
któregoś z nas z sobą.

— Nie rozumiem — Alex potrząsnął
głową. — Co to znaczy?

— To znaczy, że może istnieć, na
przykład, jakaś amerykańska firma, która
powie:

„Panu Sparrow albo panu Drummond
zapłacimy pół miliona dolarów, jeżeli
przyjedzie

do nas i odda nam swoją wiedzę i
umiejętności, zamiast oddawać je komu
innemu. Zarobi

na swoich badaniach pięć razy tyle, co w Anglii, a potem możemy zawrzeć z nim jeszcze korzystniejsze umowy”.

— I ludzie robią takie rzeczy?

— Oczywiście! A gdyby tobie amerykański wydawca zaproponował pięć razy tyle co angielski za prawo pierwszeństwa, czy nie sprzedałbyś mu swojej książki?

— Chyba tak... ale w pewnym sensie to nie ma znaczenia, kto wydaje książki. Natomiast ma duże znaczenie, kto korzysta z badań.

— Na pewno. Dlatego my pracujemy dla krajowego przemysłu. Ale nigdy nie wiadomo, czy ten dział krajowego przemysłu nie

okaże się nagle zamaskowaną własnością amerykańską.

To jest dżungla, mój kochany. Trudno, żeby zwykły chemik mógł się w niej zorientować.

Tym razem jest trochę łatwiej, bo pracujemy bezpośrednio dla rządu. Stąd, prawdopodobnie, zainteresowanie Scotland Yardu.

— No dobrze — Alex nie dawał jeszcze za wygraną. — Ale gdyby, na przykład, pan Hastings odbył rozmowę z twoim współpracownikiem, panem Sparrow, mówię to oczywiście tylko teoretycznie, i obaj doszli do wniosku, że pan Sparrow chce zmienić klimat i opuścić Anglię na rok albo dwa,

aby odbyć podróż po Stanach Zjednoczonych, to co wtedy?

— Nic. — Drummond rozłożył ręce. — Jeżeli przekaze im coś, co jest bezspornie moim dziełem, wtedy mogę mu wytoczyć proces. Ale proces ten będzie spóźniony o tyle, że tajemnica wymknie mi się z rąk. Ponieważ badania nasze są wspólne, więc oczywiście miałbym zapewniony dochód z tego, co by on uzyskał, jako z praktycznego wyniku naszych prac. Oczywiście, nie byłoby to wszystko bardzo przyzwoite z jego strony, ale mógłby, na przykład, przyjść teraz do mnie i powiedzieć, że nie interesuje go już

współpraca ze mną. Trudno byłoby temu zapobiec. Moglibyśmy przecież pokłócić się prywatnie i skutki byłyby takie same. Po prostu zakłada się, że ludzie pracują z sobą nie po to, żeby oszukiwać swój kraj i swoich towarzyszy pracy.

Ale naprawdę bardzo wiele zależy tu od etyki. Zresztą gdyby Sparrow powiedział mi albo ja jemu, że rezygnuję ze współpracy z nim, ale gotów jestem uszanować tajemnicę i prawo własności problemów, które razem opracowaliśmy, wówczas odpadłby nawet problem etyczny. Mógłbym spokojnie oddać moją wiedzę Amerykanom, zmieniając nieco pole

badań, ale oczywiście korzystając ze
wspólnych doświadczeń, bo tego uczony
nigdy nie może uniknąć. To bardzo
trudna sprawa... Mówię o niej tylko
nawiasowo, bo trudno coś takiego
przypuścić. Biedny Hastings
od chwili przyjazdu stara się nam dać do
zrozumienia, że moglibyśmy być
oczkiem w głowie ludzi interesu jego
ojczyzny. Sam jest nie tylko badaczem,
ale i przemysłowcem bardzo poważnie
zaangażowanym w produkcję wytworów
syntetycznych. To znakomity umysł.
Myślę, że gdyby tylko znał pomysł, na
którym opiera się nasza metoda, w
krótkim czasie byłby co najmniej
tak zaawansowany jak my. Na szczęście

nie zna go. To nie jest wcale taka łatwa sprawa.

Wbrew pozorom wiedza nie posuwa się wcale naprzód w sposób mechaniczny. Bywają wielkie przypadki, wielkie improwizacje, a czasem nawet decydują poszczególne przebłyski myśli z gatunku tych, które miewa się przed zaśnięciem i notuje w leżącym przy łóżku notesie. To bardzo piękna wojna na umysły. I my, uczeni, kochamy ją w jakiś sposób, bo to wojna konstrukcji, a nie burzenia. Dlatego list ten wydaje mi się absurdem. Nawet gdyby nasza metoda miała

dać nadspodziewane wyniki, to jest to tylko kwestia dwu do trzech lat, a

wszystkie rozwinięte przemysłowo kraje świata będą ją umiały zastosować w praktyce. Później tajemnica nie ma już takiego znaczenia. Chodzi o pierwszeństwo, o zdobycie rynków, utrwalenie dobrej marki danego kraju w wyścigu postępu. Oczywiście, dochodzą do tego wielkie sumy za sprzedaż licencji, a poza tym trochę sławy dla nas, skromnych badaczy. No i trochę pieniędzy. A za dwadzieścia lat cała sprawa będzie przestarzała i przyjdą nowe, udoskonalone metody i pomysły, o których nam się na razie nie śni. I tak toczy się światek. Rozumiem doskonale, że można chcieć kupić twórców jakiejś interesującej metody produkcyjnej,

rozumiem, że można robić starania tego rodzaju.

Ale grozić im? Zabijać ich? Nie, to absurd. Nikt takich rzeczy nie robi i nie miałyby one żadnego głębszego sensu. A możemy wielkim koncernom zarzucać wiele rzeczy, ale nigdy bezsensowności działania. Nie wierzę w to wszystko.

— Oby tak było — mrukną Alex. —
W końcu, jeżeli nic się nie stanie, to znaczy, że stanie się to, co przewidujesz. Ja też nie bardzo wierzę w takie sensacyjne zamierzenia. A jeżeli miałyby one naprawdę jakiś sens, to nie wierzę absolutnie, żeby jakaś osoba postronna, autor listu,

była w nie wtajemniczona.

— No pewnie!

Idąc przesunęli się teraz ku wschodniej stronie parku. Usłyszeli uderzenia raket o piłki i przytłumione krzewami głosy.

— Zdaje się, że panie już zaczęły grę! — powiedział Alex.

— Tak! — Drummond ujął go pod ramię. — Dajmy spokój rozważaniu tamtych głupstw. Zobaczmy lepiej, co się dzieje na korcie.

Przeprowadził Alexa na przełaj przez trawnik, pośród kęp dziko rosnącego fioletowego bzu. Uderzenia piłek były coraz wyraźniejsze. Po chwili spoza drzew dostrzegli siatkę, a poza nią

trawiasty kort i dwie poruszające się postacie kobiece w bieli. Obie panie ubrane były w króciuteńkie szorty i białe koszulki. Na ławce, tuż przy korcie, siedział Filip Davis i od czasu do czasu wykrzykiwał głośno stan gry.

— Mecz! — powiedział Drummond.

— Chodź, zobaczymy, co się tu dzieje!

— Trzydzieści: piętnaście — zawołał Filip.

Sara serwowała. Odchyliła się głęboko do tyłu i strzeliła potężną bombę, którą Lucja Sparrow przyjęła z najwyższą trudnością. Sara była już przy siatce. Biegła jak młody chłopiec. Błyskawiczny doskok i piłka posłana w

przeciwny róg minęła bezradną Lucy.

— Aut! — powiedział Filip. — Po trzydzieści.

Więc piłka była trochę za długa. Lucy spokojnie stanęła przy tylnej linii kortu, gotując się do odbioru serwu. Sara znowu strzeliła. Piłka uderzyła w siatkę. Drugi serwis zwykle powinien być słabszy. Lucy zbliżyła się o dwa kroki.

Ale Sara rąbnęła jeszcze silniej i piłka prysnęła pod stopy przeciwniczki, nie dając jej żadnej szansy.

— Przewaga serwis! — powiedział Filip.

Teraz Sara zaserwowała lżej i Lucy puściła piłkę długim crossem w drugi

róg. Sara doszła do niej i odbiła krótko. Zdawało się, że Lucy odbije znowu w przeciwny róg, ale ona podcięła piłkę, która usiadła prawie za siatką. Trawiasty kort przyjął ją niemal bez kozła.

— Równowaga!

— Świetnie grają — powiedział Alex. — Nigdy nie przypuszczałem, że nieznane amatorki...

— Lucy jako panna była jedną z najlepszych junierek Londynu. — Drummond roześmiał się. — Ona wspaniale myśli przy grze! Lubię na nią patrzeć, kiedy walczy. Robi zawsze to, co powinna w danej chwili zrobić. Sara to huragan.

Jeżeli jej wszystko wychodzi, nie ma przeciwniczki, która by mogła to wytrzymać. Rąbie jak mężczyzna. Nigdy byś nie przypuścił, jakie silne uderzenie ma ta mała ręka. O, zobacz!

Lucy odbiła właśnie piłkę na koniec kortu i wydawało się, że wszystko, co może zrobić przeciwniczka, to odbić ją na powrót z najwyższym wysiłkiem i dać możliwość Lucy robienia z piłką, co tylko będzie chciała. Ale Sara była jak błyskawica, z półwoleja posłała piłkę na samą linię, w róg przeciwległy do tego, gdzie stała Lucy, która rzuciła się rozpaczliwie i zdołała odbić

ją wysokim, miękkim lobem. Kiedy piłka leciała wolno w górze, Sara patrzyła na nią, podbiegając truchtem do siatki. Potem rakietą zafurkotała w jej ręce. Alex nie dostrzegł całego ruchu, tak był szybki. Potężnym smeczem, którego nie powstydzilyby się korty Wimbledonu, posłała straszną bombę prosto pod nogi Lucy. Ta nie drgnęła nawet, tylko podniosła raketę.

— Brawo! — zawołał Alex.

Sara uśmiechnęła się.

— Przewaga serwis!

I znowu serw, odbicie, Sara zdążyła do siatki, Lucy chciała ją przerzucić i piłka wyszła na aut.

— Stan gemów pięć: cztery dla pani

Drummond! — zawołał Filip.

Zawodniczki zmieniły strony. Kiedy przechodziły obok siedzących, Lucy powiedziała:

— Roznosi mnie twoja żona!

Ale oddychała zupełnie spokojnie. Natomiast Sara była zarumieniona i schyliwszy się, otarła twarz ręcznikiem.

Lekki, podcięty serwis Lucy Sara odbiła w aut.

— Piętnaście: zero! — powiedział Filip.

Drugi serwis był mocniejszy, ale Sara strzeliła prawie na oślep i tak potężnie, że Lucy tylko podrzuciła trzymaną w ręce drugą piłkę i przeszła

na drugą połowę kortu.

— Po piętnaście!

„Ona gra rozpaczliwie... — pomyślał Alex. — Wygrywa, ale gra rozpaczliwie.

Wie, że jeżeli przestanie bić z całej siły, wówczas spokój tamtej rozbije jej ofensywę i przegra.

Ale to ładnie, że wkładają tyle serca w grę”.

Lucy stała teraz wyprostowana za tylną linią kortu. Spojrzała na przeciwniczkę. Sara ustawiła się niedaleko linii odbioru, pochylona, trzymająca rączkę rakiety w obu dłoniach. Lucy podrzuciła piłkę i ku zdumieniu Alexa, który spodziewał się

raczej słabego, podciętego ruchu, mającego wytrącić Sarę z uderzenia, strzeliła bardzo silnie i celnie. Sara była tak zaskoczona, że nie drgnęła nawet.

— Trzydzieści: piętnaście! —
obwieścił Filip.

Po kolejnym serwie Sara odbiła źle, prawie na raketę rywalki. Lucy skróciła piłkę, a kiedy przeciwniczka doszła do niej z najwyższym trudem, minęła ją spokojnie wzdłuż linii i nie spojrzawszy nawet za piłką zawróciła do linii serwisowej.

— Czterdzieści: piętnaście!

Alex zobaczył, że Sara ociera twarz przedramieniem. Jeżeli Teraz nie skupi

się, Lucy wyciągnie stan gemów na pięć: pięć Wiedział, a prawdopodobnie wiedziała to i Sara, że wtedy nie będzie miała już siły stawiać oporu tej precyzyjnej, pięknie myślącej przeciwnicze.

Lucy zaserwowała spokojnie. Widać było, że teraz chce tylko wykorzystać pierwszą omyłkę Sary, żeby skończyć gema. Ale Sara odbiła prosto w róg kortu i zmusiła ją do rozpaczliwej pogoni za piłką, a kiedy Lucy dopadła jej i odbiła z najwyższym wysiłkiem — łapiąc z trudem równowagę, strzeliła z pozorną nonszalancją taką bombę w przeciwny róg, że Lucy bezradnie rozłożyła ręce.

— Czterdzieści: trzydzieści!

Znowu serw i znowu ostra, szybka piłka na backhand. Lucy odbiła czysto, prostym, precyzyjnym uderzeniem wzdłuż linii. Ta piłka musiała minąć Sarę przy siatce i skończyć gema.

Ale ku zdumieniu jej samej i patrzących, Sara w fantastycznym wyskoku przecięła drogę piłki i odbiła ją. Teraz Lucy strzeliła, mocno i poszła do siatki!

Alex obserwował twarz Sary, która grała po tej stronie kortu, gdzie siedział. Była skupiona, nieruchoma i pomimo wysiłku jak gdyby radosna. Jakby walka teraz dopiero zaczęła jej dawać radość. Stojąc na półkorcie i mając przed sobą

Lucy biegnącą pięknymi, sarnimi susami do siatki, przyjęła piłkę miękko i puściła ją lekkim crossem tuż nad siatką. Lucy odbiła w róg, ale Sara intuicyjnie była już w połowie drogi, kiedy rakietą przeciwniczki dotykała piłki. I wtedy Alex znowu zobaczył jej prawdziwe uderzenie. Drobną, ciemną ręką wykonała pozornie łagodny, okrągły zamach, ale piłka frunęła jak wystrzelona z lufy armatniej. Tego strzału nie mógłby wziąć nikt na świecie.

— Pięknie! — zawołała Lucy i skinęła rakieta.

Sara nie odpowiedziała nawet uśmiechem. Stała już gotowa do

przyjęcia serwu, pochylona ku przodowi, ściskając raketę.

— Po czterdzieści! — Filip spojrział ku siedzącym mężczyznom: — Prawda, jaki śliczny mecz?

Ale Lucy już serwowała. Piłka była lekka, Sara odbiła ją spokojnie na backhand. Lucy także odbiła ją spokojnie. Widać było, że uważa ją za bardzo ważną. Nastąpiła wymiana prostych piłek: raz, dwa, backhand, forehand, backhand, forehand. Sara jak tygrys poszła do siatki i... skróciła lekko.

— Przewaga, odbiór! Setowa piłka!
— Filip okazywał teraz zdenerwowanie.
Lucy była tak spokojna jak przy

pierwszych piłkach. Zaserwowała mocno. Sara odbiła równie mocno na forehand. Lucy skupiła się, kiedy piłka biegła ku niej, i Alex przeczuł, że teraz postawi *va banque*. Sara była na półkorcie, zbliżając się ku siatce.

Jak wielki fechtmistrz Lucy uderzyła, a piłka jak biała jaskółka śmignęła o milimetry nad siatką, minęła o milimetry rozpaczliwie wyciągniętą raketę Sary i upadła o milimetry od linii.

— Wspaniale! — Sara dopiero teraz uśmiechnęła się i nagle podbiegła do siatki, przeskoczyła ją i znalazła się połowie kortu przeciwniczki. Lucy opuściła raketę i stała nieruchomo, ściskając przegub

ręki.

— Co ci się stało?

Alex i Drummond zerwali się z ławki, ale uprzedził ich Filip.

— Nie wiem... — Lucy była blada. — Zdaje się naderwałam mięsień, a może go tylko naciągnęłam. To straszne!

— O nie, to minie... — Filip stał przed nią i nie wiedząc, co robić, zacierał w zdenerwowaniu dłonie.

— Myślę o tej operacji, którą mam wykonać! — Lucy potrząsnęła głową. — Boli mnie!

Sara i Drummond ujęli ją pod ramiona i odprowadzili na ławkę.

— Panie Filipie — powiedziała do Davisa, opanowując się i wyraźnie

walcząc z bólem — może pan łaskawie przyniesie mi moją walizeczkę medyczną. Jest w naszej garderobie... — Zwróciła się ku Sarze. — Pozwolisz, kochanie, prawda?

— Och, o czym ty mówisz! — Sara niecierpliwie machnęła ręką. — Niech pan prędko biegnie!

Filip Davis pobiegł, jak gdyby mu wyrosły skrzydła. Sara zawołała za nim:

— To taka czarna walizeczka, stoi na stoliku pod oknem!

— Taak! — odkrzyknął nie zwalniając i znikł pomiędzy drzewami.

— Jak się czujesz? — zapytała Sara. Pochyliła się nad ręką Lucy. — To było fantastyczne uderzenie. Nie dziwię się,

że mięsień mógł nie wytrzymać. Ale to nie są groźne kontuzje... tylko trzeba w ogóle nic nie robić chorą ręką przez parę dni.

— Nie wiem. — Lucy potrząsnęła głową. Krzywiąc się dotknęła bolesnego miejsca czubkami palców lewej dłoni. — Trochę za ostry jest ten ból... — mruknęła. — Boję się, że będę musiała odłożyć operację, jeżeli nastąpiło najgorsze. — Wyprostowała się i spróbowała się uśmiechnąć. — Ale pomysł był dobry. Nie przeczuwałaś tego zupełnie, prawda?

— Nawet gdybym przeczuwała, nie wiem, co mogłabym zrobić. Nie zdążyłam się ruszyć. Myślałam, że

będziesz próbowała mnie minąć na backhand... Ale to wszystko głupstwo, kochanie. Musisz się dzisiaj wcześniej położyć i nie ruszać tą ręką. A rano się zobaczy.

— Jeżeli ból zacznie mijać i ręka nie spuchnie — Lucy znowu dotknęła dłoni — to po paru masażach może już pojutrze będę zdolna do trzymania noża...

— Noża? — Sara nie zrozumiała. — Ach, tak! Nie wiem dlaczego, ale pomyślałam o jedzeniu.

— Nie. Kolację dzisiaj będę jadła jak dziecko. Harold będzie musiał mi kroić wszystko i smarować. Myślałam o nożu

operacyjnym.

— Jestem! — zawołał Filip nadbiegając. W dłoni trzymał małą czarną walizkę.

— Niech pan naciśnie zameczek, nie, nie tak: w lewo!

Zrobił posłusznie, co kazała i walizeczka otworzyła się. Był w niej komplet narzędzi chirurgicznych przytwierdzony do ścianek, a pośrodku przegródka na bandażę i druga, zawierająca kilka buteleczek.

— Dobrze, że zawsze to mam z sobą.

Lucy wyjęła lewą ręką rolkę bandaża elastycznego i zajrzała do walizki. — Nie ma nożyczek! Wyjęłam

je rano. Trudno. — Odczepiła jeden z dwóch długich wąskich noży o lekko zgarbionych ostrzach.

— Niech pan łaskawie odwinie bandaż! — powiedziała do Filipa i podała nóż Drummondowi. — Proszę odciąć mniej więcej półtora jarda. — Filip rozciągnął bandaż i Drummond pochylił się, żeby go przeciąć, ale zaledwie dotknął nożem nagumowanego płótna, pękło ono jak bibułka.

— Nie miałem pojęcia, że to takie ostre! — powiedział ze zdumieniem.

— Powinien być nawet trochę ostrzejszy, tak żeby tkanki nie stawiały najmniejszego oporu. Oczywiście, to zbrodnia, że kroję nim bandaż. Teraz

będzie już do niczego... Ale mniejsza o to, proszę tu ściągnąć bandaż, o tak, i nawijać równo, od prawej do lewej, w górę... — Filip ostrożnie wykonywał jej polecenia.

Kiedy opatrunek był już gotów, Lucy wstała i odsunęła lekko mężczyzn, którzy chcieli pospieszyć jej z pomocą.

— Nic mi przecież nie jest. Nie boli nawet bardzo... Za parę minut będę wiedziała, czy zrobić okład. Myślę, że może to się dobrze skończy już jutro. Przepraszam za kłopot, który sprawiłam. Ale tu naprawdę nie chodzi o mnie, tylko o moich pacjentów. Najmniejszy ból mięśnia, najmniejsza niepewność ruchu może spowodować nawet śmierć

człowieka albo fiasko operacji. Nie wolno mi postępować inaczej...

Wśród zapewnień, że wszyscy będą jak najbardziej uradowani, mogąc jej pomóc, zeszła z kortu. Ruszyli ku domowi. Przodem Lucy i Sara trzymająca ją pod ramię, za nimi Filip z rakietami, a na końcu Alex i Drummond, który wziął walizeczkę.

— Spróbuję usiąść do maszyny i coś napisać... — powiedział Alex. — Dobrze mi zrobił ten spacer z tobą. Żałuję, Ianie, że tak rzadko się widzimy.

— I ja. Ale myślę, że teraz może jakoś nawiążemy znów do starych czasów. Za parę

dni przyjedzie Ben i musimy się umówić na jakąś wspólną wycieczkę. Marzę o tym, żeby wybrać się na ryby do Szkocji. Ciągłe nie mam na to czasu, ale teraz wierzę, że ten czas się w końcu znajdzie. Moglibyśmy pojechać we trzech i zamieszkać w którymś z tych ponurych zamków zamienionych na hotele. Co myślisz o tym?

— Jak najchętniej — powiedział Alex. — A co myślisz o tym, żebyśmy jutro rano wybrali się na ryby i postarali się złowić coś jeszcze obrzydliwszego niż to, co złowił twój przyjaciel, profesor Hastings?

— Znakomicie! Może to będzie małe przekroczenie dyscypliny pracy, którą

sobie narzuciłem:

od ósmej rano do południa, a potem od dziewiątej wieczór do północy. No, ale bywa i tak,

że człowiek łamie prawa, którym chce podlegać. Dobrze! Umówimy się po kolacji,

o której wyruszamy i jaki bierzemy sprzęt. Pokażę ci moje przybory. — Roześmiał się. — Trzymam je w laboratorium, w zamkniętej na klucz szafie, na której wymalowałem trupa czaszkę

i napisałem: „Uwaga! Otwarcie grozi śmiercią!” Tylko Sparrow wie, że mam tam wędki.

Zbliżyli się do domu, weszli do sieni

i jeden za drugim zaczęli wstępować po schodach prowadzących na piętro.

— Zaraz do ciebie wpadnę, kochanie! — powiedziała Sara zatrzymując się przed drzwiami Lucy. — Pomogę ci się rozebrać...

— Czy mam zawiadomić pana Sparrowa o pani wypadku? — zapytał Filip. — Jest w tej chwili w laboratorium lub u siebie w gabinecie.

— Nie. Za nic. Byłby zmartwiony tym, że mu się przerywa pracę. Nic mi nie może pomóc w tej chwili. Sama mu powiem, kiedy wróci do pokoju przed kolacją.

Lewą ręką nacisnęła kłamkę.

— Dziękuję wszystkim. Saro, jeżeli będziesz taka dobra, to zaczekam na ciebie.

— Już idę. — Sara wzięła z rąk Drummonda walizeczkę i wstąpiła na próg. — Mogę przecież przejść do siebie przez twój pokój. Muszę tylko potem zejść i wydać dyspozycje służbie, to znaczy Norze, bo dziś sobota, a Kate poszła w świat zaraz po lunchu.

Weszła przepuściwszy Lucy i zamknęła drzwi za sobą. Alex uśmiechnął się do Drummonda i pokiwał przyjaźnie ręką Davisowi.

— Idę do siebie! — powiedział. — Po kolacji wpadnę do twojego gabinetu!

Wszedł do pokoju. Stał i sięgnął

do kieszeni papierosa. W paczce były już tylko dwa. Przypomniawszy sobie, że ma jeszcze jedną paczkę w walizce, i wyjął ją. Ale to nie wystarczy na dziś wieczór i na jutro, jeżeli miał w tym czasie pracować. Palił dużo przy pracy i gasił papierosy

w połowie, zapalając często jeden od drugiego. Usiadł przed maszyną.

Zegar o słonecznym wahadle wygłosił za jego plecami trzy jednakowe złote słowa i ucichł,

Alex spojrzał na papier: Rozdział pierwszy.

Zaczął rozmyślać. A gdyby... Wzdrygnął się, ale temat powracał nieprzeparcie: Cichy, stary dwór

angielski, położony nad morzem i otoczony z trzech stron gęstym parkiem. We dworze kilka osób, dwaj uczeni, ich żony, kobiety sławne w swoich zawodach — lekarka i aktorka; mający dość dwuznaczne zamiary gość z Ameryki, poza tym przyjaciel z czasów wojny, będący autorem powieści kryminalnych... Młody sekretarz... Powikłania miłosne wewnątrz tego szczupłego grona... I nagle ginie człowiek... O północy pada strzał. A może nie strzał?... Wszyscy budzą się... podchodzą do drzwi... Kogo brak?

Wiedział już, kogo brak. Napisał sobie na kartce leżącej obok maszyny inicjały tej osoby. Potem zaczął się

zastanawiać nad tym, kto ją zabił. Przez chwilę siedział w milczeniu, obliczając motywy i ich nasilenie. Niektóre z nich były oczywiste, inne ukryte, ale nagle olśniła go pewna myśl:

tak, to był prawdziwy motyw do powieści kryminalnej, motyw prosty i jasny, a jednocześnie ukryty, oczywisty i niewidzialny, potworny w swojej prawdzie. Tak. Tylko ta jedna osoba mogła zabić!

Jeszcze raz pochylił się nad kartką i nakreślił na niej nowe dwie literki. Odkrył już swojego mordercę. Oczywiście trzeba będzie zmienić charakterystykę osób, może ich zawody, wiek, położenie posiadłości i kilka

pomniejszych szczegółów. Ale cały problem był bardzo pięknie postawiony.

Pochylił się nad stołem, wziął nową kartkę i zaczął z grubsza dzielić książkę na części. Fałszywe tropy, alibi, motywy zabójstwa, tak, każdy z tych ludzi musi mieć tu coś do powiedzenia.

A morderca będzie tylko jeden... może być tylko jeden: ten właśnie.

— Mam cię! — zatarł ręce. Wiedział już, że książka zostanie wkrótce napisana.

V. „Oto jestem!”

Kiedy zegar wydzwonił kwadrans

przed ósmą, Alex wstał od maszyny i zaczął się przebierać do kolacji. Był bardzo zadowolony. W ciągu dwóch godzin książka zarysowała się z grubsza. Wszystkie wątki widział już przed sobą. Jeszcze tylko kilka uzupełnień planu i będzie mógł rozpocząć pisanie. Zawijając krawat przed lustrem, roześmiał się do siebie i zrobił chłopięcą, błazeńską minę. To bardzo zabawne, że zamieni tę grupkę ludzi w grono podejrzanych, spośród których wyłoniony zostanie morderca i zamordowany. To nawet dobrze, że Parker zadzwonił do niego i że ujawnił mu delikatną atmosferę niebezpieczeństwa wiszącego

nad Sunshine Manor. To wspomagało wyobraźni. Mogło zresztą stanowić uboczny wątek, oczywiście w zmienionych sytuacjach. Umył ręce i pogwizdując cichuteńko zszedł do salonu, gdzie zastał tylko jedną osobę.

Filip Davis uniósł się na jego widok z fotela, w którym przeglądał jakąś nie znaną Alexowi gazetę. Przed nim na stoliku, stała szachownica, a na niej figury porozstawiane, jak gdyby partner opuścił go przed chwilą pośrodku gry.

— Czy pracował pan trochę? — zapytał Filip. W ciemnym ubraniu i białej koszuli wydawał się jeszcze przystojniejszy niż po południu.

— Tak — powiedział Alex i

wyciągnąwszy pudełko chciał go poczęstować papierosem.

— O nie, nie przed kolacją! — Miody człowiek zrobił lekki ruch ręką, jakby chciał odgrodzić się od wyraźnej pokusy. — To podobno fatalnie wpływa na apetyt. Oczywiście... — pospieszył z wyjaśnieniem — nie mówię tego, żeby psuć panu przyjemność z wypalenia go w tej chwili. Każdy człowiek dorosły ma swój pogląd na to, co nazywa małymi przyjemnościami.

— Na pewno! — Alex zapalił i wsunął pudełko do kieszeni. — Widzę, że pan ma dosyć oryginalne drobne radości. Czy gra pan sam z sobą?

— Nie! Skądże! Z sobą nie mógłbym przecież wygrać, tylko remisowałbym nieustannie.

To nie jest próba gry, ale problem szachowy. To znaczy, układam ten problem i daję go innym do rozwiązywania. To jest właśnie nasze pismo klubowe — wskazał gazetę. — Tu drukuje się najciekawsze zadania i sposoby ich rozwiązań. Jestem jednym z członków zarządu klubu.

— To musi być bardzo pasjonujące...
— powiedział Alex bez większego przekonania i udał, że wpatruje się w rozstawione na szachownicy figury. — Ale chyba przeciętnie uzdolniony szachista zawsze

w końcu znajduje właściwe ruchy?

— Nie — Davis zaprzeczył ruchem głowy. — To jest mniej więcej tak jak z pana powieściami, jeżeli wolno użyć tego porównania. Zakłada pan przecież tak samo, że poda pan wszystkie dane o zabójcy i zabójstwie, ale w ten sposób, żeby utrudnić ich odnalezienie, nie uniemożliwiając go. Mimo to czasami bardzo wnikliwy i inteligentny czytelnik zobaczy jakiś fakt z „niewłaściwej strony”, jeżeli można tak powiedzieć, i wtedy wyciągnie fałszywy wniosek. A jeden fałszywy wniosek pociąga za sobą drugi i w rezultacie prowadzi do fałszywego ostatecznego rozwiązania. Tu są te same zasadzki i te

same przeszkody. Przyznam się panu, że jestem wielkim zwolennikiem pana książek. Szczególnie „Tajemnica zielonej taksówki” bardzo mi przypadła do gustu...

Alex jęknął w duchu. Na szczęście w tej samej chwili drzwi prowadzące z sieni uchylły się i wszedł nimi profesor Robert Hastings.

— Dobry wieczór! — powiedział.
— Widzę, że każdą wolną chwilę spędza pan przy najważniejszej z prac! — roześmiał się i wskazał palcem na szachownicę.
— To naprawdę świetny gracz. — powiedział do Alexa. — Przedwczoraj

rozegraliśmy pięć kolejnych partii i nie mogłem ani na chwilę nawet przejąć inicjatywy. Figury tego młodego człowieka zachowują się jak żywi wrogowie w przeważającej liczbie. Ciągłe wydawało mi się, że ma ich dwa razy więcej niż ja.

— Och, to tylko wprawa, panie profesorze — Davis zarumienił się z zadowolenia. Najprawdopodobniej takie słowa uczonego o światowym rozgłosie były dla niego czymś, co postara się zapamiętać do końca życia.

— Czy pan na długo przyjechał do tego uroczego domu? — zapytał profesor.

— Nie wiem jeszcze.

Prawdopodobnie na dwa do trzech tygodni. Chcę tu coś napisać. Przyzna pan, że idealne miejsce do pracy.

— Nie wiem. Nie pracowałem tutaj, na szczęście. Za to obaj moi znajomi i obecny

tu ich wytrwały i dzielny współpracownik pracują prawie bez przerwy. Dobrze, że Ian nie umie pracować po obiedzie, a Harold Sparrow wieczorem. Inaczej bym ich prawie wcale nie widywał poza posiłkami. Widać, że finiszują. Znam ten nastrój i bardzo go lubię wyczuwać u siebie.

Wie pan, takie chwile, kiedy człowiek

wie, że jeszcze dzień albo tydzień wysiłku i będzie można wyprostować ramiona i pozwolić usnąć zmęczonemu mózgowi, wyłączwszy pracę jego najważniejszych komórek i zastępując je tymi, które pomagają nam złowić rybę albo zastrzelić zająca. Umysł wyczuwa zbliżanie się takiej chwili w pewien specyficzny sposób. Przynagla nas i wywołuje gorączkowe podniecenie. Zdaje mi się, że ten nastrój obserwuję w tej chwili tutaj. Prawda, panie Filipie?

— Mniej więcej, panie profesorze, chociaż trudno mi ściśle odpowiedzieć na to pytanie. Wie pan, profesorze, przecież, że nie zawsze taki finisz jest

prawdziwym finiszem. Czasami zdaje się, że rezultat jest tuż tuż, za rogiem ulicy, jeżeli wolno tak powiedzieć, a tymczasem okazuje się, że jest ukryty nadal za siódmą górą. Pan profesor Drummond twierdzi, że dopóki jakaś praca nie jest skończona, nie wiadomo nawet nigdy, czy jest naprawdę rozpoczęta, bo trop może być zupełnie fałszywy i przy końcu może się okazać, że trzeba zaczynać od początku.

„Niczego mu nie wyjaśnił. Mądry chłopak...” — pomyślał Alex i spojrzał z uznaniem na niewinną chłopięcą twarz Filipa

Davisa, który pochylił się lekko ku przodowi, jak gdyby podkreślając, że w ten sposób chce z szacunkiem odebrać słowa odpowiedzi.

Profesor otworzył usta, ale zanim zdążył się odezwać, drzwi otworzyły się ponownie i weszły obie panie, a za nimi ich mężowie.

— Proszę do stołu — powiedziała Sara. — Na szczęście Kate już wróciła i nie będę musiała was sama obsługiwać. Była cała w rumieńcach i miała trochę potargane włosy. Zdaje się, że to jeden z tych dwu łowców motyli, którzy rozkwaterowali się za bramą parku, próbuje ją złowić...

No, ale nie plotkujmy o służbie.

Wystarczy, że ona musi plotkować o nas...

Przeszli do jadalni. Małomówny Harold Sparrow usiadł obok Lucy, ubranej w suknię o zimnym fioletowym odcieniu, która wspaniale kontrastowała z jej delikatną urodą i białymi włosami. Prawą rękę miała zawiniętą do łokcia i umiejscowioną w biegnącej w dół ramienia i zawieszającej się pod nim białej chustce, spod której błyskał na szyi jej śliczny rubin na wąskim, króciutkim łańcuszku. „Mało jej zależy na kobiecych drobiazgach — pomyślał Alex — jeżeli do dwóch różnych sukienek wkłada tę samą biżuterię...” Była na pewno dość

zamożna na to, żeby mieć pewną ilość klejnotów, i na pewno miała je zresztą. Ale po prostu sprawy urody nie były widocznie jej ciągłym utrapieniem. Spojrzał na Sarę. Nic w niej nie przypominało w tej chwili owego podlotka, w którego towarzystwie wyruszył rano z Londynu. Za oknami dogasał już dzień i nad stołem płonął ogromny kryształowy świecznik. W jego blasku biała, głęboko wycięta suknia Sary, jej brylantowe kolczyki i wspaniała brylant na środkowym palcu lewej ręki stanowiły zdumiewające tło dla ciemnych, gładkich ramion i szyi. Wielkie, czarne oczy świeciły.

Upięte wysoko włosy lśniły, jak polane wodą. Po raz pierwszy może Alex zrozumiał, co oznacza określenie, że jakaś kobieta „roztacza wokół siebie blask”. Sara Drummond wyglądała jak istota

z innej planety, otoczona lekką elektryczną aureolą, która poruszała się wraz z nią i wraz

z nią zastygała w bezruch. Ale i ona zdawała się o tym nie wiedzieć, chociaż wprawne oko Alexa oceniło z łatwością, że musiała co najmniej godzinę spędzić nad doborem i układem elementów składających się na jej zdumiewający wygląd.

— Zdrowie naszego gościa! —

powiedział Ian Drummond, unosząc kieliszek. — Niestety, to ostatnia nasza wspólna kolacja tutaj i po raz ostatni siadamy teraz wokół tego stołu z profesorem Hastingsem. Oczywiście jestem pewien, że spotkamy się wkrótce, bo świat robi się coraz mniejszy i coraz częściej przeprowadzamy się z kontynentu na kontynent, żeby spotkać starych znajomych i przyjrzeć się ich nowym osiągnięciom. Piję za zdrowie naszego gościa i za to, abyśmy mogli jak najczęściej odwiedzać jego wspaniałą pracownię, czytać jego mądre wykłady i podziwiać wielkie osiągnięcia jego, jego znakomitych

kolegów i jego ojczyzny, tak zasłużonej dla nauki!

Wszyscy unieśli kieliszki do ust. Pijąc, Alex nie mógł oprzeć się wrażeniu, że chociaż toast Iana był pełen szczerej serdeczności, to jednak na dnie jego kryła się nutka ironii. Ale jeżeli nawet profesor Hastings odkrył ją, nie dał tego po sobie poznać. Uniósłszy kieliszek, podziękował za gościnę i życzył obu uczonym szczęśliwego ukończenia dzieła, na które, być może, czeka cały świat, chociaż nie zdaje sobie jeszcze z tego sprawy. To też było bardzo miłe i nastrój robił się coraz lepszy. Nawet milczący Sparrow

usiłował powiedzieć kilka miłych słów odjeżdżającemu Amerykaninowi. A siedząca obok niego Lucy, która z bezradnym, czarującym uśmiechem pozwalała to jemu, to siedzącemu po drugiej jej ręce Filipowi Davisowi kroić sobie jedzenie, błysnęła kilka razy tak świetnym odezwaniem się, że Alex mimo woli spojrzał na nią z niedowierzaniem. Wydało mu się, że jest dobrym psychologiem i przeważnie na pierwszy rzut oka umie ocenić, kim jest i co potrafi świeżo poznany człowiek. Tymczasem Lucja Sparrow ukazywała się w coraz to innym świetle. Spojrzał na jej męża. To była jeszcze jedna zagadka.

Ten krępy, silny, prawdopodobnie nieco ograniczony poza swoją specjalnością człowiek i ona!

Co ich połączyło? Czy kochała go? Na pewno. Nie wyszła przecież za męża dla majątku, bo sama musiała zarabiać znakomicie. Nie pociągnęła jej sława, bo, być może, była nawet sławniejsza niż on. Jej efektowne operacje i wielka uroda były ciągłym tematem reportaży fotograficznych

i wzmianek prasowych. Na kongresach medycznych otaczał ją rój kolegów i sprawozdawców.

Sam widział wiele tych zdjęć. Jeżeli nie była tak popularna, jak siedząca naprzeciw niej Sara Drummond, to

trudno było przecież porównywać rozgłos, jaki daje scena, z tym, jaki daje zacisze sali operacyjnej. Więc skąd wziął się w jej życiu Sparrow? A może po prostu pokochała go, bo właśnie taki człowiek był jej przeznaczony do kochania? W końcu on, Alex, bardzo często widywał miłość dwojga zupełnie odmiennych pozornie ludzi. Ale że Sparrow, mając taką żonę, mógł wdać się w romans z kim innym, a w dodatku z żoną przyjaciela, z którym razem pracował? Spojrzał na Sparrowa, który w tej chwili rozmawiał przyciszonym głosem z Lucy, ostrożnie poprawiając jej obsuwającą się z ramienia chustkę. To były właśnie te

dziwne sprawy rodzaju ludzkiego, niewytłumaczalne porywy, bezsensowne upadki, tragiczne bezdroża, na które wchodzi nawet najrozumniejsi. Dlatego życie niosło w sobie zawsze element niespodzianki. Spojrzał na Sarę. Przechylna lekko w lewo, mówiła właśnie do Amerykanina. „Nie, nie dziwię się Sparrowowi... — pomyślał Alex. — Nie dziwiłbym się nikomu. Ale Ian? Nie wierzę, żeby Sparrow miał być jedyną cudzołożną radością jej życia. Ta kobieta żyje, jak chce, i bierze, co chce. Ale zdaje się, że kocha tylko mojego poczciwego Iana. Jeżeli on się nigdy nie dowie, będzie do końca życia szczęśliwy. Ale jeżeli się

dowie przypadkiem?...” Znał Iana. Wiedział, że mogłoby mu to złamać życie. Naprawdę je złamać. Nie ma nic okropniejszego niż zawiedziona ufność naprawdę ufego człowieka. Ale Sara też chyba o tym wiedziała... „Niech będzie ostrożna! — pomyślał. — Niech, na miłość boską, będzie ostrożna!” Uśmiechnął się w duchu, jak zawsze, kiedy łapał się na swoim, wynikającym z doświadczenia, cynizmie. Ale życzył im obojgu jak najlepiej i był przeświadczony, że jedyne, co tu było możliwe i konieczne dla zachowania ich szczęścia, to jej ostrożność.

Sara mówiła właśnie.

— W Nowym Jorku będziemy występować w marcu, więc jeżeli będzie pan w mieście, proszę koniecznie mnie odwiedzić.

— A w jakich sztukach będzie pani występowała? — zapytał Hastings. — Uprzedzam, że teatr nie jest najmocniejszą stroną mojej edukacji.

— W Hamlecie będę grała Ofelię, w Makbecie lady Macbeth, a w Orestei Klitajmestrę.

— Naprawdę! — Lucy uniosła głowę. — To wspaniale! Nigdy tego nie widziałam na scenie, a zawsze tak bardzo chciałam zobaczyć. W dodatku z tobą. Czy gracie wszystkie

trzy tragedie Orestei razem?

— Ze skrótami. W każdym razie ja gram wszystko, co Ajschylos napisał o królowej.

— Czy umiesz już rolę? — Lucy była wyraźnie zadowolona.

— Tak... — Sara zawahała się. — Nie tak, żeby móc grać, oczywiście, ale umiem ją od lat.

— Niech nam pani powie jakiś fragment! — poprosił Hastings.

— Tak, zrób to! — Drummond był wyraźnie zadowolony. Alex przyglądał mu się, patrzącemu na żonę rozkochanym, spokojnym spojrzeniem.

— Och, przecież nie teraz... — Sara

zaśmiała się i zarumieniła ciemnym rumieńcem dziewczynki, której nauczycielka każe wyrecytować wiersz przed całą klasą.

— Oczywiście, że teraz, kochanie!
— Drummond ujął jej dłoń. — W końcu ja też w ten sposób może cię usłyszę. Żyjąc tu, zupełnie nie zdaję sobie sprawy, że mam żonę aktorkę. Widziałem cię na scenie parę razy w życiu. Zrób to, Saro.

— Och, jeżeli ty tak mówisz... — i uśmiechnęła się do niego, jak gdyby chciała powiedzieć, że wystarczy, aby on tego zapragnął, a będzie recytowała w płonącym domu i

na dnie morza.

Przymknęła na chwilę oczy. Wszyscy ucichli. Alex spojrzał kątem oka na Sparrowa. Uczony siedział zupełnie nieruchomo. Patrzył w obrus. Lucy położyła nieświadomym i ładnym ruchem zdrową dłoń na jego dłoni. Drgnął. Alex byłby przysięgł, że w tej chwili zatargały nim wyrzuty sumienia, ale równocześnie wiele by dał za to, żeby nie okazywała mu publicznie serdeczności w ten sposób. „Boże, jak musi mu być głupio...” pomyślał i prędko zwrócił oczy ku Sarze, która zaczęła mówić.

*Oto jestem. Zadany cios i czyn
spełniony.*

*Otwarcie i bez lęku powiem wam,
jak zginął.*

*Otuliłam go płótna płachtą, mocno
tkaną,*

*jak siecią. Nie mógł uciec ani się
uchylić
przed ciosem...*

Patrzył na nią i nie wierzył własnym oczom. To nie mówiła Sara Drummond, ale ktoś zupełnie inny: dojrzała kobieta, oddychająca jeszcze nierówno po wysiłku i podnieceniu, które niosła ze sobą zbrodnia. Dumna, trochę

wzgardliwa, trochę niepewna tego, co przyniesie następna chwila. Ale królowa, pani wielu poddanych, pragnąca mówić spokojnie, lecz zmusić ich do posłuszeństwa i nie dać się wylęgnać myśli o buncie i karze. A nie zmieniło się w jej twarzy nic, nie miała żadnej charakterystyki, ton głosu był ten sam i oczy te same. Ale cała postać była inna. To była właśnie Klitajmestra!

*...Uderzyłam raz po raz,
dwukrotnie,
a on krzyknął dwa razy i upadł
nieżywy.
A gdy leżał, zadałam trzeci cios:*

ofiarny,

w podzięcie Zeusowi, władcy
państwa zmarłych...

Tak oto padł i zginął. Wówczas
dusza jego

ustami wytrysnęła razem z krwi
strumieniem

tak silnym, że mnie całą skropił jak
deszcz czarny.

I wstrząsnęła mną rozkosz jak
ziemią po deszczu,

gdy czuje nabrzmiewanie
kielkujących nasion.

Zapadło milczenie.

— Mój Boże! — powiedział cicho
Hastings.

— Prawda, co za obrzydliwa

niewiasta? — powiedziała Sara i wybuchnęła śmiechem. — Nalej mi trochę wina, Ianie, bo mi zaschło w gardle. Nie powinno się recytować po zjedzeniu ostrych przypraw.

Nastrój pękł i Alex wdzięczny był Sarze, że nie pozwoliła im przeciągnąć ani o chwilę pełnego podziwu milczenia. Tak mogła postąpić tylko naprawdę wielka aktorka. Nie czekając, aż ktoś powie coś o tym, co się przed chwilą stało, zapytała:

— Jak twoja ręka, Lucy? Przypomniało mi się, że jest pięć: pięć i równowaga. Przecież wygrałaś tę ostatnią piłkę.

— Poczekaj... — Lucy uniosła

zdrową dłoń do czoła. — Poczulałam, że
jestem nagle głupim dzieckiem —
powiedziała trochę bezradnie. —
Wiedziałam zawsze, że jesteś wielką
aktorką,
ale żeby przy kolacji, na żądanie, móc w
ciągu ułamka sekundy... Nie, my wszyscy
z naszymi zdolnościami jesteśmy tylko
dziećmi wobec ciebie. Jesteś genialna...
Pierwszy raz to komuś mówię... Dopiero
w tej chwili zrozumiałam, co to jest
prawdziwy geniusz. Kiedy teraz patrzę
na ciebie, nie wiem sama, czy to, co
widzę, jest prawdą, czy możesz
dowolnie się zmieniać i być, kim chcesz
i kiedy zechcesz! — Urwała. —
Przepraszam — powiedziała cicho. —

Rzadko się przejmuję, ale...

W tej chwili w drzwiach stanęła Kate.

— Telefon z Londynu do pana Davisa — powiedziała półgłosem, zbliżając się do niego.

Filip Davis nie usłyszał w pierwszej chwili. Siedział nieruchomo, wpatrzony w... Lucy Sparrow. Potem słowa pokojówki doszły widocznie do jego świadomości, bo zerwał się, wybąkał przeproszenie i wyszedł.

— Cieszę się, że nasze sztuczki spodobały się szlachetnym państwu! Dziękujemy grzecznie i kłaniamy się nisko! — wymamrotała Sara głosem starej żebraczki z tak

łudzącym londyńskim akcentem, że wszyscy się roześmieli. — O czym to mówiliśmy? O twojej ręce, Lucy.

— Już mi trochę lepiej, chociaż jeszcze boli. Ale wierzę, że jutro już będę mogła nią poruszać. Wymasujesz mi ją na noc, dobrze, kochanie? — zwróciła się do męża.

— Oczywiście. — Sparrow pochylił głowę i znowu przez dłuższą chwilę obserwował obrus.

„Co za obrazy! — myślał Alex. — Co to za wymarzone obrazy do mojej książki:

ona, deklamująca na żądanie swojego męża i w obecności kochanka monolog kobiety, która zabiła męża, żeby móc żyć

z kochankiem! A ta druga, biedaczka, chwali ją i podziwia w swojej ogromnej nieświadomości! Cóż to za diabelska zabawa: życie!”

Zaczęto mówić o teatrze, a po dłuższej chwili wszedł Filip Davis. Rozmawiający nie dostrzegli go, tak cicho wsunął się do jadalni, ale Alex, który siedział naprzeciw niego, zobaczył, że młody człowiek jest przeraźliwie blady. Usiadł i uchwyciwszy jego spojrzenie spróbował się uśmiechnąć. Ale uśmiech ten był tak bardzo wymuszony, że najwyraźniej on sam dał za wygraną i żeby go czymś zamaskować, nałożył sobie kawałek ciasta, którego nie tknął

później.

Sara spojrzała w okno.

— Pełnia! — powiedziała. — W Londynie człowiek z trudem dowiadyuje się, czy jest zima, czy lato na świecie. Kiedy to po raz ostatni widziałam księżyc? Chyba pół roku temu. To najlepsza pora do uczenia się roli. Człowiek chodzi po ustronnych alejkach i buduje każdą intonację. — Uśmiechnęła się. — Wierz mi, Lucy, że nad każdym oddechem, nad każdym zabarwieniem słowa w tej roli ślęczę już od paru lat. To tylko pozornie wygląda tak pięknie. Jestem tylko ciężko pracującym wyrobnikiem i sto razy we mnie więcej uporu niż tego, co ty

nazywasz talentem. Myślę, że po kolacji „pójdę na bezdroża ścieżek krętych, by sama z sobą w czułej samotności rozmowę odbyć...” — zarecytowała znowu. Podniosła się z krzesła. — Idę do parku.

Alexowi wydało się, że mówiąc to, spojrzała na Sparrowa, który także uniósł głowę i przez krótką chwilę patrzył w jej oczy. I znowu wydało się Alexowi, że mignęło w nich coś jak ciche porozumienie. Ale to mogła być tylko halucynacja. Wszyscy podnieśli się.

— Położysz się chyba teraz, prawda? — zapytał Sparrow biorąc

żonę pod ramię.

— Tak. Chciałabym tylko, żebyś mi później zrobił masaż mięśni. Ale na razie to nie jest potrzebne.

— Pamiętajcie, państwo — powiedział Drummond — że po dziesiątej Malachi spuszcza swoje wilczury i lepiej wtedy być już w domu. Oczywiście, możecie mu powiedzieć, że będziecie dłużej, wtedy je przytrzyma.

Alex zatrzymał się przy drzwiach, żeby przepuścić wychodzące panie. Zauważył, że Davis zbliżył się do Sparrowa i zapytał, czy będzie mógł mu poświęcić chwilę rozmowy.

— Oczywiście, mój drogi. Odprowadzę żonę do pokoju, a potem

przejdę się po parku. Proszę
na mnie zaczekać, dobrze?

Filip pochylił głowę w
podziękowaniu.

Za drzwiami Alex poczuł na
ramieniu dłoń Drummonda.

— Idę teraz do gabinetu —
powiedział Ian. — Wpadnij do mnie
później, to pokażę ci te wędki
i umówimy się, o której wyruszamy. Na
razie chcę się przekonać, ile będę miał
czasu jutro

i czy mogę powierzyć moją ranną pracę
Filipowi. To znaczy, że będę musiał mu
przygotować zadania, jeżeli popłynę z
tobą, tak żeby Sparrow dostał po
południu wszystko, co mu będzie

potrzebne. Pracujemy jak jeden człowiek, a to zmienianie się pomaga nam tylko, przeobrażając ośmiogodzinny dzień pracy w szesnastogodzinny. Czekał na ciebie!

Kiwnął mu ręką i wszedł w drzwi prowadzące z sieni do laboratorium. Alex spojrział na zegarek. Za dziesięć dziewiąta. Zatrzymał się. W zapadającym zmroku dostrzegł szerokie plecy Hastingsa, który rozpoczął spacer wokół klombu, pochylając się od czasu do czasu nad kwiatami. Spoza gałęzi drzew świecił księżyc, niski jeszcze, ale okrągły i biały. Było bardzo pięknie i cicho. Postanowił przejść się po parku i pomyśleć nad książką. To księżycowe

otoczenie także było znakomitym rekwizytem do rozmyślań o zbrodni. Za godzinę usiądzie do pisania i będzie pracował do północy. To wystarczy. Trzeba się wyspać, żeby rano nie drzemać w łodzi. Ostatecznie życie naprawdę

nie składa się tylko z pracy. Ruszył w stronę uchylonych oszklonych drzwi i pchnął je lekko.

Przed nim był park, pełen zapachów i rozpoczynających się dziwnych odgłosów nocy księżycowej.

VI. W świetle księżyca

Noc była ciepła, tak ciepła, że odczuł wyraźną różnicę pomiędzy nagrzanym powietrzem ogrodu, a chłodną, pachnącą kamieniem atmosferą sieni. Było widno. Ostre sztylety księżycowego blasku przecinały palisadę starych drzew i kładły się na kwiatkach klombu, wynurzając je z mroku i nadając im inne kształty, bardziej fantastyczne i tajemnicze. Niedaleko

lekką wygiętą łodygą nie rozkwitłej jeszcze białej róży przypominała uniesiony tułów węża o śnieżnej wąskiej głowie, zwróconej ku górze. Rosła ona na brzegu obramowania olbrzymiego klombu, który zajmował prawie całą wolną przestrzeń przed domem i przecięty był tylko pośrodku ścieżką, prowadzącą ku starym platanom i lipowej alei. Wokół klombu była ciemność. Gęsta ściana parku wydawała się jeszcze bardziej gęsta i nieprzenikniona, bo księżyc świecił spoza niej i był wyżej, zaplątany w tej chwili

w konarach lip.

Obok białej róży stał człowiek. Alex

przymrużył oczy i przyjrzał mu się schodząc z szerokiego stopnia, łączącego dom z parkiem. Człowiek ruszył ku niemu i zatrzymał się. Alex poznał Filipa Davisa.

— Czy nie widział pan profesora Sparrowa? — zapytał Davis. — Czekam tu na niego — dodał, jak gdyby w formie usprawiedliwienia.

— Na pewno zaraz zejdzie. — Alex zatrzymał się i zapalił papierosa — Poszedł odprowadzić żonę na górę.

— Tak, tak, oczywiście. Wiem o tym. Ale myślałem, że może... — Joe zauważył, że młody człowiek nerwowo zaciera ręce.

— Piękna noc — powiedział Alex,

żeby coś powiedzieć. Chciał ruszyć dalej. Powinien był teraz spokojnie i w samotności obmyślić całą książkę i raz jeszcze przyrzeć się z bliska i krytycznie planowanemu przebiegowi jej treści. Potem będzie już mógł spokojnie usiąść do pisania.

— Tak, rzeczywiście, bardzo piękna... — Filip uniósł się lekko na palcach i spojrzał ponad jego ramieniem ku oświetlonej sieni, z wnętrza której zabrzmiały kroki. Ale była to tylko pokojówka Kate.

— Znowu telefon z Londynu do pana, proszę pana — powiedziała i uśmiechnęła się w półmroku do Alexa.

— Do mnie? — zapytał Alex.

— Nie, do pana.

— O, mój Boże. — szepnął Filip, ale tak, że Joe zdołał go usłyszeć. Ruszył szybko ku drzwiom i minawszy pokojówkę, zniknął w sieni. Młoda i ładna Kate uniosła głowę, spojrzała na księżyc i westchnęła.

— Bardzo piękna noc, proszę pana, prawda?

— Tak, rzeczywiście... — Alex mimo woli obejrzał ją od stop do głów i prędko odwrócił się. — Trzeba iść na spacer po kolacji — mruknął w formie zakończenia rozmowy. Nie czas był teraz na podszczypywanie młodych pokojówek w parku. Chociaż ze

wstydem mógł stwierdzić, patrząc w przeszłość, że zdarzało mu się już w życiu i to także.

Mam swoje małe słabości jak każdy człowiek... — powiedział sobie w myśli i równocześnie, jak gdyby jego własna natura chciała mu udowodnić, że ma słuszność, pomyślał o Sarze Drummond, która w tej chwili znajdowała się gdzieś w tym mrocznym parku samotna na jednej z jego wielu krętych alejek. Obejrzał się. Kate znikła, a na jej miejsce pojawiła się szeroka, ciężka sylwetka mężczyzny. Sparrow. Stał rozglądając się po parku. Dostrzegłszy Alexa drgnął, jak gdyby chciał się odwrócić i odejść,

ale Joe już otworzył usta.

— Przed chwilą był tu pan Davis i szukał pana. Odszedł teraz do telefonu.

— Tak. Dziękuję panu bardzo... — Sparrow zszedł ze stopnia i nadal rozglądał się dyskretnie, jak gdyby licząc na to, że nikły blask księżycy nie pozwoli dojrzeć ruchów jego głowy. — Oczywiście. Ma do mnie, zdaje się, jakąś pilną sprawę. Na pewno tu wróci. A ja pospaceruję trochę tymczasem.

I nie dodając ani słowa więcej odszedł w przeciwną stronę, oddalając się od miejsca, gdzie stał Alex. Po chwili zniknął w cieniu drzew, wynurzył się raz jeszcze w smudze światła i

znowu zniknął, tym razem na dobre. Joe słyszał jeszcze przez chwilę odgłos jego kroków na pokrytej drobnym zwirem powierzchni ścieżki. Kroki te były o wiele szybsze, niż kroki człowieka pragnącego „trochę pospacerować tymczasem”. Jak gdyby Sparrow szedł w jakimś określonym kierunku i chciał jak najprędzej znaleźć się u celu. Joe znowu pomyślał o Sarze Drummond.

Ze złością potrząsnął głową. „To ich bardzo osobista sprawa! — pomyślał. — Nie powinienem się wtrącać do nie swoich rzeczy”.

Ruszył z wolna wzdłuż klombu i zatoczywszy wielkie półkole znalazł się pod jednym z platanów u wejścia

lipowej alei. Stała tam długa zielona ławka, którą zauważył już za dnia. Usiadł na niej i pogrążył się w myślach o swojej książce. A raczej miał zamiar pogrążyć się w nich, bo znowu coś stanęło temu na przeszkodzie. Siadając, miał przed sobą dom. Okna lewej strony parteru, gdzie mieściło się laboratorium i gabinet Drummonda, były oświetlone, chociaż zasunięte żaluzje nie pozwalały dostrzec, co dzieje się w środku. Padało z nich lekkie, żółtawe światło, krzyżujące się z zimnym księżycowym blaskiem, tak że siedzący mógł dostrzec wszystko, co znajdowało się pomiędzy

domem a ławką. I właśnie zobaczył jakąś postać zdążającą z wolna wokół klombu

w jego stronę. W pierwszej chwili pomyślał, że to Filip Davis, ukończywszy rozmowę telefoniczną, wraca na swój posterunek, gdzie będzie oczekiwał Sparrowa, nie wiedząc, że ten ostatni wyszedł już do parku. Ale po chwili światło padło na łysą czaszkę idącego

i zaznaczyło ją lekką aureolą. Był to Hastings. Amerykanin szedł z pochyloną lekko głową, ręce założył luźno za plecami i zdawał się zupełnie zajęty swoimi sprawami, do tego stopnia, że prawdopodobnie niewiele

obchodziło go piękno nocnego parku, a na pewno nie byłby zadowolony, gdyby musiał w tej chwili rozpocząć rozmowę z kimś, kogo poznał zaledwie dziś rano i z kim nie miał żadnego naturalnego tematu do rozmowy.

Pomyślawszy to wszystko Alex wstał cicho i korzystając z głębokiego cienia, rzucanego przez koronę plątanu, wszedł w mrok lipowej alei.

Wrócił myślami do książki. Tak. To było znakomite rozwiązanie. Morderca miał wszystkie motywy zabójstwa pod warunkiem... Ależ tak! Trzeba będzie tylko ukazać dokładnie tło, na którym rozegrają się wypadki. Ten

sam dom, podobni ludzie, to samo skrzyżowanie interesów i namiętności...

Rozmyślając zagłębiał się coraz dalej w park i odruchowo skręcił w tę samą ścieżkę, którą za dnia szedł z Drummondem. W pewnej chwili stanął. Znajdował się teraz na samym skraju parku, tuż przed punktem, gdzie ścieżka kończyła się przy owym stoliku i ławce, na której siedzieli po południu. Było bardzo ciemno. Gdzieś w górze odezwał się wielki ptak nocny. Huknął przeraźliwie i załomotał skrzydłami w gałęziach niewidzialnego, ogromnego drzewa. Potem zrobiło się zupełnie cicho.

Lecz Alex nie poruszył się. Byłby przysiągł, że przed chwilą doszedł go dźwięk słów wypowiedzianych gwałtownym, przyciszonym szeptem. Spojrzał przed siebie, starając się zobaczyć coś w ciemności. Idąc nieomal na palcach, zrobił jeszcze kilka kroków do miejsca, gdzie zakręt ścieżki zakryty był kępą krzaków. Stał za nimi i spojrzał. Światło księżyca padało wprost

na powierzchnię stolika, kryjąc w cieniu ławkę. Ale nawet ten nikły blask wystarczył, żeby w białej plamie pośród mroku rozpoznał suknię Sary Drummond. Obok niej siedział jakiś człowiek, którego twarzy nie mógł

rozdzielić.

Alex chciał cofnąć się natychmiast. Nie podsłuchiwał jeszcze nigdy w życiu i uważał

za nikczemność wdzieranie się bez zaproszenia w cudze sprawy. Ale słowa, które usłyszał, zatrzymały go w miejscu.

— Wolałabym, żebyśmy wszyscy umarli: on i ty, i ja! — powiedziała Sara.

— Może i ja bym wolał. — To był Sparrow. Poznał od razu twarde, pozornie spokojny ton jego głosu. — To straszne, ale wydawało mi się, że mnie kochasz. Byłem idiotą.

— Och, Haroldzie... — W tym wykrzykniku kryło się tyle zmęczenia, że

człowiek, do którego zwróciła te słowa, wstał.

— Wiem. Teraz wiem wszystko. Gdybym wiedział wtedy... Gdybym wiedział, że zostałem użyty tylko po to, żebyś mogła jeszcze raz sprawdzić, że żaden uczciwy człowiek nie może ci się oprzeć. Masz swoje piękne zabawy. Może są słuszne i uczciwe? Ale ja ich nie rozumiem. Ja... ja po prostu nie rozumiem ich. Zdradziłem żonę dla ciebie, zdradziłem jego, Iana... Jestem podły... Nie umiem już patrzeć ludziom w oczy, nie wiem, co mówię. Ale, niestety, kocham ciebie... A ty, ty kochasz jego. I mówisz mi to spokojnie. Teraz!

— Ale zrozum przecież... —
powiedziała Sara. — Zrozum, że w
życiu tak bywa. Może
i ja myślałam, że... — Umilkła. Potem
zdecydowanie, jak gdyby postanowiła
przeciąć tę sytuację raz na zawsze i
ponieść wszystkie konsekwencje, bez
względu na to, jak trudne jej się
wydadzą, powiedziała: — Słuchaj! Nie
umiem ci powiedzieć nic więcej.
Chciałam się z tobą tu spotkać,
bo tak dłużej nie może być.
Przyjechałam z Londynu, żeby ci to
powiedzieć. Tak. Kocham Iana. Nigdy
się go nie wyrzeknę. Zrobiliśmy błąd
oboje. Ty... ty musisz wrócić do... Lucy,
a ja... ja zapomnę. Nigdy ode mnie nie

usłyszysz już słowa o tym, o naszych sprawach. Ani ja od ciebie. Musisz żyć, jakby nic się nie stało. Jakby to był sen. To jedyne wyjście. Wierz mi.

— Ale ja ciebie kocham! — Sparrow znowu wstał, jakby nie mogąc usiedzieć na miejscu. — Kocham ciebie i nie mogę tak żyć! Nie będę mógł patrzeć na ciebie codziennie, pamiętać i mówić sobie: „Wszystko to mi się śniło!” Po prostu nie będę mógł! — Urwał. — Coś musi się stać... — powiedział cicho, bardziej do siebie niż do niej. — Coś musi stać się ze mną, z nami, z nim. Pójdę do niego, powiem wszystko, a potem odejdę i nigdy go już nie spotkam!

— A czy pomyślałeś przy tym o mnie? — zapytała Sara spokojnie. — Czy sądzisz, że to najszlachetniejsze, co mężczyzna może zrobić: iść do męża swojej kochanki i donieść mu o tym?

— Co? — Sparrow roześmiał się cicho, niewesołym, szorstkim śmiechem. — Najszlachetniejsze? W tej sytuacji nic nie może być szlachetne. Już nigdy. Muszę pójść do Iana i muszę mu powiedzieć... że nie mogę z nim dalej pracować. A co mogę mu powiedzieć innego?

— Nie wiem. Tysiąc rzeczy, prócz tej jednej. Tego nie zrobisz, nie możesz

tego zrobić. Chyba

że chcesz się na mnie zemścić?

— A Lucy? — zapytał nagle jak chłopiec. — Przecież ona chyba wie?

— Co wie? — W głosie Sary było przerażenie.

— Wie, może domyśla się. Przecież ja... ja już od dawna zmieniłem się w stosunku do niej...

Nie jestem aktorem. Nie umiem grać. Staram się być dla niej dobry, jak najlepszy, bo wiem,

że jestem podły, ale chyba ona musi odczuwać, że... że... — Umilkł. Potem

powiedział prawie

ze zdumieniem: — Przecież doprowadziłaś do tego, że już jej nie

kocham. Jak to się mogło stać?

Milczeli przez chwilę oboje.

— Haroldzie... — powiedziała Sara miękko i aż Alex przygryzł wargę, rozumiejąc, że teraz zacznie się wielka ofensywa tej wielkiej aktorki. — Haroldzie, przecież mówisz, że mnie kochasz... A ja nie mogę rzucić Iana. Zrozumiałam wszystko. Nie mogłabym być szczęśliwa z nikim, nawet z tobą... Tamto było... było cudowne i musiało się skończyć. Wszystko na świecie się kończy i wszystko pozostawia smutek. Ale czy to znaczy, że musimy być wrogami, że musimy szarpać się w pogoni za nieosiągalnym i nie

będziemy chcieli zrozumieć, że i tak otrzymaliśmy więcej, niż nam było przeznaczone. Człowiek grzeszy. Wiem o tym na pewno więcej niż ty. Jestem słabsza niż ty. Przeszłam przez więcej upokorzeń i radości w moim życiu niż ty. Nie jestem już dziewczyną. Mam trzydzieści pięć lat. Chciałam być szczęśliwa. Myślę, że i tobie dałam trochę radości. Ale nie chciałam ranić, deptać i zabijać niewinnych. Ani Ian, ani Lucy nigdy nie mogą się o tym dowiedzieć. To nie ich wina i nie powinni być nieszczęśliwi. A przecież będą. Do jednej zbrodni przeciwko nim dołożymy drugą, gorszą nawet. To my musimy ponieść ten cały

ciężar...

— Ale ja nie mogę... — podniósł głos. — Ja nie mogę tak żyć już dłużej! Jeszcze dziś pójdę do Iana i powiem mu, że jutro muszę wyjechać. Niech myśli, co chce. Może masz słuszość, jestem ci na pewno winien dyskrecję, jeżeli już inaczej nie możemy mówić o tym, co nas łączyło. Nie powiem mu. To znaczy, będę się starał mu nie powiedzieć. Nie wiem, czy potrafię. Może zabiłby mnie za to. Ale byłbym wtedy szczęśliwszy niż teraz.

— Uspokój się... — Sara wstała. — Muszę iść. Zostań tu jeszcze chwilę. Nie trzeba, żeby ktoś mógł pomyśleć... Szczególnie teraz.

— Wyjadę! — Sparrow usiadł na ławce i Alex domyślił się, że trzyma głowę w dłoniach. — Wyjadę do Ameryki i nie wrócę tu. A do Lucy napiszę ze statku. Nie powiem jej, o kogo chodzi, bądź spokojna. Ale powinna mnie zrozumieć. Nie jestem już jej wart. Splamiłem... Zresztą myślę tylko o tobie. Niestety: tylko o tobie.

— Na miłość boską! — powiedziała Sara. — Bądź mężczyzną! Bez względu na to, co się stało, bądź mężczyzną!

— Dobrze! — powiedział Sparrow głucho. — Rozumiem cię doskonale.

I nie mówiąc już ani słowa więcej, ruszył w ciemność i zniknął, zanim Sara Drummond zdążyła coś powiedzieć Alex

zamarł. Potem powoli, krok za krokiem, wycofał się ku ścieżce, drżąc, aby pod nogę nie trafiła mu żadna sucha gałązka. Ale siedząca na ławce kobieta zanadto była pogrążona we własnych burzliwych myślach, aby miała zwracać uwagę na cokolwiek, co działo się wokół niej.

Wydstawszy się na aleję, lipową Alex przyspieszył trochę i przestał iść skradającym się krokiem. Z daleka dobiegł go szum morza. Księżyc stał już nad drzewami cały ogród zmienił się w srebrno — czarny labirynt niezrozumiałych kształtów. „Biedny Ian. Powiedział, że jest szczęśliwy... Mądrzy starzy

Grecy, którzy mówili, że nikogo nie trzeba zwać szczęśliwym, póki nie zakończy swego żywota w szczęściu...”.

W gabinecie na parterze nadal płonęło światło. Ian walczył ze swoimi problemami, nie wiedząc nic i niczego nie przeczuwając. Alex spojrzał na zegarek. W nikłym świetle dostrzegł tylko jedną, skierowaną w dół wskazówkę.

Pół do dziesiątej.

Doszedł do ławki pod platanami i usiadł na niej żałując, że ruszył się z niej kiedykolwiek. Wokół klombu spacerowały teraz dwie postacie. Filip i Hastings. Byli blisko:

— Oczywiście — powiedział

Hastings — nie nalegam na pana. Ale taki zdolny, młody człowiek byłby nam niesłychanie potrzebny. Wie pan przecież, że w naszym laboratorium uniwersyteckim pracują ludzie z całego świata. Z całą lojalnością dla mego przyjaciela Drummonda i dla profesora Sparrowa muszę przyznać, że wiele może się pan przy nich nauczyć. Ale otwarte życie i wielkie perspektywy są jednak u nas. Po prostu u nas jest większy rozmach i zdolny człowiek może przeskakiwać szczeble drabiny życiowej po kilka naraz. Nikt mu nie przeszkodzi, jeżeli tylko będzie tego wart. Zna pan mój adres prywatny, więc proszę zadeszować, jeżeli tylko

zechce pan przyjechać. Będę... Odeszli i nie mógł usłyszeć więcej. Obie postaci zbliżyły się do drzwi domu i rozłączyły. Amerykanin wszedł do środka. Filip Davis po krótkim wahaniu ruszył znów w powolną wędrówkę wokół klombu. Kiedy był blisko, zatrzymał się, dostrzegając, być może, białą plamę kołnierzyka Alexa. Podszedł.

— Przepraszam... — powiedział. — Ciągle czekam na profesora Sparrowa. Czy nie widział go pan?

— Nie, nie widziałem go.

— Nie wiem, gdzie mógł się podziać.

— Może spaceruje po parku? — powiedział Joe. — Nie było mnie tu przez dłuższy czas, więc nie umiem powiedzieć.

W tej chwili dostrzegł Sarę. Szła szybko, przemknęła obok nich w ciemności i znalazła się w jasnym prostokącie światła padającego z oszklonych drzwi sieni. Weszła do domu i echo przyniosło im lekki odgłos jej kroków na kamiennej posadzce. Filip Davis zaświecił zapałkę i spojrział na zegarek.

— Dziesiąta już — powiedział ze zdziwieniem. — Profesor Hastings rozmawiał ze mną widocznie dłużej, niż myślałem. — Zniżył głos. — On

wszystkich po kolei namawia,
żeby wyjechali do Ameryki. Mnie,
oczywiście, na szarym końcu. Ale
podszedł do mnie teraz
i proponował mi wielką przyszłość,
jeżeli wolno tak powiedzieć. Mógłbym
chyba być bogaty, gdyby to, co mówił,
sprawdziło się. — Urwał. — To
okropna rzecz, pieniądze! — powiedział
nagle z akcentem żywiołowej
szczerości. — Czasem są tak okropnie
potrzebne, i to szybko! — Wstał. —
Musiałem się chyba jakimś cudem z nim
rozminąć, to znaczy z profesorem
Sparrowem. Zapukam do jego pokoju.
Może tam jest? Przecież Malachi zaraz
spuszcza psy. Przepraszam pana.

Ruszył ku drzwiom domu. Alex popatrzył za nim w zamyśleniu: dlaczego ten młody, sympatyczny człowiek jest taki zdenerwowany? Może to oferta Amerykanina i miraż bogactwa? A może telefon, który otrzymał z Londynu? Wszyscy ludzie mają swoje kłopoty — zawyrokował w końcu, zdając sobie sprawę, że zdanie to jest równie banalne, jak prawdziwe. Ruszył w kierunku domu i dostrzegł, że z sieni wynurza się profesor Hastings.

— Już dziesiąta! — Alex ostrzegawczo podniósł rękę. — Proszę uważać na psy.

— Ach, prawda! Chciałem spotkać profesora Sparrowa. Nie ma go u siebie

ani u Iana. O, jest!

I minąwszy Alexa, zbliżył się ku nadchodzącej powolnym krokiem postaci, która wynurzyła się z ciemności i szła w ich kierunku.

Kiedy Hastings podszedł do niego, Sparrow uniósł gwałtownie głowę, jak ktoś obudzony ze snu.

— Chciałbym jeszcze dzisiaj porozmawiać z panem, jeżeli będzie można — powiedział Hastings. — Mamy przecież światowy kongres u nas w przyszłym roku i mam wam obu zaproponować parę spraw w związku z tym. Mógłbym, co prawda, zrobić to później listownie, ale skoro jestem..

— Oczywiście — powiedział

Sparrow. — Tak. Na pewno.

— Poza tym chciałbym jeszcze z panem porozmawiać w jednej sprawie, która może nas obu zainteresować. Zaczęliśmy mówić o tym parę dni temu ogólnikowo, ale wtedy nie chciałem zabierać panu czasu...

— Tak. — Sparrow potarł dłonią czoło. — Ja też chciałem z panem porozmawiać. Czy mógłby pan wpaść do mnie za, powiedzmy, pół godziny? Muszę jeszcze wymasować żonie rękę. Miała dzisiaj ten wypadek i...

— Tak. Doskonale rozumiem. Jest w tej chwili dziesięć po dziesiątej. Więc za dwadzieścia jedenasta, tak?

— Tak, będę czekał na pana.

Alex usiadł na kamiennym stopniu i zapalił papierosa. Minęli go obaj wchodząc, a Amerykanin rzucił uwagę o nocnym powietrzu i reumatyzmie. Alex uśmiechnął się.

Weszli i został sam. Księżyc stał teraz wysoko nad domem i w ogrodzie zrobiło się widniej. Powiał chłodny wietrzyk. Zobaczył zgarbioną nieco postać zbliżającą się od strony lewego rogu domu. Obok niej postępowały dwa smukłe, niewysokie cienie. Psy.

— Dziadzio Malachi? — powiedział Joe półgłosem. Oba cienie błyskawicznie wysforowały się do przodu, ale osadził je w miejscu krótki gwizd. Wróciły do nogi. Stary podszedł,

trzymając

w zębach swoją nieodstępną fajkę.

— To ja — powiedział. — Piękną noc mamy i widną.

— Tak. Chcemy jutro rano wybrać się na ryby, pan Drummond i ja. — Alex stanął obok niego. Psy zawarczały cicho, ale umilkły, kiedy ogrodnik zrobił mały ruch ręką.

— Czemu nie? Pojechałbym z panami.

— A kiedy pan sypia, dziadku Malachi? Jeżeli w nocy chodzi pan z tymi psami, a w dzień jest praca w takim dużym ogrodzie i w dodatku pół dnia łowienia?

— Śpię w nocy. Siadam tu, a one

sobie chodzą. Potem drzemię godzinę po obiedzie

i to mi wystarczy. Starzy ludzie nie muszą tyle spać. Wyśpią się później. — Roześmiał się cichym, starym śmiechem. — Wolę tu być teraz — dodał szeptem. — Jestem spokojniejszy o pana Iana, kiedy siedzę niedaleko od niego, razem z tymi pieskami. Nikt się tu wtedy nie przedostanie.

A w domu nie ma nikogo, kto by go skrzywdził... — urwał na ułamek sekundy — a przynajmniej tak skrzywdził, żeby się nie mógł potem pozbierać.

Alex milczał. Domyślał się, co stary ogrodnik chce powiedzieć. A więc i on

wie? Skąd? Mógł przecież dostrzec ich kiedyś w parku. Na pewno nie pierwszy raz spotkali się tam dzisiaj. Wstał.

— Więc do jutra rana! — powiedział.

— Pewnie! Dobranoc panu! — Stary usiadł na progu. — Zamknę później — dorzucił jeszcze. — Mam klucz przy sobie, a drugi wisi przy drzwiach na gwoździu.

— Dobranoc! — Alex wszedł do sieni i ruszył ku drzwiom gabinetu Drummonda.

VII. „Nie mógł uciec ani się uchylić...”

Alex zapukał do drzwi wychodzących na sień obok wylotu schodów, które prowadziły z piętra. Nie usłyszawszy zaproszenia, zapukał ponownie. Potem, zaniepokojony, nacisnął klamkę. Drzwi otworzyły się bezszelestnie i wtedy zrozumiał, że pukanie było bezcelowe. Wyłożono je grubymi jak poduszki ochraniaczami przeciwdźwiękowymi.

— Przepraszam — powiedział — ale pukam już od dłuższego czasu i...

— Och, wejdź! Myślałem, że to Sara. Była tu przed chwilą i siedziała prawie kwadrans. Wygląda na bardzo zmęczoną tym londyńskim sezonem. Była

tak roztargniona, że też zapukała. A potem zajrzał Hastings i zrobił to samo. — Drummond wstał od dużego, zarzuconego papierami stołu. — Zapomniałem ci powiedzieć, że do tego pokoju się nie puka. Bo po co? Nikt tu nie wchodzi

bez potrzeby. W ten sposób oszczędza się hałasu i mówienia przy pracy. Ściany też są wyłożone korkiem. Starzeję się widocznie.

Wstał i osuszył ciężkim marmurowym przyciskiem kartkę, na której widniały szeregi niezrozumiałych dla Alexa znaków.

— Mój Boże — powiedział Joe. — A cóż to za hieroglify!

— Mógłbym ci to wszystko wytłumaczyć prostymi słowami, bez używania tych znaków, ale i tak na nic by ci się ta wiedza nie przydała. — Sięgnął do kieszeni po klucz i otworzył nim drzwi w przeciwległej ścianie. — Tu jest nasze laboratorium! — roześmiał się. — A oto jego najważniejszy sprzęt! — Zapalił światło. Alex dostrzegł wielki biały pokój o zakratowanych oknach. Stało w nim kilka stołów i oszklonych szaf, a w nich najrozmaitsze naczynia pełne płynów i proszków. Na stołach porozstawiane były dziwacznie wyglądające przyrządy, których znaczenia nawet się nie domyślał. Na

ścianie wisiała czarna tablica rozdzielcza, pokryta różnokolorowymi lampkami. Biegły ku niej przewody, kończące się bądź przy stołach, bądź uchodzące w ścianę.

— Tak więc wygląda nowoczesna alchemia — westchnął. — Myślę, że kiedyś było łatwiej pojąć te wszystkie prawdy?

— Skądże. Nic się nie zmieniło. Ciągłe wszystko polega na tym, że szuka się kamienia filozoficznego, tylko że w każdym stuleciu jest on inny. Ale zobacz to! — Z dumą wskazał jedyną nie oszkloną szafę. Wymalowana była na niej wielka trupia, przeraźliwie uśmiechnięta czaszka, zaopatrzona

przepisowo u spodu w skrzyżowane piszczele. Pod nimi biegł piękny gotycki napis, czerwonymi jak krew literami: „UWAGA! OTWARCIE GROZI ŚMIERCIA!” Ian otworzył ją i wewnątrz ukazał się rząd wędek, stojących równo jak karabiny na stoisku. Po wewnętrznej stronie drzwi szafy przyczepione były przezroczyste pudełka, pełne różnobarwnych sztucznych much i najrozmaitszych haków, od maleńkich pojedynczych, do potrójnych ogromnych, w kształcie kotwic.

— No! — Alex kiwnął głową. — Wystarczy dla dwóch. Czy wiesz już, o której możemy jutro wyruszyć?

— Myślę, że o siódmej, jeżeli nie zaśpisz.

— Za nic w świecie, ale na wszelki wypadek obudź mnie, kiedy wstaniesz.

— Dobrze! — Ian zamknął szafę. — Muszę potem przejrzeć jeszcze haki i dopasować do nich linki, żeby nie mieć roboty w łodzi. A teraz do pracy!

— Ja też popracuję trochę — mruknął Alex. — Zdaje się, że moje najnowsze, genialne arcydzieło powstanie tu, pod twoim dachem.

— Wieki o tym będą pamiętały! — uśmiechnął się Drummond. Przeszli do gabinetu.

Alex podszedł do drzwi i odwrócił się.

— Pamiętaj, obudź mnie od razu,

kiedy tylko przetrzesz oczy!

Stojąc z ręką na klamce, dostrzegł w rogu pokoju wielką, trochę staroświecką kasę ogniotrwałą

o uchylonych grubych drzwiczkach.

— Na pewno nie zapomnę!

— Dobranoc!

— Dobranoc!

Zamknął za sobą drzwi gabinetu i ruszył na górę.

Otworzywszy drzwi swego pokoju, zapalił światło. Maszyna stała na stoliku, zapraszająco szczerząc klawisze. Alex zdjął marynarkę, krawat i buty. Sięgnął pod łóżko po nocne pantofle

i narzucił na koszulę flanelowy szlafrok.

Kiedy siadał za stołem, zegar uderzył dwa razy.

Pół do jedenastej.

Joe przesunął wiersz i pod słowami Rozdział pierwszy napisał: Przed uniesieniem kurtyny, a potem znowu przesunął wiersz i rozpoczął: „Tego dnia Joe Alex ukończył trzydzieści pięć lat...”

Pisał około dwudziestu minut, gdy ktoś zapukał do drzwi. Joe ogarnął poły szlafroka i wstał. Spojrzał na zegar. Brakowało dziesięciu minut do jedenastej.

— Proszę!

Drzwi uchylły się lekko.

— Bardzo przepraszam... —

powiedziała półgłosem Lucy Sparrow
— ale usłyszałam,
że pan pisze na maszynie...

— Proszę, niech pani wejdzie.

— Nie, nie. — Jestem w szlafroku.
Czy mógłby mi pan pożyczyć kilka
kartek papieru maszynowego? Muszę
napisać list, a mam unieruchomioną
rękę, więc spróbuję wystukać jednym
palcem.

— Ależ oczywiście! — Wziął ze
stołu kilkanaście kartek i podał jej przez
próg. Lucy ubrana była w długi błękitny
szlafrok, wspaniale kontrastujący z jej
jasnymi włosami.

— Dziękuję i przepraszam.
Dobranoc. — Cicho zamknęła drzwi.

— Dobranoc... — powiedział trochę za późno Alex. Cóż to za piękna dziewczyna! Zimna, grecka uroda. Podeszedł do lustra i wzruszył ramionami. Cóż one widzą wszystkie w tym Sparrowie? Przecież to zupełny obłąd! Westchnął i znowu usiadł za stołem. Pisał pół godziny bez żadnej prawie przerwy, z rosnącym zadowoleniem. Książka, szła łatwo, składnie i sama ukazywała coraz to nowe, potrzebne szczegóły, co było oznaką, że plan jest rozumny. W pewnej chwili zaboląły go plecy, wstał więc i rozprostowując ramiona podeszedł do okna. Ogromny klomb zalany

był księżycowym blaskiem. Z dala drzewa wyglądały jak potężny, czarny mur oddzielający Sunshine Manor od tajemniczego nocnego świata. Nagle przez ścieżkę przemknęły dwa niskie, wysmukłe cienie. Zatrzymały się, a potem zawróciły. W chwilę później dostrzegł kulistą prawie, powolną postać, która sunęła wzdłuż klombu, zatrzymując się przy kwiatach i oglądając

je w księżycowym blasku. Stary Malachi i jego dwa wierne gryfy: Joe wychylił się przez parapet. Pod nim płonęło ciągle żółte światło za zasuniętymi zasłonami. Ian. Wysoki, jasny, pochylony nad dziwnymi znakami niezrozumiałego

równania, z którego wylęgnać się miała epoka mas syntetycznych. Tajemnice siarki służącej do niedawna tylko jako opał dla szatana, który podsycił nią swoje ognie piekielne...

Myśl o piekle przywiodła mu na pamięć książkę. Zawrócił do stolika i wzięwszy do ręki kilka zapisanych już stron, zaczął je odczytywać, robiąc tu i ówdzie kółeczka ołówkiem na znak, że trzeba będzie wprowadzić poprawki. Skończył. Do tej pory było dobrze. Ale trzeba przemyśleć jeszcze jeden czy dwa fragmenty dramatu. Podszedł do łóżka, sięgnął po leżące na nocnym stoliku pudełko papierosów i zapalił. Ostatni papieros. To nic, później zejdę do Iana.

Na razie trzeba trochę pomyśleć. Położył się w szlafroku na łóżku i przymknął oczy. W powietrzu czuł lekki zapach dymu papierosa, który wypalał się pomiędzy palcami. Alex zaciągnął się mocno, potem jeszcze raz.

Nie smakował mu. Zgasił papierosa i znowu przymknął oczy. Jazda z Sarą. To dziecko. Ohydna ryba, którą złowił Hastings. Powoli ryba zmieniła się w królową, która oddychała ciężko po zabiciu męża. „Oto jestem”... — powiedziała ryba, — „Zadany cios i czyn spełniony...” Usnął.

Obudził się nie wiedząc zupełnie, gdzie jest. Światło nad stołem płonęło nadal. Usiadł i przetarł powieki.

Spojrzał na zegarek. Za pięć pierwsza.
O Boże... — rozejrzał się bezradnie i
sięgnął

po papierosy. Nie. Nie było już ani
jednego. Może rozebrać się i usnąć? Ale
ostatni papieros

w wannie był nieodzowny. Podszedł do
okna. Ian już na pewno śpi. Nie. Światło
płonęło nadal. Jakże on chce łowić rano,
jeżeli do tej pory pracuje?

Podciągnął poły szlafroku i cicho
otworzył drzwi. Dom spał. Nigdzie nie
było słychać najmniejszego szelestu.
Nad schodami płonęła maleńka lampka
nocna. Nie zamykając swoich drzwi
Alex na palcach minął pusty pokój i
ująwszy poręcz schodów zaczął

schodzić cicho.

Na zakręcie zatrzymał się. Jakiś dźwięk? Nie. To musiało być przewidzenie. Zszedł na dół. Schody zaskrzypiały ostro. Drzwi gabinetu Iana były uchylone. Ale światło nie paliło się. Musiał je zgasić przed chwilą. Może jest w laboratorium? Wszedł i stanął niezdecydowanie. Przez story sączył się lekki księżycowy blask, tak nikły, że zaledwie zdołał odróżnić siedzącą za stołem postać w białej koszuli.

— Ianie?... — powiedział Alex.

Postać za stołem nie poruszyła się. W tej samej chwili usłyszał za sobą coś jak stłumiony oddech i równocześnie wszystko zniknęło. Pozostało głucho,

równomierne huczenie w głębi czaszki i barwne, łagodne koła, które wirowały, wirowały, wirowały... gdy osunął się w nieprzeniknioną ciemność.

VIII. Wszyscy w domu śpią

Koła zgasły, zniknęły i w głowie rozrósł się ból. Alex otworzył oczy. Nie wiedział, gdzie jest. Nie mógł sobie niczego przypomnieć. Leżał na jakimś dywanie. Dotknął dłonią tyłu głowy.

— Uderzył mnie ktoś... — wyszeptał. — Dlaczego mnie uderzył?

I nagle wszystko powróciło. Wstał.

Szum mijał. Rozejrzał się. W księżycowym blasku postać za stołem nadal siedziała nieruchomo.

— Ianie! — szepnął i poczuł gwałtowny skurcz w gardle. — Gdzie jest kontakt? Nie dotykać lampy na biurku... Nie dotykać lampy na biurku. Na pewno przy drzwiach...

Zaczął wodzić ręką po ścianie. Jest. Nacisnął. Pokój zalało światło z dużej mleczej lampy zawieszanej pod sufitem.

Ian Drummond siedział za stołem, a właściwie nie siedział, na wpół leżał z głową opartą o jego powierzchnię. Czując, że włosy jeżą mu się na głowie, Alex podszedł bliżej i zobaczył...

Pośrodku białej koszuli widniała na plecach siedzącego wielka plama krwi, a wewnątrz niej tkwił wbity głęboko nóż o srebrzystej, metalowej rękojeści. Krew spłynęła na oparcie fotela i utworzyła dużą ciemną plamę na dywanie. Nie mogąc oderwać oczu od tej plamy, Alex zbliżył się.

„Muszę zobaczyć, czy żyje... — pomyślał rozpaczliwie: — Muszę!”

Ian miał oczy na wpół otwarte. Były zupełnie nieruchome i na dnie ich czaiło się coś, jak wyraz bezbrzeżnego, spokojnego zdumienia. Jedną ręką trzymała kurczowo brzeg stołu, jak gdyby chciał się podźwignąć, nim głowa opadła i przestała rozumieć. W drugiej

trzymał pióro. Przed nim leżała kartka, a na niej jakieś słowa, jak gdyby początek listu. Z boku porozkładane były na stole pudełka z haczykami i przynęty. Lecz Alex dostrzegł to, nie rozumiejąc i nie widząc jeszcze niczego prócz tych nieruchomych zdumionych oczu. Przemógł się i wyciągnął rękę. Dotknął czoła Drummonda. Było zimne, tak zimne, że pozornie wydawało się niemożliwe, aby w tym ciepłym pokoju człowiek mógł być tak zimny nawet po śmierci.

— On umarł... umarł... — szepnął Joe i opuścił rękę. Zbyt wielu umarłych widział w życiu, aby nie wiedzieć, że żadna pomoc nie

jest już potrzebna. „Pomoc? Gdzie jest kartka? Kartka, którą mi dał Parker? Telefon...”

Wyprostował się i obszedł stół dokoła, starając się niczego nie dotykać. Nie zrobił tego z rozmysłem. Ale zbyt wielu zbrodniarzy w jego książkach pozostawiało ślady... W jego książkach? Przecież Drummond miał zginąć w jego książce... Dotknął ręką głowy. „Boże, co się ze mną dzieje? — Podszedł do drzwi. — Trzeba coś zrobić!”

I nagle przypomniał sobie: „Ktoś mnie uderzył! Tu był morderca! Był, kiedy wszedłem! — Przystanął. — Nie, musiał już dawno odejść. Gdyby chciał

mnie zabić, zabiłby już... Malachi? Stary Malachi i jego psy...”

Wyszedł do ciemnego hallu. W świetle padającym z drzwi gabinetu herbowa tarcza Drummondów wynurzyła się z mroku wraz ze skrzyżowanymi włóczniami, które stanowiły

jej główny motyw. „Ostatni Drummond... przebity... nożem... Znam ten nóż?... Skąd go znam?”

Ujął słuchawkę aparatu i nakręcił numer. Odezwał się daleki głos.

— Czy posterunek policji?

— Tak. Tu dyżurny policjant, Malisborough.

— Tu Sunshine Manor —

powiedział Alex odzyskując głos. —
Moje nazwisko brzmi Alex. Chcę się
natychmiast połączyć z inspektorem
Parkerem ze Scotland Yardu.

— Tak, proszę pana. Chwileczkę.

Znowu trzask, drugi, trzeci.

— Hallo? — odezwał się spokojny,
trzeźwy głos i Alex uczuł ogromną ulgę,
choć dopiero teraz zaczynał
rozumieć, i ogarnęła go rozpacz.

— To ja, Joe — powiedział cicho.
— Ian nie żyje!

— Co? — powiedział Parker. —
Nie żyje? Zamordowany?

— Tak. Na pewno.

— Zaczekaj chwilę. Zaraz wrócę.

Joe usłyszał daleki, przytłumiony

głos:

— Jones!

Odpowiedź była nieuchwytna. I znowu Parker mówił do kogoś:

— Lekarz, fotograf, daktyloskop. Jedziemy!

I znowu głos do słuchawki:

— Za godzinę będę na miejscu. Czy wiesz, kto to zrobił?

— Nie — powiedział Alex. — Znalazłem go w tej chwili w jego gabinecie. Wszyscy w domu śpią. Nikt jeszcze nie wie.

— Poza mordercą — mruknął Parker. Potem po sekundzie wahania: — Jeżeli możesz, przypilnuj, żeby nikt tam nie wchodził. Nie budź nikogo do

naszego przyjazdu. Niechaj Malachi nie zamyka swoich psów.

— Dobrze.

— Już jadę.

— Tak.

Po tamtej stronie słuchawka opadła na widełki. Alex odwrócił się od aparatu. Przed nim była mroczna sień, a z lewej strony padało światło przez uchylone drzwi gabinetu.

Starając się nie patrzeć w tamtą stronę minął je, podszedł do oszklonych drzwi, które prowadziły do parku, i wyjrzał. Księżyc świecił nadal, chociaż już z innej strony. Joe odnalazł wiszący na grubym haku wielki klucz o starodawnym wyglądzie. Włożył go w

zamek. Zgrzyt rozległ się tak głośno, że wydało mu się, jakby w całym domu zazgrzytały klucze. Okropne żelazne echo. Nacisnął klamkę. Siedzący na progu człowiek w baranym futrze uniósł głowę. Psów nie było widać.

— Malachi... — powiedział Alex szeptem.

Postać drgnęła i zerwała się.

— Co się stało? — zapytał trochę nieprzytomnie staruszek. Mówił równie cicho jak Alex, jak gdyby przyjmując ten ton jako konieczność nocy.

— Pan Ian... pan Drummond nie żyje.

— Co? — powiedział Malachi. —
Co takiego?

W tej chwili nadbiegły psy. Stały przy nim i nagle jeden wstał na próg i wsunawszy głowę do sieni obok stojącego Alexa, zawył cicho i krótko.

— Nie żyje — powiedział Malachi Lenehan i przeżegnał się. — Pan Ian nie żyje...

Opuścił głowę. Potem podniósł ją.

— Zaraz przyjedzie pan inspektor Parker. — Alex położył mu rękę na ramieniu. — Zamordowali go...

— Zamordowali go — stary człowiek spojrzał na niego. Alex zobaczył, że w świetle księżycy oczy

jego błyszczącą srebrnymi łzami, które ściekały po nieruchomych pomarszczonych policzkach.

IX. „Szanowny panie profe...”

Noc trwała jeszcze, ale już wkrótce musiał nadejść wczesny letni świt, a z nim słońce i jasna zieleń drzew za oknem.

Inspektor Ben Parker stał w rogu pokoju pod oknem i patrzył.

— Mój Boże... powiedział cicho.

Wszystko trwało nadal nie zmienione. Błysnął flesz fotografa. Alex

przymknął oczy. Ostatnie zdjęcie profesora Iana Drummonda, zasłużonego badacza brytyjskiego. Potem dwaj sanitariusze unieśli ostrożnie ciało i złożyli na noszach.

— Na razie mogę powiedzieć tylko tyle — mruknął niski, łysy doktor Berkeley, który zatrzymał się w drzwiach nim ruszył ze zwłokami — że śmierć nastąpiła natychmiast. Kilka uderzeń tym lancetem...

— Kilka? — powiedział Alex i nagle odetchnął głęboko. — Trzy?

— Tak... — Doktor spojrzał na niego ze zdumieniem. — Czy policzył pan cięcia na koszuli? Była tak przesiąknięta

krwią, że...

— Nie... Nic. — Joe potrząsnął głową.

— Niech pan jak najszybciej przedzwoni mi wyniki, doktorze — powiedział Parker.

— Oczywiście. — Doktor wyszedł.

Parker ruszył za nim do drzwi. — Jones! — zawołał półgłosem do stojącego w sieni młodego, pyzatego człowieka w cywilu.

— Tak, szefie.

— Czy daktyloskop wziął już odciski wszystkich?

— Pięć minut temu, szefie.

— Dobrze.

Fotograf składał swoje przyrządy i

na palcach wysunął się z pokoju.

— Będą za trzy godziny! —
powiedział wychodząc.

— Tak. — Parker zrobił krok
naprzód. — Powiększenia stołu, tej
plamy na podłodze i cała reszta.

— Oczywiście.

Zostali sami. Joe patrzył na puste
miejsce za stołem. Plama krwi na
podłodze zdążyła
już pociemnieć.

— Jones! — zawołał Parker.

— Tak, szefie?

— Czy wszyscy są w swoich
pokojach?

— Tak.

— Uprzedź, że niedługo będę prosił

obecnych o kilka słów. Wszyscy są już ubrani, prawda?

— Zdaje się, że tak. — Wyszedł.

— Kiedy wszedłem do niej, pani Drummond była już ubrana — powiedział Parker. — Co miałaś na myśli mówiąc o tych trzech uderzeniach?

— Nic, to znaczy, myślę, że to nonsens. Sara Drummond wczoraj recytowała fragment sztuki, gdzie to było...

— To może poczekać. — Parker podszedł do niego. — Joe, wiem, jak się czujesz. Wierz mi, że ja myślę i czuję to samo co ty. Ale Iana nic już nie wskrzesi. Jedno, co nam pozostało, to znaleźć mordercę. Jesteś

mi bardzo potrzebny w tej chwili. Byłeś tu wczoraj przez cały dzień. Odnalazłeś go. Możesz bardzo pomóc. Umiesz myśleć przeciw. Myśl razem ze mną.

Usiadł na krześle przy małym stoliku stojącym pod oknem. Ręką wskazał mu drugie krzesło. Wyciągnął notes.

— Zbierzmy pierwsze fakty — powiedział. — Ten pokój: Ian siedział trzymając w ręce pióro. Przed sobą miał zaczęty list... — Wstał i podszedł do stołu. Nie dotykając niczego pochylił — się nad kartką. — „Szanowny panie profe...” — odczytał. — Potem jest ostra linia w dół i kleks.

To znaczy, że został ugodzony w chwili, kiedy pisał. To jest pewne. Pióro miał

zaciśnięte w ręce. Morderca musiał działać szybko. Nie mógłby sobie pozwolić na układanie ręki. Każdej chwili mógł go tu ktoś zaskoczyć. Zresztą widać, że pióro zsunęło się w trakcie pisania. Dwa: Ian zabity został nożem lekarskim, jeżeli oczywiście sekcja nie powie nic innego. Ale chyba nie. Mówisz, że widziałeś wczoraj ten nóż albo bardzo podobny. Że należał do Lucji Sparrow. Zaraz sprawdzimy. — Podszedł do drzwi: — Jones!

— Tak, szefie!

— Gdzie był ten nóż? — zapytał Alexa.

— Powinien być w małej

walizeczce skórzanej w garderobie łączącej pokoje pani Drummond i pani Sparrow. Zresztą ona sama powie to najlepiej.

— Przynieś go — powiedział Parker. — Zapytaj pani Sparrow, czy wszystko w jej walizce jest w porządku? Albo czekaj. Nie idź.

Zamknął drzwi i zawrócił.

— Joe — powiedział — straciliśmy pół godziny na uspokajanie domowników, oględziny lekarza i ceregiele daktyloskopów. Rozejrzyjmy się jeszcze. Podejdź tu. Patrzmy razem. Byłeś tu wczoraj wieczorem. Wszedłeś potem. Patrz, myśl! Może zobaczysz coś? Ten lancet jeszcze nic nie mówi.

Wszędzie są odciski palców. Nawet na nim. Potem dowiemy się czegoś o nich. Na razie myślmy.

Joe wstał. Razem zbliżyli się do stołu. Parker pochylił się nad dywanem.

— Ta plama krwi... — powiedział.
— Widzisz?

— Widzę. — Joe nachylił się. Obezwładnienie psychiczne mijało. Zaczynał myśleć coraz jaśniej. — Jak gdyby ktoś wdepnął samym koniuszkiem buta. O tu... dalej... jeszcze jeden odcisk na dywanie. Widocznie cofnął się... — Wyprostował się. — Ktoś wdepnął w kałużę krwi... i potem cofnął się...

— Pokaż swoje pantofle — Parker pochylił się do jego nóg. — Może to ty,

kiedy go znalazłeś?

Alex uniósł lewą stopę, potem prawą.

— Nie. — Parker pokiwał głową. — U ciebie nie ma śladu. To sam czubek buta. Oby morderca nie zauważył tego...

Ale Joe nie słuchał go. Wpatrywał się w plamę krwi i bez słowa wyciągnął przed siebie dłoń.

— Tam coś jest... — powiedział. — Zobacz.

Parker ukląkł na dywanie. Pod zakrzepłą, śliską, ciemnoczerwoną powierzchnią plamy widać było nieregularny zarys jakiegoś drobnego, zavalanego krwią przedmiotu.

— Jones!

— Tak szefie!

— Naczynie z wodą!

— Tak jest.

Parker nie ruszał się z klęczek. Joe patrzył jak urzeczony. Zdawało mu się, że dostrzega zarys cienkiego łańcuszka. Mała, pełna wody miednica znalazła się w pół minuty. Alex spojrział na Parkera. Zanurzając dwa palce w czerwonej plamie inspektor przymknął oczy, ale potem otworzył je szeroko i upuścił mały przedmiot do miednicy. Woda zabarwiła się na czerwono. Parker poruszył nieznacznie przedmiotem, a potem potarł go chustką. Joe wstrzymał oddech.

Na dłoni Parkera lśnił czerwony jak

krzew rubinowy wisiołek wraz z krótkim złotym łańcuszkiem.

— Czy znasz to? — zapytał inspektor.

— Tak. — Alex kiwnął głową. — Ten wisiołek w ciągu wczorajszego dnia miała na szyi Lucja Sparrow.

Parker ostrożnie rozłożył chustkę na stoliku pod oknem i ułożył na niej wisiołek. — Lucja Sparrow... — mruknął. — Dobrze. Rozejrzyjmy się jeszcze. — Podszedł do otwartej kasy ogniotrwałej. Były w niej poukładane równo papiery w różnobarwnych teczkach. W górnej przegródce stała mała szkatułka. Parker wyjął z kieszeni drugą chustkę i ostrożnie uchylił

wieczko. — Bizuteria — powiedział. —
Prawdopodobnie własność Sary
Drummond. A może jakieś pamiątki
rodzinne? — Spojrzał na stół. — Czy
jesteś pewien, że tych pieniędzy nie było
tam, kiedy odwiedziłeś Iana po
dziesiątej wieczorem?

— Jestem pewien — Joe skinął
głową. — Ostatecznie to się rzuca w
oczy. Spojrzałem prawie dokładnie w to
miejsce, bo Ian miał przed sobą otwarty
zeszyt, w którym pisał. Zazartowałem
nawet na temat tych znaczków...
symbolów, którymi się posługiwał.

Parker podszedł do stołu. Leżała na
nim luźno rzucona na pudełka z
haczykami rybackimi paczka banknotów

w banderoli z napisem: 1000

— Tysiąc funtów... Po cóż by je wyjmował z kasy i kładł na stole, na tym wszystkim,

co miał tu rozłożone? Przecież nie mogły mu być potrzebne do łowienia ryb!

Zawrócił i spojrzał w głąb kasy.

— Tu jest miejsce jak gdyby wymarzone dla tej paczki — powiedział, wskazując na najwyższą przegródkę kasy. — Jeżeli tu nie leżała, to można zrozumieć, dlaczego Ian pozostawił wolne miejsce akurat z boku, a szkatułkę postawił w ten sposób. Ale to tylko hipoteza. Może ktoś będzie umiał nam coś o tym powiedzieć. Klucze są w kasie...

— Mówił mi, że trzymają tu wszystkie najważniejsze dokumenty — powiedział Alex. — Przypominam to sobie dokładnie.

— Trzeba zobaczyć, czy nic nie brakuje. Sparrow powinien to wyjaśnić bez trudu.

Parker zawrócił i usiadł.

— Na razie powinniśmy zaczekać na wyniki sekcji i odciski palców. Zreasumujmy, co mamy w tej chwili.

— Nóż — powiedział Alex — wisiołek z rubinem, odcisk krwi na dywanie, tysiąc funtów...

— Mamy poza tym — powiedział Parker — człowieka, który uderzył cię i

zgasił światło. Mamy te haczyki na stole i list.

— List, tak — Alex zmarszczył brwi. — Ale haczyki?

— Być może, dziś jeszcze odnajdziemy dzięki tym śladom mordercę — powiedział Parker. — Ale jeżeli go dziś nie odnajdziemy, będziemy musieli sobie zadać bardzo ważne pytanie: dlaczego Ian Drummond, który, jak widać, skończył pracę i zajął się przyrządzaniem haczyków na jutrzejszy połów, przerwał także i to zajęcie i zaczął pisać list?

— Mógł przecież przypomnieć sobie, że nie załatwił jakiejś ważnej korespondencji? A może chciał napisać

pożegnalną kartkę do Hastingsa, który dzisiaj odjeżdża?

Parker pokiwał głową.

— Myślę, że napisałby tę kartkę przed albo po ukończeniu pracy nad haczykami. Ale nie w trakcie tego. Ian był systematyczny. Zawsze był systematyczny i porządnym.

Podszedł do stołu.

— Spójrz. Nie ma na nim już nic, co by wskazywało, że miał jeszcze jakąś pracę. Prawdopodobnie złożył już swoje papiery i rozłożył na stole haczyki. Więc skąd ten list?

— Nie wiem — powiedział Alex i potarł dłonią czoło. — Zdaje mi się, że czegoś tu brak. Czegoś, co widziałem

wieczorem...

Parker uniósł głowę.

— Nie możesz sobie przypomnieć?

— Nie — Joe bezradnie rozłożył rękę. — Nie pamiętam. Ale tu coś było, czego nie widzę... Zaraz... — Zastanowił się. — Nie. Nie pamiętam.

— Więc mamy — powiedział Parker:

1. Nóż operacyjny (prawdopodobnie Lucji Sparrow).

2. Tysiąc funtów, niczym nie usprawiedliwione na stole.

3. Wisiorek we krwi (Lucji Sparrow).

4. List: „Szanowny panie profe...”

5. Ślad na dywanie (nie ustalony).

6. Fakt, że morderca był tu o godzinie pierwszej, jeżeli pamiętasz, że za pięć pierwsza zszedłeś na dół.

7. Fakt, że morderca nie opuścił do tej pory domu, a więc jest jedną z osób, które tu zamieszkują. Rewizja całego domu w poszukiwaniu obcego człowieka nie dała żadnych rezultatów. A psy Malachiego nie pozwoliłyby nikomu wymknąć się z ogrodu. Cała posiadłość jest otoczona policją w tej chwili. Morderca jest tu.

8. Mordercą jest wobec tego jedna z następujących osób:

1. Robert Hastings,
2. Filip Davis,

3. Harold Sparrow,

4. Malachi Lenehan, bo miał on
klucz i mógł wejść do domu,

5. Sara Drummond,

6. Lucy Sparrow,

7. Kate Sanders, pokojówka.

— A kucharka? — zapytał Joe;

— Nie było jej. Po kolacji poszła do
Malisborough do chorej siostry i wróci
dopiero rano.

Tak powiedziała pokojówka.

— W takim razie pozostaję jeszcze
ja — powiedział Joe.

— Tak. Słusznie. 8. Joe Alex,
Spośród tych osób musimy wyodrębnić
mordercę i zaprowadzić
go tam, skąd nigdy nie powróci. I

zaprowadzimy go tam, Joe.

— Musimy, Ben.

Spojrzeli sobie przelotnie w oczy.
Za oknem robiło się już szaro.

— A teraz — powiedział Parker —
opowiedz mi krótko, co działo się tu
wczoraj wieczorem.

Nie opuszczaj niczego.

Alex otworzył usta, ale w tej chwili
do pokoju wsunął swe pyzate oblicze
sierżant Jones.

— Stephens znalazł coś, szefie.

— Co? — Parker uniósł głowę.

Do pokoju wsunął się młody
człowiek o krótko ostrzyżonej czuprynie
i bardzo szerokich barach. Ubrany był
po cywilnemu. Ale Alex nie

potrzebowałby obecnej sytuacji, aby wiedzieć, że jest to detektyw. Stephens trzymał w rozłożonej gazecie jakiś przedmiot.

— Można, szefie?

Inspektor bez słowa kiwnął zapraszająco ręką. Detektyw zbliżył się. Joe Alex zobaczył duży marmurowy przycisk do bibuły.

— To on! — powiedział głośno.

— Co? — Parker zwrócił się do Stephensa. — Gdzie to leżało?

— Za firanką na parapecie okna w korytarzu pierwszego piętra.

— Co chciałeś powiedzieć, Joe?

— Ten przycisk — Alex przyjrzał mu się dokładnie. — Tak. Leżał na tym

stole, Ian osuszył nim kartkę, kiedy przyszedłem. Jego mi brakowało.

— Tak — inspektor skinął na Jonesa. — Myślę, że nim właśnie dostałeś w głowę. Bibuła jest rozdarta jak od silnego uderzenia. Oddać to do zbadania odcisków palców, a potem niech zaraz

to zwróca. Gdzie pracuje daktyloskop?

— W jadalni. Rozłożył tam wszystkie swoje graty. W samochodzie ma ciemnię i robią mu tam powiększenia.

— Daj mu ten przycisk i niech zaraz go zwróci. Będzie mi to potrzebne do przesłuchania domowników. Szukajcie dalej... Zaraz! Jones, niech ludzie

przeglądają dyskretnie... powtarzam: dyskretnie, wszystkie buty i nocne pantofle, jakie im wpadną pod rękę. Chodzi o plamę krwi na samym czubku albo o ślad świeżego zmywania wodą. Rozumiesz, o co chodzi?

— Rozumiem, szefie. Wdepnął w krew, co?

— Tak.

— Dobrze, szefie.

Drzwi zamknęły się za nimi.

— Opowiadaj — mruknął Parker i oparł łokcie na stoliku, tuż obok leżącego na białej chustce rubinowego wisiorka.

Joe opowiedział mu, starając się nie

opuścić ani jednego szczegółu, przebieg całego dnia od chwili, gdy Sara Drummond podjechała pod dom, w którym obecnie mieszkał, swym czarnym jaguarem.

X. „... Trzeci cios: ofiarny...”

Tak — powiedział Parker, kiedy Joe skończył. — To wszystko daje dużo do myślenia. Kiedyż oni załatwią te oględziny lekarskie i odciski? Trzeba już coś zrobić. W tej samej chwili Jones znowu wsunął głowę.

— Dzwoni doktor!

— Nareszcie! — Parker poderwał się z miejsca i wyszedł.

Alex pozostał sam. Odwrócił oczy od miejsca, na którym wciąż jeszcze stał fotel Iana. Plama na podłodze była coraz ciemniejsza.

Drzwi otworzyły się.

— Mam już wyniki! — powiedział Parker. — Zabity został trzema uderzeniami tego właśnie noża chirurgicznego...

— Trzema? — Alex potarł czoło. — Więc jednak. O, mój Boże!...

— Tak. Trzema. Śmierć nastąpiła od razu. Serce przebite dwukrotnie na wylot. Trzeci, ostatni cios, był już zupełnie zbyteczny. Duży krwotok. Stąd

wielka plama krwi. A zabity został najwcześniej o godzinie dziesiątej trzydzieści, a najpóźniej o jedenastej piętnaście.

Usiadł.

— Jak to? — Alex zerwał się z miejsca. — Przecież o pierwszej, kiedy zszedłem, morderca był tu i...

Parker rozłożył ręce.

— On się nie myli, nasz drogi eskulap. Można mu dużo zarzucić. W Yardzie mówią, że pije trochę za wiele. Ale nigdy się nie myli. Musimy to przyjąć jako pewnik.

— Ale przecież JA rozmawiałem z Ianem o dziesiątej trzydzieści!

— Nie. Powiedziałaś mi, że godzina wybiła, kiedy znalazłeś się, na górze. Rozmawiałeś z nim o minutę wcześniej. Zresztą to jest dolna granica czasu. Mógł zginąć w ciągu następnych czterdziestu pięciu minut, w ciągu każdej z tych minut.

— A ten człowiek? Ten, który mnie...

— Alex dotknął ręką głowy.

— Wszystkiego musimy się jeszcze dowiedzieć. Zaczekamy na wynik badań daktyloskopijnych. To trochę dłużej potrwa, bo oni są bardzo dokładni i robią powiększenia zdjęć. Ale wszystko przyjdzie. Za wiele jest tych śladów, żebyśmy nie mieli odnaleźć prawdziwego tropu.

Joe usiadł. Parker zajrzał do swojego notesu.

— Może, zanim się to skończy, przesłuchamy tych, którzy są najmniej podejrzani, a właściwie są poza podejrzeniem. Czy myślisz, że stary Malachi mógł, nie teoretycznie, ale praktycznie biorąc, podejść do Iana z tyłu i uderzyć go nożem chirurgicznym w plecy? Trzy razy? A potem spokojnie wrócić na próg domu i czekać, aż się to wszystko wyjaśni i oskarżą kogoś zamiast niego?

— Nonsens! — Alex potrząsnął głową. — Malachi nie mógł tego zrobić i możesz go spokojnie wykreślić ze swojej listy. Dlaczego miałby zabijać

Iana, którego kochał i z którego rodziną związany był niemal od urodzenia? Przecież to nie lokaj ani kucharz, ale prawdziwy przyjaciel trzech pokoleń Drummondów. Zresztą to w ogóle niemożliwe. Nie taka zbrodnia i nie w ten sposób. A zresztą... — wskazał leżące na stole przedmioty. — Skąd wziąłby ten lancet i ten wisiorek? Chyba że Lucja Sparrow zgubiła go gdzieś?... Gdybyś widział jego łzy...

— Tak. Masz racje. Nawet bez tego dowodzenia wiem, i ty wiesz, że Malachi Lenehan tego nie zrobił. Właśnie dlatego chciałbym go przesłuchać. Jones!

— Tak, szefie — pyzata głowa wyskoczyła spoza uchylonych drzwi, jakby była przytwierdzona na sprężynie.

— Sprowadź tu Malachi Lenehana, starego ogrodnika.

— Tak, szefie!

Czekali w milczeniu. Po krótkim czasie Jones znowu się ukazał.

— Jest już, szefie.

— Poproś go tu.

Malachi Lenehan wszedł do pokoju pochylony, ale zaraz wyprostował się i zbliżył równym, spokojnym krokiem do stolika.

— Niech pan siada, dziadku — powiedział Parker i wskazał mu trzecie, nie zajęte krzesło.

Ogrodnik usiadł. Rozejrzał się. Ale nie powiedział ani słowa, chociaż na pewno zobaczył rozrzucone na stole pudełka z haczykami. Zwrócił oczy na Parkera.

— Pan Ian nie żyje — powiedział Parker głosem tak ciepłym, o jaki Ian by go nie podejrzewał. — Wszyscy, którzy tu siedzimy, byliśmy jego przyjaciółmi. Myślę o prawdziwych przyjaciółach, których człowiek ma w życiu niewiele. Teraz zginął. Zamordowano go, chociaż możemy przypuszczać, że w życiu jego nie zdarzyło się nic, za co można byłoby się na nim w ten sposób zemścić. To nie ktoś skrzywdzony chciał sobie w ten sposób wymierzyć sprawiedliwość,

której nie mógł osiągnąć inaczej. Chociaż byłaby to także zbrodnia, bo człowiek nie ma prawa karać śmiercią drugiego człowieka, ale wtedy moglibyśmy myśleć, że zabitego spotkał zasłużony los, chociaż morderca musi ponieść karę. My wiemy, że tak nie jest. Zabito najlepszego, najuczciwszego z ludzi. I musimy dowiedzieć się, kto to zrobił. Musimy znaleźć tego mordercę nie tylko dlatego, że Ian Drummond był nam bliski i szanowaliśmy go, i kochaliśmy jak brata. Ale dlatego, żeby zło zostało ukarane, a dobro zwyciężyło. Tu mamy do czynienia z wielkim złem. Jestem przekonany, że Ian Drummond został

zabity tylko dlatego, że śmierć jego była komuś potrzebna. Nie wiemy jeszcze komu. I to właśnie musimy odkryć, zebrać dowody i schwytać zbrodniarza.

— Tak trzeba zrobić... — Malachi skinął siwą głową.

— Teraz, dziadku, niech pan skupi uwagę i opowie nam przebieg wczorajszego dnia. Kolejno i nie opuszczając najmniejszych, nawet nieważnych spraw.

— Rano wstałem.. i pojechałem na ryby z panem Hastingsem. Łowiliśmy długo, aż do południa. Pan Hastings złowił ładną rybkę. Potem wróciliśmy. Razem z nim opracowałem ją, to znaczy głowę, bo chce ją zabrać...

— A jak łowiliście? — zapytał Parker. — Na haki?

Alex spojrział na niego ze zdumieniem i nagle zagryzł wargi.

— Nie. On nie łowi tak jak ja albo pan Drummond... Oni tam, w Ameryce, lubią łowić harpunami na sprężone powietrze, jak z pistoletu... Strzelił i trafił ją, kiedy była blisko pod powierzchnią.

A potem ciągnęła nas, bo przy tym harpunie jest uwiązana linka, która się rozwija, kiedy trafiona ryba ucieka. Ciągnęła nas tam i z powrotem po morzu, ale w końcu osłabła. A wtedy pan Hastings wychylił się z łodzi i uderzył ją zwyczajnym harpunem.

Przebił ją na wylot... W samo serce dostała... To było piękne uderzenie...

— Tak... — Parker zrobił jakiś znaczek w swoim notesie. — Po powrocie i oprawieniu głowy, co było?

— Zdrzemnąłem się trochę. Potem poszedłem do ogrodu. Z Malisborough dwa razy w tygodniu przychodzi mi do pomocy młody chłopiec. Obcina uschnięte gałęzie na drzewach i pomaga mi przystrzygać żywopłot. Dużo roboty jest latem, bo ciągle wszystko odrasta. Potem pracowałem przy różach, potem poszedłem obejrzeć jedną szczepionkę obok bramy. Było tam tych dwóch z namiotu: Obchodzili park z daleka,

polami. Widziałem ich. Włóczyli się ciągle. Ale pan powiedział, że to pana ludzie, więc nie zwracałem na nich uwagi. No i później przyszedłem do kuchni na kolację, a po kolacji byłem u psów. Są zamykane na dzień w małym ogrodzeniu za moim domkiem. Nakarmiłem je i wróciłem do siebie, do tej rybiej głowy. Pomajstrowałem przy niej trochę, bo na dziś rano miała być gotowa. W końcu zabrałem psy i poszedłem do parku. Tam spotkałem pana Alexa. Porozmawialiśmy chwilę i pan Alex odszedł. Później, przed samą jedenastą, wyszedł do mnie pan Drummond.

— Co? — powiedział Parker. —
Przed jedenastą?

— No, była wtedy za piętnaście
jedenasta... bo kiedy mówiłem z nim,
zegar na wieży
w Malisborough uderzy trzy razy.
Zawsze słucham tych uderzeń w nocy. W
taką księżycową pogodę dzwonienie
słychać, jakby to nie był dwie mile, ale
pół mili.

— Czy pan Drummond pytał o coś?

— Tak. Pytał o pogodę na jutro.
Wydawało mu się, że po takiej ciepłej
nocy może przyjść burza. I o to, jakie
haki zabrać? Pojedyncze czy potrójne?
Powiedziałem, że może te nowoczesne
potrójne mają swoje zalety, ale ja tych

zalet nie widzę. Wtedy roześmiał się i powiedział, że weźmie pojedyncze. I wszedł do środka.

— A dalej co?

— Nic... A może jeszcze tylko tyle, że... Ale to nieważne, bo jeżeli pana Alexa uderzył ten zbrodniarz o pierwszej, to pewnie go nie mogło być tam wtedy...

— Co? — zapytał Parker. — Niech pan mówi, dziadku Malachi. Wszystko może się przydać.

Na razie nie wiemy jeszcze co.

— Więc o jedenastej, no, może za parę minut jedenasta szedłem z psami wokół klombu. Nagle poderwały się i zaczęły warczeć cicho. Potem poszły do

drzwi i zaczęły węszyć. Zajrzałem przez szybę, ale w sieni było ciemno i nic nie zobaczyłem. Zaraz potem zegar w Malisborough wybił jedenastą.

— Więc to mogła być za dwie albo trzy minuty jedenasta?

— Tak.

— Ale nie za pięć?

— Nie. Chyba nie. Zaraz potem zegar zaczął bić. Potem poszedłem z psami wokół domu, zajrzałem tu i tam. Wyjrzałem na schodki do przystani i zawróciłem. Było widno, a noc spokojna. Zdrzemnąłem się potem trochę...

— A... — Parker zawiesił głos — jak pan myśli, dziadku, kto zabił pana

Iana Drummonda?

Malachi podniósł na niego swoje spokojne, szare oczy, zaczerwienione teraz trochę.

— Co myślę? Myślę. Ale nie mogę panu tego powiedzieć, bo pan jest z policji. A kiedy mówi się do policji, trzeba wiedzieć. Albo widzieć, albo słyszeć. Inaczej można skrzywdzić niewinnego.

— Niech pan się nie boi, Malachi. Nie skrzywdzimy go. Chcemy tylko dojść prawdy. Może pan nam w tym pomóc.

Stary człowiek przyglądał mu się przez dłuższą chwilę.

— To nie była żona dla niego —

powiedział wreszcie. — Nie wiem, kto go zabił. Ale pewnie, gdyby ożenił się z jakąś przyzwoitą panną, a nie z taką komediantką, żyłby jeszcze do tej pory i pojechalibyśmy dziś na ryby. Opuścił głowę i otarł oczy rękawem.

— Niech pan już idzie, dziadku — powiedział Parker i ujął go pod ramię. — Zdaje mi się, że bardzo nam pan pomógł. Dziękujemy.

Malachi machnął ręką i ocierając łzy ruszył ku drzwiom, odprowadzany przez Parkera. Alex odsunął zasłonę okna. Był już świt. Łódź daremnie będzie czekała na przystani, Ian Drummond nie wyjedzie na połów. Jakaś ryba, spoglądająca w tej chwili w coraz

jaśniejszą powierzchnię wody, nigdy nie dowie się, że zawdzięcza życie komuś, kto zabił Iana Drummonda, łowcę, który jej nie złowi. Wzdrygnął się. Parker wrócił do pokoju i stał przed nim.

— Jak to było z tymi trzema ciosami? — zapytał.

Alex powtórzył mu treść fragmentu Orestei, wypowiedzianego podczas wczorajszej kolacji.

— Tak... — inspektor zamyślił się. — Ale tymczasem porozmawiamy może z panią Lucy Sparrow, której łańcuszek, a zdaje się i lancet są w tym pokoju. Ale czy przesłuchiwać ją tutaj?

— To lekarz — powiedział Alex. — Jest przyzwyczajona do widoku krwi.

— Może masz słuszość. — Parker skinął głową. Zakrył rogiem chustki wisiołek i wsunął pod nią lancet. Rękojeść jest sfotografowana. Możemy zrobić mały eksperyment. Jones!

— Tak, szefie?

— Idź na górę i poproś tu panią Lucy Sparrow, jeżeli może tu zejść.

— Tak, szefie!

— I... Już nic. Jak poszukiwania w domu?

— Stephens i Simms badają wszystko po kolei, od strychu do piwnic. Nie wiemy, czy wolno przeszukiwać pokoje gości i gospodarzy. Na razie nie było o tym mowy.

— Wstrzymajcie się z tym. Idź po panią Sparrow. Jones zniknął, zamykając drzwi za sobą.

— Czy zauważyłeś — powiedział Parker — że kiedy drzwi są zamknięte, nie dobiega tu z domu najmniejszy dźwięk?

— Tak. Ian mówił mi nawet, że do tego pokoju nie puka się. Był bardzo uczulony na hałas. Powiedział, że tu nic mu nie przeszkadza i nic go nie rozprasza.

— Tak. Pewnie dlatego wszystkie drzwi w domu są tak dobrze naoliwione. Straszny pokój. Można tu nawet krzyczeć, nikt nie usłyszy. Korek. Gęste białe zasłony. — Rozglądał się. —

Może Ian krzyknął wtedy? Psy mają lepszy słuch niż Judzie. W tej chwili wiemy już, że zabito go pomiędzy 10.45 a 11.15. Więc godzina 10.57, jak chce Malachi, wypada mniej więcej pośrodku tego okresu i jest najbardziej prawdopodobna.

— Jest tu pani Sparrow, szefie — powiedział Jones.

— Poproś i zamknij za nią drzwi.

— Tak, szefie.

Na widok wchodzącej unieśli się obaj z miejsc. Lucja Sparrow ubrana była w ciemnoszarą sukienkę i szare pantofle o białej podeszwie, na wąskich, wysokich obcasach, o białej podeszwie.

— Moje nazwisko brzmi Parker i jestem inspektorem Scotland Yardu — powiedział Ben. — Wie pani oczywiście o tragicznym wypadku, jaki miał miejsce przed paru godzinami w tym domu?

— Tak — głos Lucji był wyraźny i spokojny. — Pana podwładny powiedział nam... mojemu mężowi i mnie, że Ian... pan Drummond, został zabity. Prosił nas o pozostanie w pokojach.

To wszystko, co wiem.

— Tak — Parker patrzył jej prosto w oczy. — Wobec tego nie wie pani także, jak zginął Ian Drummond?

— Nie.

— Rozumiem. — Znowu pauza.

Alex siedział patrząc na Lucy i nagle zaczerpnął głośno powietrza. Ależ tak! Dlaczego o tym wcześniej nie pomyślał? Wówczas, kiedy stał w mroku, patrząc na nieruchomą, zaledwie widoczną przy stole postać, usłyszał za sobą oddech. To nie był oddech Lucy ani Sary Drummond, ani jej pokojówki, Kate Sanders. To był oddech mężczyzny! Nie wiedział, po czym to poznał, ale wiedział na pewno, że tak było! Oddech mężczyzny.

— Wczoraj po południu — powiedział Parker — grając w tenisa doznała pani kontuzji, prawda? — patrzył na jej prawą rękę. Lucy

mimowolnie uniosła ją i poruszyła kilkakrotnie przegubem, a potem palcami. — Czy przestała się już pani o nią troszczyć?

— Nie. — W głosie jej było lekkie zdumienie. — Troszczyć się o nią nadal. Przed kolacją umiejscowiłam rękę na prowizorycznym temblaku. Ale później, po paru masażach, doszłam do wniosku, że mięsień nie jest naderwany, i postanowiłam ruszać nią jak najwięcej. Mam jutro operację. Jestem chirurgiem.

— Wiem — Parker skłonił głowę. — Nie trzeba być inspektorem policji, żeby znać pani nazwisko.

Przyjęła ten komplement bez

odpowiedzi.

— Kiedy doszła pani do wniosku, że ta ręka wymaga ruchu?

— Nie rozumiem? — Opanowała się. — To znaczy, będę panu oczywiście odpowiadała na wszystkie pytania, skoro reprezentuje pan prawo.

— Dziękuję pani.

— O co pan pytał? O to, kiedy doszłam do wniosku, że powinnam nią poruszać? Dziś, kiedy zbudził mnie pana podwładny.

Parker uniósł brwi.

— Przepraszam — powiedział — ale wydawałoby się, że w takiej chwili, obudzona przed świtem taką

wiadomością, powinna pani myśleć o wszystkim, ale nie o tym? Jak mam to sobie wytłumaczyć?

— Czyżbym była podejrzana o zabójstwo Iana Drummonda? — zapytała Lucja spokojnie. — Jeżeli tak, proszę pozwolić mi się porozumieć z moim radcą prawnym. Zdaje się, że przysługuje mi to prawo.

— Oczywiście, że tak. Gdyby była pani podejrzana o to zabójstwo, mogłaby pani odmówić składania jakichkolwiek zeznań przed porozumieniem się z nim. Ale zdaje się, że to tylko pani wyraziła takie przypuszczenie. Ja tego nie

powiedziałem.

— Dobrze — wzruszyła lekko ramionami — więc muszę panu powiedzieć, że nie dziwię się pańskiemu ostatniemu pytaniu. Niestety, moje ręce nie są tylko moją własnością. Tak się składa,

że jutro od ich sprawności będzie dosłownie zależało życie jednego człowieka i szczęście jego rodziny. Gdybym przystąpiła do operacji niepewna funkcjonowania moich rąk, mogłabym zamordować człowieka, z tą straszną różnicą, że Scotland Yard nigdy nie mógłby nawet przystąpić do śledztwa i byłabym bezkarna w oczach wszystkich ludzi. Nawet rodzina tej

biedaczki składałaby mi podziękowanie za moją bezinteresowną, choć nieudaną pracę. Wystarczyłoby, abym rozłożyła ręce i powiedziała: — „Zrobiliśmy wszystko, co w ludzkiej mocy”, czy coś w tym sensie. Dlatego obudzona dzisiaj tą okropną wiadomością o losie Iana Drummonda, którego uważałam za swojego serdecznego przyjaciela i którego śmierć jest dla mnie wielkim ciosem —

nie histeryzuję i nie płaczę. Pracuję oko w oko ze śmiercią, ciągle widzę ginących uczciwych, dobrych ludzi, których nie możemy uratować. Walczę z nią. Nie wolno mi się nigdy poddawać, jutro rano będę operowała. Jest to jedna

z najtrudniejszych operacji w moim życiu. A przecież nie zajmuję się, jak pan wie, operowaniem wyrostków robaczkowych. Dlatego pomyślałam, mimo wszystko, o mojej ręce. I myślę o niej nadal. Zdaje się, że odpowiedź moja była nawet dłuższa, niż pan oczekiwał. Ale nie chciałam... — tu głos jej zadrżał lekko — nie chciałam, żeby ktoś, nawet obcy, mógł pomyśleć, że śmierć Iana mnie nie obeszła.

I nagle w jej oczach ukazały się dwie łzy. Otarła je maleńką chusteczką i wyprostowała się. — Przepraszam.

— To ja panią przepraszam — Parker znowu patrzył jej w oczy. —

Niestety, muszę pani zadać jeszcze kilka pytań. — Urwał. — Powróćmy do wczorajszej gry w tenisa — podjął. — Kiedy poczuła pani ból w ręce, poprosiła pani pana Filipa Davisa o przyniesienie walizeczki z przyborami medycznymi, prawda?

— Tak.

— Przyniósł ją?

— Tak.

— A co się później z nią stało?

— Później? Nie wiem. Nie zwróciłam na to uwagi. Chyba któryś z panów ją wziął, bo Sara szła na przedzie, ze mną.

— Tak — Alex kiwnął głową. — Walizkę niósł Ian, a potem oddał ją pani

Drummond przed drzwiami pani pokoju.

— Na pewno tak było — Lucja kiwnęła głową. — Nie rozumiem tylko ciągle, jaki...

— A czy pani widziała ją później, tę walizczkę?

— Tak. Dziś, zaraz po wstaniu, wsunęłam do niej zwinięty bandaż elastyczny, który miałam podczas snu na ręce. Nie mam tu innego i nie wiem, czy nie będzie mi jeszcze potrzebny.

— Gdzie stoi ta walizka?

— W naszej garderobie, na stoliku pod oknem.

— W naszej, to znaczy w garderobie pani i małżonka.

— Nie. Mam wspólna garderobę z

Sarą... z panią Drummond. Kiedyś była to garderoba matki Iana. To duży pokój, składający się z samych szaf i dwóch wielkich luster. Nie ma drzwi na korytarz i wchodzi się do niego przez dwie przylegające doń z obu stron łazienki. Jedna jest jej, a druga moja. Pani Drummond była tak uprzejma, że po moim przyjeździe tutaj ofiarowała mi połowę tej garderoby. W innych pokojach jest mało miejsca na rozmieszczenie damskich rzeczy. Mam dużo sukienek i bielizny...

— Tak... Wczoraj, kiedy pan Davis przyniósł tę walizeczkę, użyła pani noża chirurgicznego do przecięcia bandaża, prawda?

— Tak.

— Czy nie szkodzi to tak precyzyjnemu narzędziu?

— Nawet bardzo. Ale poprzednio wyjęłam nożyczki z walizki i zostawiłam je na toalecie. Byłam zdenerwowana i kazałam prędko przeciąć. Ostatecznie, nóż mi się tu na nic nie przyda. Mam kilka identycznych.

— Gdzie on jest w tej chwili?

— Oczywiście w walizce. Gdzież by mógł być?

Parker sięgnął po chustkę i wyciągnął błyszczące narzędzie.

— Czy był on podobny do tego noża?

— Do tego? — Lucy wzięła nóż do

ręki i obejrzała go. — Tak. Ale tamten jest o numer większy.

— Czy jest pani tego pewna?

— Zupełnie.

Uśmiechnęła się leciuteńko, tak jak tylko ekspert potrafi uśmiechnąć się z laickiego pytania, ale zaraz potem spoważniała.

— Ten nóż jest wymyty... — powiedziała — ale... — I nagle położyła go na stole. — Jest brudny. Jest na nim ślad krwi!

— Gdzie? — zapytał Parker.

— Tu! Przy rękojeści!

— Więc ten nóż różni się od noża, który posiada pani w walizeczce na górze?

— Od tamtego... tak. Ale mam tam drugi, identycznie taki sam jak ten... — Jeszcze raz wzięła nóż do ręki i obejrzała go od strony trzonka. — To mój nóż! — powiedziała. — Tak! Mój! Skąd się tu wziął?

— Po czym pani to poznała?

— Ma dwie wąskie szczerbinki na końcu trzonka, prawie niewidoczne. Znaczą tak swoje noże, żeby mi ich potem nie zamieniano. Mam swoje narzędzia, do których jestem przyzwyczajona...

A na sali, gdzie operuje kilku lekarzy kolejno, mogą się one pomieszać przy dezynfekowaniu.

Tu, widzi pan? — Zbliżyła swoją piękną

jasną głowę do twarzy Parkera. — O, niech pan dotknie. To na pewno mój nóż.

— Właśnie... — powiedział Parker. — I znajdował się wczoraj w pani walizce?

— Tak. Nie pamiętam, czy go widziałam tam. Ale gdy brak jest jakiegoś narzędzia, rzuca się to w oczy, nie mogłabym tego nie zauważyć.

— Więc czy może pani wytłumaczyć mi, kto i dlaczego zabił nim dziś w nocy Iana Drummonda?

Wbrew oczekiwaniu Alexa Lucy nie okazała zdumienia.

— Podejrzewałam to już od paru chwil. Nie. Nie umiem panu na to

odpowiedzieć! Iana?

To wydaje mi się zupełnie niemożliwe!

— Kto wchodził wczoraj do garderoby?

— Sara i ja oczywiście, a poza tym... poza tym... mógł ktoś wejść, kiedy jedliśmy kolację.

— A przedtem i później?

— Chyba nikt... Nie wiem.

— Czy mąż pani wchodził tam?

— Mój mąż?... Może... Zdaje się, że tak, prosiłam go o podanie mi ciepłego szlafroka zaraz po kolacji. Później już nikt tam nie wchodził.

— Kto jeszcze? Czy nie wychodziła pani z pokoju?

— Na chwilę. Pożyczyłam papier do pisania od pana... — wskazała na Alexa — a potem zajrzałam do Filipa Davisa. Prosił mnie o załatwienie pewnej sprawy osobistej. Byłam tam dwie, trzy minuty...

— A wtedy każdy mógł wejść do pani pokoju? Czy zostawiła pani drzwi uchylone?

— Tak. Ale mogłam przecież w każdej chwili wrócić i złapać obcego w garderobie. A poza tym Sara była u siebie, więc...

— Skąd pani wie, że pani Drummond była u siebie?

— Bo pożyczyłam od niej maszynę do pisania. Ona ma malutkiego

remingtona, na którym przepisuje sobie role, żeby je lepiej utrwalić w pamięci. Mówiła mi o tym kiedyś. Więc kiedy doszłam do wniosku, że lepiej nie forsować ręki, a musiałam napisać list, pomyślałam, że mogę go wystukać palcem lewej ręki. List nie był długi.

— O której pożyczyła pani tę maszynę?

— Mniej więcej za piętnaście jedenasta. Potem odniosłam ją do pokoju i weszłam do pana Alexa, bo Sara nie miała papieru. Zabrakło jej...

Parker spojrzał na Alexa, który potwierdził.

— Kiedy wszedłem, było pół do

jedenastej. Pamiętam dokładnie. Pisałem dwadzieścia minut.

O godzinie 10.50 pani zapukała. Spojrzałem na zegar.

— A czy mogłaby mi pani powiedzieć, w jakiej sprawie musiała pani tak nagle napisać ów list w nocy?

Lucja Sparrow zawahała się.

— Przykro mi, że nie mogę panu pomóc, ale to nie jest moja sprawa. Ktoś prosił mnie, żebym mu oddała pewną przysługę.

— Ktoś z tu obecnych?

— Proszę mi nie zadawać więcej pytań. Nie będę mogła panu odpowiedzieć. Mogę tylko zaręczyć, że

to nie ma nic wspólnego z tą okropną sprawą.

— Tego nigdy nie można przewidzieć — mruknął Parker. — Przeciwności przyciągają się... w śledztwie także.

Ale Lucja Sparrow nie słuchała go. Patrzyła na leżący przed nią nóż.

— Czy może mi pani powiedzieć, dlaczego właściwie zabiła pani Iana Drummonda? — zapytał spokojnie Parker.

Lucja drgnęła gwałtownie. Ale zaraz opanowała się.

— Jakim prawem...

Parker uniósł znowu rękę, a potem wsunął ją pod chustkę.

— Czy to pani własność?

Nie odpowiedziała. Patrzyła na rubinowy wisiołek i twarz jej stała się znowu kamienna.

„Jak grecka rzeźba... — pomyślał Alex — biała i nieruchoma, pełna ogromnej głębi. Jakby myślała o czymś, czego nikt z żyjących nie rozumie. Milczenie marmuru”.

— Czy to pani własność? — powtórzył Parker.

Skinęła lekko głową.

— Ten wisiołek znaleziono u nóg zmarłego. Początkowo nie zauważyliśmy go. Był pokryty krwią.

Lucja zamknęła oczy. Potem otworzyła je. Ręce miała mocno

zaciśnięte.

— Tak. To ja zabiłam Iana Drummonda — powiedziała spokojnie. — Proszę mnie aresztować. Przyznaję się do tej zbrodni.

Alex zerwał się, ale Parker powstrzymał go jednym ruchem ręki.

— A dlaczego pani zabiła Iana Drummonda, jednego z najlepszych ludzi, który z pewnością nie wyrządził pani żadnej krzywdy?

— Dlaczego? — milczała przez chwilę patrząc w okno, za którym był już dzień pełen drzew, ptaków i rozkwitających kwiatów. — Odmawiam odpowiedzi.

— Ma pani do tego prawo. Jako

przyjaciel Iana dziękuję pani za ten największy komplement, jaki człowiek może otrzymać po śmierci.

Alex spojrzał na niego ze zdumieniem. Inspektor spotkał jego spojrzenie i wtedy Joe dostrzegł w jego oczach coś, jakby błysk przekory, znany mu z dawnych wojennych lat.

— A jak znalazł się tu ten rubinowy wisiołek? Zgubiła go pani w czasie szamotania, tak?

— Co? — Widać było, że nie rozumie.

— Ten wisiołek znaleziono u stóp zmarłego. Jak się tam znalazł? Czy nie przypomina pani sobie?

— Ja... musiałam zaczepić o coś i

został tu...

— Tak. To by tłumaczyło ten fakt. A co robił Ian Drummond, kiedy pani go zabiła?

— Siedział... przy stole.

— Tak. Siedział i wtedy podeszła pani i wbiła weń nóż zaczepiając o coś wisiorkiem?

— Ja... Tak! Niech pan przestanie!

Nie zasłoniła rękami twarzy, nie zapłakała, nie pochyliła nawet głowy, ale Alex czuł, że ta kobieta za chwilę zemdleje. Zbladła.

— Dlaczego pani kłamie, Lucy Sparrow? — zapytał Parker ostro. — Kogo pani osłania?

— Ja? Nikogo. Zabiłam Iana Drummonda i przyznaję się do tego. Czego prawo może chcieć więcej od zbrodniarza?

— Od zbrodniarza — niczego więcej. Ale prawo chce prawdy. Nie jest moim pragnieniem, aby poniosła pani karę za kogoś innego, kogo pani osłania albo wydaje się pani, że go pani osłania, bo sądzi pani, że to on zabił. W dodatku chce pani osłaniać kogoś, kto z premedytacją obciążył panią dowodami winy.

— Ale dlaczego? — powiedziała Lucja. — Nie rozumiem... — Głos jej stracił ów spokojny, rzeczowy ton, którym dotychczas mówiła.

— Dlatego, że nie mogła pani zgubić tu tego wisiorka. Morderca popełnił błąd. Spójrzcie na ten łańcuszek! Co widzicie? Ty, Joe, autorze kryminalnych powieści, które czyta cała Anglia, co widzisz?

— Widzę... Nie wiem! — Joe pochylił się nad wisiorkiem. — Nie. Nie widzę nic nadzwyczajnego.

— A pani?

— Powiedziałam już, że zgubiłam go tu... — Głos Lucji był cichy i niepewny. Ona także wpatrywała się w leżący na stoliku łańcuszek, jak gdyby chcąc przeniknąć jego tak jawną, a niezrozumiałą tajemnicę.

— On jest zamknięty — powiedział Parker. — Morderca zapomniał go rozerwać.

Czy rozumiecie? Nie musi go pani wkładać na szyję, żeby od razu było widać, że jest za wąski na to, aby przeszedł przez głowę. A nawet gdyby nie był za wąski, to przy pani gęstych włosach nie wiem, czy spadłby z szyi, gdyby nawet pani stanęła na rękach? Chyba nie. Zdaje się, że w ogóle nie przechodzi przez brodę, jeśli się chce go unieść. Jak mógł więc ten łańcuszek znaleźć się tu inaczej, niż przyniesiony przez kogoś, kto rzucił go obok ciała zabitego Iana Drummonda?

Dopiero teraz Lucja pochyliła głowę.

Parker ciągnął bezlitośnie:

— Niech pani skończy z tymi nonsensami! Kiedy odmówiła pani odpowiedzi na pytanie, dlaczego pani zabiła Iana, powiedziałem, że to wielki pośmiertny komplement dla niego. Pani nie umie nawet wymyślić powodu, bo Ian nie był człowiekiem, którego było za co nienawidzić. Tylko morderca wie, jaką z tego odniesie korzyść. Dlaczego kryje pani ludzi, którzy chcieli na panią zwalić tę okropną zbrodnię, jakby licząc się z tym, że pani ten krzyż poniesie prawie bez wahania? Słucham?

Ale Lucja Sparrow nie

odpowiedziała. Ukryła twarz w dłoniach, a potem zachwiała się lekko na krześle. Alex zerwał się i podtrzymał ją.

— Zaraz mi przejdzie — powiedziała cicho. — Proszę mnie teraz zwolnić. Nic więcej i tak nie powiem.

Parker patrzył na nią przez chwilę nieomal z gniewem, ale potem pochylił głowę.

— Dziękuję pani — powiedział łagodnie. — Być może, bardzo nam pani pomogła, chociaż na pewno nie chciała pani tego zrobić.

Jones wsunął głowę przez drzwi i dał znak, że chce mówić z Parkerem, który zbliżył się do niego. Zamienili

kilka słów szeptem. Parker zawahał się, a potem podszedł jeszcze raz do Lucji Sparrow.

— Proszę mi wybaczyć — powiedział prawie troskliwie — ale muszę panią prosić o jeszcze jedną małą uprzejmość. Zniesiono tu małą walizeczkę, o której była mowa. Czy mogłaby pani obejrzeć jej zawartość i powiedzieć nam, czy niczego więcej nie brakuje?

— Dobrze — Lucja przymknęła oczy i otworzyła je jak człowiek, który chce się wyzwolić z ogarniającego go snu. — Jeżeli to konieczne.

Jones wniósł małą czarną

walizeczkę, którą Alex widział już poprzedniego popołudnia na korcie tenisowym.

Parker otworzył ją. Lucja pochyliła się i zajrzała. Potem wyciągnęła rękę. Sprawdziła zawartość butelek, wyjmując i wkładając je kolejno na miejsce. Pusty uchwyt wyraźnie świadczył o miejscu, z którego zabrano nóż.

— Nie. Nic nie brakuje — powiedziała i sięgnęła jeszcze do płaskiej kieszeni na wewnętrznej stronie wieka walizki. Kieszonka zamykała się na guzik. Lucja odpięła go i wsunęła do niej rękę. — Nie ma moich gumowych rękawiczek! — powiedziała ze

zdumieniem.

— A czy jest pani pewna, że były tam wczoraj?

— Nie... nie używałam ich przecież tutaj... Były tam, bo stanowią część ekwipunku. Na wsi nigdy nie wiadomo, co się może przytrafić, Ian i Harold robią... robili doświadczenia chemiczne... Zawsze obawiałam się, że coś się może stać... — Zawahała się. — Widziałam je przed czterema czy pięcioma dniami — powiedziała zdecydowanie. — Wyjęłam je i przesypałam talkiem.

Był upał i przyszło mi do głowy, że guma może się zeschnąć. Tak. Teraz pamiętam. Sama

je włożyłam z powrotem na miejsce.

— Jestem o tym przekonany — mruknął Parker. — Pytałem o to dlatego, żeby powiedzieć pani w końcu, że morderca wyjął je pani z walizki, a potem jedną podrzucił na dno szafy w garderobie, a drugą wepchnął głęboko pod inną szafę. Ta druga jest zakrwawiona. Jones!

Wszedł Jones niosąc na czystym kawałku papieru gumową rękawiczkę. Pokryta była ona małymi śladami zaschniętej krwi.

Lucja Sparrow dopiero w tej chwili zemdląła.

— Szefie — powiedział spokojnie pyzaty sierżant Jones, o twarzy

rumianego dziecka — zaraz będą wyniki daktyloskopii.

— Dobrze, przynieś wody!

Jones zniknął. Ale zanim wrócił, Lucja odzyskała przytomność.

— Rozumiem, że to dla panów konieczne — powiedziała cicho, unosząc głowę. — Ale ja już nie mogę tego znieść. — Wyprostowała się w krześle.

— A czy nie prościej byłoby powiedzieć prawdę?

— Jaką prawdę? — uniosła ku niemu oczy z wyrazem, jaki myśliwi spotykają czasem u zagnanego, konającego, zwierzęcia. — ja naprawdę nie wiem, kto zabił...

— Ale domyśla się pani. Inaczej nie broniłaby pani mordercy. Czy pani nie rozumie, że pani nam już powiedziała, kogo pani osłania?

— Ja?... ja... Niech pan przestanie...

— Opanowała się z najwyższym wysiłkiem. — Nie usłyszysz pan już ode mnie ani słowa, panie inspektorze. Bez względu na to, co pan o tym myśli. Proszę mnie zaaresztować albo pozwolić mi odejść. Nie mam nic więcej do powiedzenia.

— Dobrze, proszę pani. — Parker podniósł się. — Dziwię się tylko, że bierze mi pani za złe moje wysiłki. Przecież szukam zbrodniarza i mogę chyba prosić każdego uczciwego

człowieka
o pomoc?

Ale Lucja Sparrow zacisnęła usta i nie obdarzyła go już nawet spojrzeniem wychodząc. Skinęła tylko lekko głową Alexowi.

Kiedy drzwi zamknęły się za nią, Parker usiadł ciężko.

— Pomyśl — powiedział cicho — zginął nasz Ian. Ktoś zamordował go. Wydawałoby się, że taka kobieta jak Lucja Sparrow, mądra, chłodna, opanowana, pomoże nam, gdy w dodatku morderca chciał na nią zwalić winę: zabił jej nożem, trzymając ten nóż w jej rękawiczce i podrzucił tu jej łańcuszek, który wszyscy

znają. Tymczasem wyszła stąd jak wróg.
— Urwał. — Wiem, kogo ona osłania.

— Sparrowa, oczywiście —
mruknął Alex. — Ale dlaczego ona
przypuszcza, że to on? Kiedy
tu weszła, nie wiedziała jeszcze.

— A, ba! — Parker wstał. — Kiedy
dowiemy się tego, będziemy wiedzieli
wszystko. Albo: prawie wszystko.

Podszedł do drzwi.

— Jones!

— Tak, szefie.

— Co z tymi wynikami?

— Za chwilę będą.

— A z butem?

— Ani u pani Sparrow, ani u pana
Sparrowa nic takiego nie odkryto. W

ogóle nic, poza tym,
co przekazałem.

— Dobrze. Czy on czeka w salonie?

— Tak. Stephens pilnuje drzwi, ale tak, jak pan chciał, szefie, nie zatrzyma go, tylko poprosi, żeby zawrócił, bo pan zaraz nadejdzie. Na razie siedzi cierpliwie...

— Dobrze, dawaj tu daktyloskopa, kiedy tylko skończy.

— Tak szefie.

Parker wrócił do pokoju.

— Kazałem zaprowadzić Sparrowa do pokoju, gdzie czeka na mnie. Nie chciałem, żeby się spotkali teraz. Poza tym mogliśmy spokojnie przejrzeć ich pokoje i tę garderobę. Pani Drummond

oczywiście nie stawia żadnych sprzeciwów.

— A w jakiej jest formie? — zapytał Alex.

— Sara Drummond? Była bardzo blada, kiedy wszedłem do niej po przyjeździe, ale trzyma się. Ta kobieta mogła go zabić, wiesz?

— Wiem. Ale nie wierzę w to.

— A kogo podejrzewasz?

— Trudno mi powiedzieć... gdyby nie pewien fakt...

— Właśnie. Nie wolno nam nie wierzyć w winę kogokolwiek z nich, dopóki nie udowodnimy mu jego niewinności. Nie wiem, ale zdaje się, że niejedno nas tu jeszcze

czeka... Biedny, biedny Ian... Gdyby wiedział...

— Na szczęście nie wiedział — powiedział Alex zniżając mimo woli głos. — Zginął uważając ją za najlepszą z żon.

— Niekoniecznie. Jeżeli stała za nim i wbiła mu nóż w plecy, musiał mieć przebłysk świadomości... To zdumienie zastygłe w jego rysach... jego oczy...

— Słuchaj! — powiedział Alex. — Kiedy przesłuchiwałeś Lucję Sparrow, przypominałem coś sobie. Iana nie zabiła kobieta. Głowę bym za to dał. Ten człowiek, który odetchnął za mną w ciemności, to był mężczyzna.

— Ten, który cię uderzył?

— Tak. To był oddech mężczyzny, rozumiesz?

— Tak... — Parker rozłożył ręce. — Zaczekajmy, dowiemy się. Kazałem zrobić dokładne powiększenia odcisków na klamce zewnętrznej i wewnętrznej drzwi. I na kontakcie elektrycznym. Przecież ten człowiek zgasił światło słysząc, że schodzisz, i zaczął się na ciebie z tym przyciskiem, który porwał ze stołu. To jest jasne. Potem uciekając pozostawił przycisk na parapecie okna w korytarzu.

— To eliminowałoby pokojówkę i Malachiego — powiedział Alex. — Żadne z nich nie pobiegłoby na górę.

— Tak. Wówczas pozostanie nam sześć osób, z których ty i Lucja Sparrow nie macie żadnego rozsądnego motywu zabójstwa. Pozostałyby więc cztery.

— Davis, Sara, Hastings i Sparrow... — wyliczył Alex.

— Szefie! — Jones wszedł do pokoju — są odciski palców!

— Doskonale!

Do pokoju wsunął się wysoki, chudy człowiek o siwej, krótko ostrzyżonej czuprynie. Pod pachą niósł papierową teczkę. Kiwnął głową Alexowi i nie czekając na zaproszenie, usiadł przy stoliku.

— Tu mam odciski ośmiu wskazanych osób i zabitego — zaczął

mówić trochę monotonnym głosem — a tu odciski zebrane na klamkach, kontakcie elektrycznym, przycisku do bibuły i nożu lekarskim.. Odciski na kontakcie...

— Boże! — zawołał Parker — czyje odciski są na nożu?!

— Zaraz. Odciski na nożu należą do jednej tylko osoby, której linie papilarne są identyczne z liniami osoby obecnej w spisie próbek odcisków wziętych od obecnych w domu osób... z panią... nie... zaraz... O, jest! Z panem Sparrow.

XI. „Czy dotykał pan

klamki?”

Tak... — Parker przymknął na chwilę oczy. — To pięknie pasowałoby do obrazu tego domu, w którym nasz dobry, niczego nie podejrzewający Ian... — Urwał. — Jakie są pozostałe odciski?

— Na klamce zewnętrznej drzwi, to znaczy tej, która wychodzi na sień, są odciski palców osób zapisanych u mnie pod nazwiskami Sara Drummond i Filip Davis. Są to odciski trochę zamazane i nakładające się na siebie, ale po jednym palcu każdej z tych osób odbiło się wyraźnie.

— Co? — powiedział Parker. — A

pod spodem, oczywiście, są ślady innych palców, wcześniejsze?

— Nie — daktyloskop potrząsnął głowa i wyjął dwa wielkie zdjęcia. — Widzi pan, o tu są znaki jej, a tu jego... Po drugiej stronie są tylko jej ślady. Wygląda na to, że klamka była przedtem czyszczona. Istnieje, oczywiście, możliwość, że był tam ślad ręki jeszcze jednej, na przykład, osoby, ale został starty późniejszymi dotknięciami. Ale to nie jest bardzo prawdopodobne. Gdzieś przecież wystawałby chociaż kawałek innego śladu. Na czystym metalu ślady odbijają się znakomicie. Ciało ludzkie jest ciepłe, wilgotne...

— Tak. Wiem. — Parker spojrział na

Alexa. Wyczytali nawzajem w swoich oczach niezrozumienie i bezradność. — A na lancecie są ślady Harolda Sparrow?

— Tak, kciuka i wskazującego palca, jeżeli pan Sparrow ma na imię Harold. Notowałem tylko nazwiska.

Parker machnął ręką ze zniecierpliwieniem.

— A ty nie dotykałeś klamki? — zapytał Alexa.

— Nie... Nie wiem, ale zdaje się, że nie. Drzwi były uchylone. Pchnąłem je lekko. A później były otwarte nawet szerzej. Widocznie on... ten człowiek...

— Tak. Rozumiem. Pozostawiłeś wszystko nie tknięte do naszego

przyjazdu?

— Jakie jeszcze linie? — zapytał Parker.

— Na kontakcie małej lampy na biurku (na szczęście kontakt jest dość duży) odbiły się wyraźnie dwa palce, te same co na kłamce.

— Filipa Davisa?

— Tak.

— A na marmurowym przycisku?

— Nic. Został dokładnie wytarty przez kogoś, kto miał go w ręce.

— Na razie dziękuję. Niech mi pan zostawi fotografie.

— Są zaopatrzone w podpisy na maszynie. Do widzenia. Odjeżdżamy do Londynu, tak?

— Tak. Gdyby pojawiło się coś nowego, wyślę samochód. Do widzenia.

Chudy człowiek wyszedł, mrugnawszy w kierunku Parkera i przyłożywszy jeden palec do głowy w formie oszczędnego salutu. Po chwili usłyszeli przez otwarte drzwi sieni odgłos zapuszczanego silnika samochodowego.

— On także nigdy się nie myli... — mruknął Parker. — To jeden z najlepszych ekspertów na kuli ziemskiej. Co myślisz o tym?

Po raz pierwszy Joe nie wykazał bezradności.

— Zaczynam się zastanawiać — mruknął. — Zaczynam powoli rozumieć

pewną okoliczność, ale... Nie chcę jeszcze nic mówić. Na pewno będziesz chciał przesłuchać teraz Sparrowa. Na razie wszystko sprawia wrażenie, jakby to on zabił Iana... To jest możliwe... Zresztą te ślady...

Pochylił się nad fotografią, przedstawiającą w wielkim powiększeniu rękojeść noża chirurgicznego. Były na niej widoczne dwa odciski palców. Druga, mniejsza fotografia ukazywała dalszy ciąg odcisku wskazującego palca na zaokrągleniu noża, którego nie uchwyciło pierwsze zdjęcie. Joe sięgnął po zakryty chustką nóż i wziął go w palce.

— Co robisz? — zapytał Parker.

— Nic, przyglądam się temu zdjęciu... Widzisz?

— Co? — Parker także spojrzał. — Ach, to — powiedział. — Tak. Od razu to zobaczyłem.

Ale myślę, że pan Sparrow musi nam o tym opowiedzieć. Jones!

— Tak, szefie?

— Poproś tu pana Sparrowa, który czeka w salonie.

— Tak, szefie!

— Czy chcesz, żebym tu pozostał?

— zapytał Alex.

— Tak. — Parker spojrzał mu w oczy. — Cała ta historia zaczyna się komplikować, Joe.

To nie jest prosta sprawa. Czułem to, zanim jeszcze przesłuchałem tych ludzi, których mam przesłuchać. Zaczynam rozumieć, że stało się tu coś, co wymyka się nam z rąk. Przekonasz się, że w jakiś piekielny sposób każdy fakt będzie się obracał na osi i ukazywał nam zupełnie inną twarz. Zostań przy mnie, Joe. Boję się. Boję się omyłki, może po raz pierwszy od czasu, kiedy pracuję. To nie jest zwykła sprawa. To nasza sprawa, Joe.

Alex w milczeniu pochylił głowę.

— Pan Sparrow! — powiedział Jones i zamknął drzwi za wchodzącym uczonym.

Harold Sparrow wyglądał okropnie,

jak gdyby ta jedna noc dodała mu dziesięć lat. Oczy jego patrzyły spoza okularów z wyrazem nie ukrywanej, bezgranicznej rozpacz. Szerokie plecy były pochylone. Alex zauważył, że nawet chód stał się powolniejszy. Sparrow ubrany był w ciemne wieczorowe ubranie, to samo, które miał na sobie wczoraj. Widocznie ubierając się włożył je, nie pomyślawszy nawet o tym, że jest ranek. Koszula także była ta sama, biała i nie idealnie świeża. Krawat obsunął się odsłaniając duży perłowy guzik przy szyi.

— Niech pan siada, panie profesorze. — Parker wstał i podał mu

krzesło. Sparrow usiadł ciężko. Spojrzał na Alexa i przez twarz jego przebiegł wyraz lekkiego zdumienia, ale prędko zniknął,

jak gdyby nakryły go inne, ważniejsze myśli.

— Pan Alex jest moim współpracownikiem — powiedział Ben bez zająknięcia — a ja jestem inspektorem Scotland Yardu i mam obowiązek prowadzenia śledztwa w tej sprawie. Zresztą widzieliśmy się już raz.

— Nie przypominam sobie... — Sparrow spojrział na niego bez zbytniego zainteresowania.

— W domku ogrodnika, kiedy pokazywałem panu ów list. Była tam

mowa o niebezpieczeństwie. Niestety, nie umieliśmy mu zapobiec...

— Ach, tak... Wyglądał pan zupełnie inaczej.

Zapadło milczenie.

— Czy pan sądzi, że Ian Drummond mógł zginąć w związku z tym listem?

— Czy ja?... Nie wiem... — Sparrow rozłożył ręce. — nie umiem panu powiedzieć... Nie wiem nic, zupełnie nic... Nie domyślam się nawet.

— Tak... — Parker nie patrzył na niego. — W związku z tym, że morderca nie jest jeszcze znany, musimy ze względów formalnych wiedzieć, co wieczorem i podczas nocy robiły wszystkie osoby znajdujące się w tym

domu. Może powie nam pan, panie profesorze, wszystko, co pan robił począwszy od ukończenia kolacji.

— Ja?... Po kolacji, zaraz... tak, po kolacji odprowadziłem żonę do jej pokoju i wymasowałem jej rękę... potem... poszedłem na przechadzkę po parku i wróciłem...

— Która była wtedy godzina?

— Dziesiąta, może trochę po dziesiątej. Później poszedłem na górę, do mojego pokoju, nie, do pokoju żony, i znowu wymasowałem jej rękę. Miała wypadek przy grze w tenisa...

— Wiem. — Parker skinął głową.
— Małżonka pana mówiła o tym.

— Tak... Mówiła panu... — Widać było, że się zastanawia. — Potem przyszedł do mnie profesor Hastings i rozmawialiśmy, może pół godziny, może dłużej...

— O której przyszedł do pana profesor Hastings?

— O której? — Sparrow ożywił się. — O godzinie 10.40. Teraz pamiętam. Spotkaliśmy się przed domem i była wtedy 10.10. Powiedziałem, że proszę, aby wpadł do mnie za pół godziny.

— Słyszałem to... — powiedział Alex. — Stałem wtedy obok panów.

— Właśnie! — Sparrow spojrział na niego z wdzięcznością. — Proszę mi się nie dziwić,

ale ten straszny cios... nie mogę zebrać myśli...

— Tak. Rozumiem to dobrze... — Parker zmarszczył brwi i wpatrzył się w swój notes. —

Więc rozmawiał pan z profesorem Hastingsem od 10.40 do 11.10 albo 11.20?

— Tak... Do 11.20, bo kiedy po jego wyjściu wszedłem do pokoju żony, powiedziała: „Słuchaj, już dwadzieścia po jedenastej. Powinieneś się położyć...” Ona zawsze dba o to, żebym miał uregulowany tryb życia, to znaczy... — zająknął się.

— I co pan odpowiedział żonie?

— Ja? Co odpowiedziałem?... Zdaje

się, że zaczęliśmy rozmawiać i rozmawialiśmy przez pewien czas... około dwudziestu minut. Później poszedłem do siebie i rozebrałem się.

— A co robiła pana żona, kiedy pan wszedł?

— Pisała list na maszynie.

— Skąd pan wie, że to był list?

— Bo właśnie skończyła i adresowała kopertę.

— Bo kogo był adresowany ten list?

— Do jej radcy prawnego... rzuciłem okiem na kopertę i... Ale dlaczego pan mnie o to pyta?

— Chciałbym tylko sprawdzić, czy obecne wypadki nie zakłóciły w panu pamięci szczegółów, panie profesorze.

Wobec wielkich i tragicznych zjawisk wszystkie pozostałe nikną albo mieszają się z sobą...

Urwał. Przez chwilę siedzieli wszyscy nie poruszając się.

— Dlaczego pan kłamie? — zapytał Parker nagle.

— Co? Jak pan śmie? Jak pan...

Parker wstał, oparł ręce o krawędź stolika i pochylił się ku siedzącemu tak, że niemal dotykał twarzą jego twarzy.

— Zabito pańskiego przyjaciela i współpracownika. Popełniono ohydny mord na dobrym, nieposzlakowanym człowieku. Jestem tu, aby odnaleźć mordercę, a nie po to, żeby wysłuchiwać kłamstw ludzi, którzy powinni czcić

pamięć zamordowanego i pomagać sprawiedliwości w pomszczeniu go! To, co pan robi, panie profesorze, to nikczemność i wobec niego, i wobec żyjących! Co pan robił w tym pokoju w chwili zabójstwa Iana Drummonda? Czy to pan wbił mu ten nóż w plecy? A jeżeli nie pan, to dlaczego nie zaalarmował pan policji? Dlaczego wrócił pan, jak nędzny szczur, do pokoju i udał, że nic się nie stało? Kim pan jest: zbrodniarzem czy tylko współnikiem zbrodniarza? Proszę mówić!

Wyprostował się. Harold Sparrow siedział jak skamieniały. Wreszcie ukrył głowę w dłoniach

i Alex ze zdumieniem zobaczył, że ten silny, twardy mężczyzna płacze. Spojrzał na Parkera, ale inspektor stał nieporuszenie, a na jego twarzy nie było ani litości, ani współczucia. Czekał.

Nagle Sparrow opuścił ręce i uniósł głowę. Drżącą dłonią zdjął okulary i wyciągnąwszy chustkę, przetarł oczy, a potem szkła. Jego palce drżały wyraźnie.

— Ja... ja nic nie wiem... — powtórzył słabo. — Dlaczego pan?... Jakim prawem?

— Jakim prawem? Tym, które mi daje świadomość, że był pan tu i trzymał pan w ręce nóż, którym zabito Iana Drummonda.

Sparrow milczał przez chwilę. Potem uniósł głowę i spojrzał na Parkera.

— Ma pan słuszość... — Ręce drżały mu bardzo, tak bardzo, że przycisnął je do kolan. — Jestem... jestem nikczemny... To ja go zabiłem...

Parker westchnął i usiadł. Alex patrzył w rozedrgane rysy siedzącego przed nimi mężczyzny.

— Pan go zabił. Tak. Oczywiście. W pewien sposób może i pan. Nie wiem jeszcze. Nie umiem powiedzieć, Na razie chcę wiedzieć, co pan robił w tym pokoju i kiedy pan tu był?

— Po... po rozmowie z żoną zszedłem tu...

— Która była wtedy godzina?

— Po pół do dwunastej... dokładnie: za dwadzieścia dwunasta. Spojrzałem na zegarek schodząc.

— I co?

— Wszedłem i...

— Czy drzwi były zamknięte?

— Co? Tak.

— Na pewno?

— Na pewno. W sieni było ciemno. Tylko trochę światła księżycowego padało na podłogę i mały promyk ze schodów... Znam dobrze ten teren, ale pamiętam, że wyciągnąłem przed siebie rękę, żeby znaleźć klamkę. Mam szkła, widzi pan...

— Tak. A kiedy znalazł pan klamkę,

co pan zrobił?

— Otworzyłem drzwi.

— I zamknął je pan za sobą?

— Tak. Naturalnie. Ian siedział za stołem.. Podszedłem do niego i... — ukrył twarz w dłoniach.

Parker patrzył na niego ze zmarszczonymi brwiami.

— I zabił go pan, tak?

— Tak... — wyszeptał Sparrow i z wolna uniósł głowę. Opanował się.

— Co za szkoda — mruknął Parker — że nie mogę panu uwierzyć. Kiedy wszedł pan wówczas do tego pokoju, pański współpracownik nie żył już od pół godziny.

— Jak to? — Sparrow mimowolnie

poprawił szkła i pochylił się ku przodowi. — Jak to nie żył?

— Nie żył. Zginął przed godziną 11.15. Jeżeli chce pan teraz cofnąć zeznanie i powiedzieć, że nie rozmawiał pan z profesorem Hastingsem i ze swoją żoną od godziny 10.40, czyli od chwili, kiedy, jak wiemy, Ian żył jeszcze, aż do 11.40, to jest do chwili, kiedy, jak wiemy, nie żył już od pół godziny, wówczas chętnie posłucham pańskiego opisu zbrodni. Ale zdaje się, że to nie ma celu, bo oni oboje potwierdzą pańskie słowa. Myślę, że tu nie skłamał pan, bo nie jest pan dobrym kłamcą i nie przyszłoby panu do głowy mieszać w to inne osoby. Nie ma pan

żadnych szans zostania mordercą Iana Drummonda, chociaż jest pan już drugą osobą dzisiaj, która przyznaje się do tego czynu.

Na twarzy Sparrowa odbiła się ogromna, niekłamana ulga. Był jak człowiek, który gotował się do poświęcenia wszystkiego, co najdroższe, dla jakiegoś celu, i nagle poświęcenie to okazywało się niemożliwe. Ale zaraz na twarzy jego ukazał się wyraz lęku.

— Kto? — zapytał ledwo dosłyszalnie. — Kto przyznał się do zabicia Iana?

— Pana żona, Lucja Sparrow! — powiedział Parker. — A przyznała się,

bo była przekonana,
że to pan go zabił, panie profesorze! Ale
panu nie chodzi o nią! Nie ją pan
osłania, ale kogoś, kto, jak pan sądzi,
zabił Iana Drummonda jej lancetem,
podrzucił na miejsce zbrodni to... —
odkrył chustkę i ukazał mu rubinowy
wisiołek — a potem wsunął pod jej
szafę zakrwawioną rękawiczkę gumową
pochodzącą z jej walizki! Bezczęści pan
pamięć człowieka, z którym wiele lat
łączyła pana wspólna praca, pozwala
pan, żeby dowody rzeczowe
wskazywały na pana żonę, i kłamię pan
w oczy ludziom prowadzącym śledztwo!
Czy naprawdę do tego może
doprowadzić człowieka miłość, panie

profesorze Haroldzie Sparrow?

I profesor Harold Sparrow załamał się. Urywanymi zdaniami zaczął mówić o sobie, o swoim życiu, o tym, jak poznał Sarę Drummond i jak z wolna on, który w ciągu całego swego życia nie popełnił ani jednej drobnostki, którą wspominałby ze wstydem, zaczął żyć podwójnym, nieprawdopodobnym życiem.

— Zresztą... widziałem ją tylko kilka razy... potem odsunęła się ode mnie... a ja... ja nie mogłem przestać o niej myśleć. W końcu... w końcu napisałem do niej, do Londynu. Napisałem, że oszaleję... że nie wiem, co się ze mną dzieje... że nie mogę już dłużej patrzeć

w oczy Ianowi

i... i Lucy... Ja się nie urodziłem do takiego życia...

I Alex, który tak wiele w swoim życiu widział mężów i żon, dla których wszystko to nie byłoby najmniejszym problemem i dawałoby się godzić z harmonijnym pożyciem małżeńskim, patrząc

na niego przyznał mu w duchu słuszność. Harold Sparrow nie był ani uwodzicielem, ani kłamcą. Jego tragedia wynikała z jego uczciwości, z niemożności pogodzenia kłamstwa z prawdą.

— ...Przyjechała wczoraj — ciągnął Sparrow — i spotkaliśmy się po kolacji

w parku. Chciałem z nią wyjechać, uciec stąd od tego potwornego życia. Ale ona powiedziała, że zbyt wiele zrozumiała ostatnio, że kocha Iana i chce z nim zostać. Prosiła mnie, żebym odszedł, żebym był mężczyzną. Błagała, żebym zachował dyskrecję. Przyrzekłem jej to, ale postanowiłem odejść.

Był tu właśnie Hastings i proponował mi wyjazd do Stanów Zjednoczonych. Zgodziłem się, kiedy przyszedł do mnie wieczorem. Potem wszedłem do Lucy i powiedziałem... — urwał i potarł dłonią czoło. — Jak mogłem? Przecież ona... ona chciała pójść na szubienicę za mnie, a ja... ja...

Parker nie przerywał. Stał ciągle wyprostowany, naprzeciw siedzącego i patrzył na niego, nie spuszczać go ani na ułamek sekundy z oka.

— ...powiedziałem jej, że między nami wszystko skończone. Że nie kocham jej już, chociaż szanuję ją i nie mam w stosunku do niej żadnych zarzutów. Powiedziałem, że chcę odjechać i zwracam jej wolność...

— A ona?

— Ona? Zaczęła cicho płakać. Potem zapytała mnie, czy jest w moim życiu ktoś inny? Odpowiedziałem, że tak. Nie mogłem jej skłamać, chociaż nie

dałem do zrozumienia, o którą osobę chodzi. Powiedziałem, że nie mogę z nią żyć pod jednym dachem, myśląc o innej kobiecie.

Że to nieuczciwe. A ona... ona powiedziała, że nie przestanie mnie nigdy kochać i wierzy, że wrócę do niej... Potem wyszedłem. Było mi okropnie ciężko. Usiadłem w pokoju i nie wiedziałem przez chwilę, czy postępuję dobrze. Zacząłem się wahać. Ale było już za późno. Zszedłem więc na dół. Czekala mnie rozmowa z Ianem. Postanowiłem, że niczego mu nie będę tłumaczył — ale powiem, że moje sprawy osobiste zmuszają mnie do wyjazdu i że jadę do Ameryki.

Oczywiście,
nie zdradziłbym Amerykanom tego, co
było przedmiotem naszych badań.
Wiedziałem, że Ian doprowadzi je sam
do końca. Co prawda Hastings chciał,
żebym objął kierownictwo laboratorium
doświadczalnego w Filadelfii i
kontynuował to, co tu rozpoczęliśmy, ale
istnieje inna dziedzina, nad którą nie
pracowałem z Ianem, a która bardzo
mnie pociąga. Myślę, że mógłbym wiele
zdziałać na tym polu... Wszedłem, Ian
siedział za stołem. W plecach jego tkwił
nóż... Nie mogłem się ruszyć z miejsca.
Stałem jak skamieniały... Potem
chciałem coś zrobić. Nóż... Nóż należał
do Lucy... Dotknąłem go, bo nagle

przyszło mi do głowy, że powinienem go ukryć... Ktoś chciał widocznie... Różne myśli przelatywały mi przez głowę... Ale nóż tkwił tak mocno... To było straszne... Puściłem go od razu i uciekłem na górę. Wszedłem do pokoju, ale potem wyszedłem i zapukałem do Hastingsa. Teraz nie miałem prawa odjechać... Kto by ukończył naszą pracę?

Bez względu na wszystko, na to, co się stało i... co się stanie, ta praca jest ważniejsza niż życie jednego albo paru ludzi. Zresztą — spuścił oczy — Ian wierzył, że to da ludziom bardzo wiele... Muszę tę pracę za niego dokończyć... Tylko tym będę mógł się odpłacić...

chociaż wiem,
że nic nigdy już nie naprawi tego, co
zrobiłem...

— Chciałbym panu wierzyć,
profesorze... — powiedział Parker. —
Czy nie ma mi pan nic więcej do
powiedzenia?

— Nic więcej nie wiem.. Ach tak,
po kolacji podszedł do mnie młody
Davis i prosił o rozmowę, ale w parku
nie spotkał mnie i zapukał, kiedy
wróciłem. Było to mniej więcej o pół do
jedenastej, na parę minut przed
nadejściem Hastingsa. Był bardzo
zdenerwowany i prosił mnie o coś, o
tysiąc funtów, zdaje się. Ale ja również
byłem w takim stanie ducha, że

odmówiłem wręcz i zbyłem go. Teraz nawet żałuję, bo dysponowałem tą sumą i mogłem mu pożyczyć. To przyzwoity chłopiec...

— I później nie widział go pan już?

— Nie.

— Niech pan wróci do siebie, panie profesorze, i proszę bardzo o nieoddalanie się z domu.

Może być pan nam jeszcze potrzebny.

Sparrow wstał i ruszył ku drzwiom. Zatrzymał się.

— Ale... — zawahał się szukając słów. — To, co powiedziałem, musi zostać... zostanie między nami, prawda?

— Nie zajmujemy się rozgłaszaniem prywatnych tajemnic, panie profesorze

— powiedział Parker sucho. — A poza tym chciałbym, żeby pan pamiętał, że zarówno pan Alex, jak i ja byliśmy przyjaciółmi Iana Drummonda. A, jak pan wie, prawdziwych przyjaciół miał on niewiele.

Harold Sparrow wyszedł ze zwieszoną głową.

XII. Tysiąc funtów

Kiedy drzwi się zamknęły, Parker spojrzał na Alexa i rozłożył ręce.

— Słyszałeś? Co myślisz?

— Myślę o tym, dlaczego na miłość boską dwie tak znakomite kobiety

pojawiły się w życiu tego człowieka?

— Dlatego — powiedział spokojnie inspektor — że pan profesor Harold Sparrow nie przeczytał w całym swoim życiu ani jednej książki kryminalnej. Jest to człowiek niezwykły dla naszej zepsutej epoki. Pomimo to, co widzieliśmy, jest w nim siła, odwaga, upór, a nade wszystko czystość, czyli cecha, którą kobiety pragną szanować, ile razy się o nią otrą. Wbrew wszystkim pozorom i całej literaturze świata kobieta gotowa jest zawsze pokochać solidnego mężczyznę.

W dodatku Harold Sparrow to bardzo rozumny człowiek. Rozumny nie w sensie tej efektownej inteligencji, którą

każdy młody człowiek z dobrej rodziny zdobywa tonami w Oxfordzie. Harold Sparrow odróżnia dobro od zła, a to jest bardzo trudne sądząc z tego, co widzimy naokoło.

— I co z tego? — mruknął Alex. — Oto mamy rezultaty!

— Tu pokonała go jego czystość. Chciał postąpić jak najlepiej, chciał pokonać zło, a potem chciał wziąć na siebie całą odpowiedzialność za to, co się stało.

— Skąd wiesz, że nie przeczytał żadnej książki kryminalnej?

— Nie zostawiłby odcisków palców na tym nożu, a gdyby je zostawił, pomyślałby o tym później. Wszedł tu

absolutnie przekonany, że nikt nie wie o jego pobycie w gabinecie. Chciał najpierw dowiedzieć się, jak sprawy stoją. Co mnie martwi, to fakt, że czubki jego butów są pokryte pyłem ogrodowym po wczorajszym pobycie w parku, a nie ma na nich śladu krwi. Nie oczyścił ich dzisiaj na szczęście. Poza tym... ale nie uprzedzajmy faktów. Czy uderzyło cię coś w dotychczasowym badaniu sprawy?

— Tak — Alex skinął głową — parę szczegółów. Ale nie umiem jeszcze o nich nic powiedzieć. Chciałbym się powstrzymać na razie od mówienia. Mam pewną teorię...

— I ja mam pewną teorię. — Parker

skinął głową. — Czy chcesz powiedzieć, że zaczynasz podejrzewać kogoś ściśle określonego o zabójstwo Iana?

— Tak. Ale, widzisz, ja tych ludzi w jakiś sposób już zdążyłem poznać. Może kieruję się impulsem? Nie rozumiem jeszcze prawie niczego. Moja teoria jest zresztą zależna od tego, co jeszcze tu usłyszymy. To dopiero dwoje.

— Tak. Muszę chyba przesłuchać teraz pana Filipa Davisa? Jak myślisz?

— Nie krępuj się mną, Benie. Jestem tylko uchem, niczym więcej.

— Dobrze — Parker skinął głową.
— Patrz! Myśl! Ta sprawa nie jest jasna.

Odrzuciliśmy

już dwoje zabójców, którzy zgłosili się na ochotnika. A pan Filip Davis ma u nas co najmniej tyle szans co oni. Jones!

— Tak, szefie?

— Poproś tu pana Filipa Davisa!

— Tak, szefie!

Parker rozpostarł gładko chustkę na nożu i wisiorku, a potem wsunął fotografię odbitek palców do teczki.

— Czy myślisz, że oni porozumiewają się z sobą tam, na górze?

— wskazał palcem sufit.

Alex wzruszył ramionami.

— Nie wiem. Myślę, że morderca był tylko jeden. Sara, Davis i Sparrow pozostawili odciski palców.

Wspólnikami mogli być tylko Lucy i Hastings. To nieprawdopodobna kombinacja. Zresztą, jak dotąd, Hastings ma alibi Sparrowa. A Lucy nie zabijałaby swoim lancetem i nie siałaby swoich zamkniętych łańcuszków. Tak. Morderca jest tylko jeden.

— Myślę, że masz słuszość...

Uwaga!

Drzwi otworzyły się.

— Pan Davis, szefie!

— Poproś go tu...

Filip Davis, w przeciwieństwie do Harolda Sparrowa, ubrany był w czystą koszulę, ale i on miał na sobie ciemne ubranie. „Prawdopodobnie sądził, że śmierć pracodawcy należy jakoś

zaakcentować, nawet przez sam szacunek...” — pomyślał Alex.

— Niech pan siada — powiedział Parker serdecznie — i niech nam pan opowie, na co właściwie była panu potrzebna tak gwałtownie ta wielka suma pieniędzy... — Wskazał leżący na stole plik banknotów.

— Co? — Filip Davis zaczerwienił się. Stał z ręką opartą na poręczu krzesła, na którym jeszcze przed chwilą miał zamiar usiąść, i patrzył na stół. Potem z wolna przeniósł wzrok na pusty fotel

i rozlaną pod nim ciemną, lepką plamę. Rumieniec ustąpił miejsca bladości.

Parker uśmiechnął się, wziął go za

ramię i posadził w fotelu.

— Niech pan mówi prawdę i tylko prawdę, a wtedy może nawet pan Alex wybaczy panu

to uderzenie, którym poczęstował go pan dziś punktualnie o godzinie pierwszej w nocy.

— O, Boże... — wyszeptał Filip. — Pan jest ze Scotland Yardu, prawda?

— Tak, jestem inspektorem w tej znanej panu z kryminalnych romansów instytucji i nazwisko moje brzmi Parker. Dlatego właśnie radzę panu mówić od razu całą prawdę. Proszę mi wierzyć, że bez względu na to, co pan powie, będę ją znał, nim słońce dzisiaj zajdzie. — Spoważniał. —

W tej chwili jest pan podejrzany o dokonanie dziś w nocy zbrodni na osobie profesora Iana Drummonda, pańskiego chlebodawcy. Co pan ma do powiedzenia w tej sprawie?

— Ja go nie zabiłem... Ja... ja powiem wszystko.

— Właśnie. Tak będzie chyba najlepiej. — Parker usiadł wygodnie. — Słuchamy pana. Pan Alex jest moim najbliższym współpracownikiem... w tej sprawie. Proszę mówić.

— Ja... ja właściwie nie wiem, od czego zacząć.

— Od pierwszego telefonu, który otrzymał pan z Londynu w czasie kolacji.

— Tak... Wie pan o nim także...

— Wiem. To i wiele innych rzeczy, jak pan widzi. Słucham.

— Zadzwoiła do mnie moja siostra. Ona... — zawahał się. — Ale to na pewno nie jest sprawa, którą chciałbym powierzyć policji... Ja... ja odmawiam odpowiedzi.

— Nie radziłbym panu tego robić w tej sytuacji. A po drugie, mogę panu zaręczyć, że bez względu na to, co mi pan powie, nie zrobię użytku z pana informacji, jeżeli nie jest ona związana bezpośrednio z zabójstwem Iana Drummonda.

— Przyrzeka pan?... — Davis

zawahał się.

— Przecież już przyrzekłem! —
Parker zrobił niecierpliwy ruch ręką. —
Czy sądzi pan, że ludzi, którzy zajmują
się chwytaniem morderców, nie należy
uważać za gentlemenów? Moje słowo
jest dla mnie równie cenne jak pańskie
dla pana, a chciałbym, żeby po tej
rozmowie nie okazało się,
że cenniejsze. Niech pan mówi.

— Dzwoniła moja siostra... —
podjął Filip — powiedziała, że —
znowu urwał. — Mam brata. Jest
młodszy ode mnie. Ma dwadzieścia
cztery lata. Matka go zawsze najwięcej
kochała z nas trojga. Może dlatego, że
był najmłodszy... Był rozpieszczony. Nie

pochodzę z zamożnej rodziny
i wielu rzeczy u nas brakowało, ale
Christoph zawsze miał wszystko. To nie
było dobre. On...

on dostał pracę dwa lata temu w
wielkim domu towarowym. Nie chciał
się uczyć, więc nic mu innego nie
pozostało... Potem okazało się, że w
stoisku, które prowadził, są braki.

Przyszedł

w sobotę wieczorem i płakał. Matka na
szczęście tego nie słyszała. Jest chora na
serce. Nie wiem, co by się mogło stać.
Nie chcę o tym myśleć. Byłem tylko ja i
nasza siostra Agnes. Okazało się,
że miał sobotnią kasę zdać dopiero w
poniedziałek, bo zachorował nagle

kasjer firmy. A on... poszedł z tym na wyścigi i przegrał. Trzysta funtów. Ja dostałem wtedy pieniądze za współpracę i korektę w książce pana Drummonda. Zacząłem z nim właśnie wtedy współpracować. Miałem dwieście funtów, a Agnes dodała sto. Nie wiem nawet, skąd je wzięła. Dość że w poniedziałek zaniósł te pieniądze do kasy. Przysiągł nam, że to się już nigdy nie, powtórzy. I myśleliśmy, że zrozumiał. Uwierzylimy mu. Czasem Agnes pisała do mnie, że widuje go na ulicy z jakimiś podejrzanymi eleganckimi młodymi ludźmi i dziewczętami, których nie chciałyby przedstawić naszej mamie.

Ale w końcu to już dorosły mężczyzna...
Jest inny niż ja, co innego go interesuje.
Nie widziałem powodu, żeby się
wtrącać. I wczoraj Agnes zadzwoniła,
że powtórzyła się dokładnie ta sama
historia. Niestety, tamten utarg musiał
być bardzo marny albo może Christoph
pracuje teraz na lepszym stoisku, bo
przegrał tysiąc cudzych funtów...

Umilkł, jak gdyby wiadomość ta raz
jeszcze go poraziła.

— I co? — zapytał Parker. —
Siostra zadzwoniła prosząc pana o
ratunek?

— Tak. Skąd miałbym wziąć taką
sumę? Ja... ja nawet bym się zgodził,
żeby on odsiedział

to w więzieniu... Chociaż może mówię to w gniewie. Ale matka? Gdyby nasza matka dowiedziała się, że go zamknęli za defraudację, nie przeżyłaby tego. Miała dwa ciężkie ataki w ciągu ostatnich dwóch lat. To by ją dobiło.

— Rozumiem... — Parker pokiwał współczująco głową. — Nie miał pan wyboru, trzeba było starać się o pieniądze.

— Tak. W godzinę później on zadzwonił. Płakał do słuchawki. Był przerażony. Zrozumiał, że to się musi źle skończyć. Powiedziałem, że nie mam pieniędzy, ale zrobię, co będę mógł, dla matki, nie dla niego. Powiedział, że

dziś tu przyjedzie. Zabroniłem mu. Nie chcę go widzieć na oczy. Powiedziałem, żeby przyjechała Agnes. Popołudniowym pociągami do Malisborough. Chciałem mieć więcej czasu.

— I co pan zrobił później?

— Później pomyślałem, że może pożyczę mi te pieniądze profesor Sparrow. Chciałem za wszelką cenę nie brać ich od pana profesora Drummonda. To mój chlebodawca. Płaci mi.

To by było naruszeniem moich stosunków z nim. Pomyślałem sobie, że zrobię to tylko w ostateczności.

— A z czego chciał pan oddać tę sumę?

— Mam kawałek ziemi w Kent po dziadku, który zapisał mi ją umierając, kiedy byłem mały, a Christopha nie było jeszcze na świecie. Chciałem zatrzymać ją do chwili, kiedy może będę chciał się ożenić. Agnes kończy teraz stomatologię. Myśleliśmy, że kupi się jej za część tych pieniędzy wyposażenie gabinetu. Ta ziemia jest warta prawie piętnaście tysięcy. Oboje wiązaliśmy z nią nasze nadzieje. Ale postanowiłem ją natychmiast sprzedać i oddać dług, jeżeli go zaciągnę. Tylko że to musi trochę potrwać.

— Rozumiem. Co działo się dalej?

— Po kolacji wyszedłem do parku, bo pan Sparrow powiedział, że tam przyjdzie. Ale musiałem się z nim w jakiś sposób rozminąć. Był pan przy tym, prawda?... — zwrócił się do Alexa, który potwierdził to skinieniem głowy. — Czekałem, a wtedy zjawił się profesor Hastings. Zaczął ze mną rozmawiać o perspektywach życia w Ameryce. To było już nie pierwszy raz, ale tym razem po raz pierwszy pomyślałem że chociaż praca z panem Drummondem i panem Sparrowem jest taka pasjonująca, bo przecież pracowaliśmy nad... — tu umilkł — ale to nie należy do rzeczy —

powiedział i Alex dostrzegł w oczach Parkera błysk uznania. — Więc pomyślałem, że może warto by pojechać tam i dorobić się. Widzi pan, współpraca z takim uczonym, jak profesor Drummond, pozwala młodemu chemikowi udać się wszędzie i wszędzie go przyjmą. Jego nazwisko i jego wybór to wielka legitymacja. Ale wiedziałem, że bez porozumienia się z profesorem Drummondem nie mam prawa nawet wdawać się w taką rozmowę. Ciągle myślałem przy tym o tysiącu funtów, które muszę jutro do południa zdobyć. Profesor Hastings rzucił nawet kiedyś w rozmowie, że gotów byłby dać mi poważną zaliczkę

bezzwrotną na zlikwidowanie moich spraw w Anglii.

I wymienił większą sumę. Jak na ironię! Gotów był dać ją od razu! Oczywiście nie dałem

mu żadnej odpowiedzi, tylko wypowiedziałem kilka uprzejmych zdań i pożegnałem się z nim. Byłem bardzo zdenerwowany. A kiedy nie spotkałem profesora Sparrowa w parku, ręce zaczęły

mi się trząść. Takie przynajmniej miałem uczucie. Wszedłem do domu i zapukałem do jego pokoju. Była dokładnie dziesiąta. Nikt nie odpowiedział. Pomyślałem, że może jest w pokoju swej żony.

I chociaż pora była bardzo spóźniona, to jednak rozpacz dodała mi odwagi i zapukałem. Ale pani Sparrow była sama w pokoju. Chciałem się wycofać. Ale widocznie zobaczyła, że coś się ze mną dzieje, bo kazała mi wejść i zapytała, czy jeszcze nie spotkałem się z jej mężem? Słyszała, że prosiłem go o spotkanie, gdy wstawaliśmy od kolacji. Powiedział wtedy, że odprowadzi ją tylko na górę i wróci do parku. Odpowiedziałem jej, że nie. Zapytała wtedy, czy to bardzo ważna sprawa, bo wyglądam, jakby to była ważna sprawa. Wtedy... widzi pan. Ja wiem, że ona ma wielkie serce. To jedna z najlepszych kobiet, jakie znam.

Słyszałem o jej poświęceniu dla chorych i wystarczy spojrzeć, jaka jest dla męża. Ona jest jednocześnie dumna i łagodna, i...

— Tak — powiedział Parker. — Wobec tego opowiedział jej pan o swoich kłopotach.

— Tak! Właśnie. Sam nie wiem, jak do tego doszło. A ona odpowiedziała, że mąż na pewno za chwilę wróci i z pewnością mi pożyczy tę sumę na kilka tygodni. A gdyby nie miał, to ona postara się wszystko załatwić. Kamień mi spadł wtedy z serca. Prosiła tylko, abym w wypadku, gdybym musiał skorzystać z jej pomocy, nie mówił o tym absolutnie

nikomu. To było właśnie to,
o co ja ją chciałem prosić, i drugi
kamień spadł mi z serca zaraz po
pierwszym. Kazała mi czekać
w moim pokoju.

— Ale to się nie skończyło tak
łatwo? — zapytał Parker. — Coś się
musiało stać?

— Ach, proszę pana... — Filip
Davis złożył ręce. — Gdybym
wiedział... Poszedłem do swojego
pokoju i usiadłem czekając na pana
Sparrowa i myśląc o tym, jakim aniołem
jest...

— Jego żona. Wiem. Potem poszedł
pan do niego, a on panu odmówił?

— Tak. Odmówił mi od razu.

Miałem wrażenie, jak gdyby nawet nie bardzo wiedział, o co go proszę. Ale nie mogłem zostać, więc wyszedłem. Było mi przykro...

— Rozumiem. Poszedł pan do swojego pokoju i czekał pan na to, co zrobi Lucja Sparrow.

Co było dalej?

— Pani Sparrow zapukała. Powiedziała, że wie o odmowie męża. Powiedziała, że zaraz napisze list do swego radcy prawnego, który dysponuje jej pieniędzmi, gdyż posiada prawie wszystko w akcjach. Powiedziała, że właśnie przed chwilą pożyczyła w tym celu maszynę i papier. Papier trzymała w

ręce. W poniedziałek o dziesiątej moja siostra będzie mogła odebrać od tego radcy pieniądze. Ale ja musiałem mieć te pieniądze o ósmej rano. Wobec tego pani Sparrow poradziła mi, żebym zszedł do pana Drummonda i pożyczył je od niego na czterdzieści osiem godzin pod jakimkolwiek pretekstem. Tak krótki termin to przecież nie pożyczka, ale uprzejmość. Zgodziłem się z tym i podziękowałem jej. Mówiliśmy szeptem, bo pani Sparrow przez cały czas stała w progu. Nie chciała oczywiście wchodzić do męskiego pokoju o tej porze, będąc w szlafroku. Byłem bardzo zażenowany, ale równocześnie bardzo wdzięczny za

tyle trudu, widząc, że w dodatku boli ją ręka. Kiedy poszła, usiadłem i zacząłem obmyślać ten pretekst. Trwało to parę minut. W końcu wymyśliłem, że moja siostra ma szansę kupić urządzenie do gabinetu dentystycznego okazyjnie od kogoś, kto je w poniedziałek rano sprzedaje, a ja we wtorek oddam pieniądze. Wiedziałem, że pan Drummond ma w kasie jakąś większą sumę pieniędzy, bo widziałem je w pokoju podczas pracy. Kasa jest zawsze otwarta wtedy, bo trzymamy w niej papiery, jak w szafie. Wierzyłem, że pożyczę mi tysiąc funtów na dwa dni bez żadnej trudności. Imponowało mi to nawet, że mogę

poprosić o tak poważną pożyczkę na tak krótki termin... Mój Boże... Wyszedłem więc z pokoju i poszedłem na dół...

— Tak... — powiedział Parker. — A która była wtedy godzina?

— Pani Sparrow przyszła do mnie o jedenastej, wiem, bo czekając patrzyłem cały czas

na zegarek. Stała w progu może trzy minuty, a później zastanawiałem się może dziesięć, może dwanaście... Jak to, przecież pamiętam! Kiedy wychodziłem z pokoju, spojrzałem na zegarek. Byłem tak otumaniony, że wydało mi się nagle, że jest o wiele później. To czekanie tak mi się dłużyło...

— Więc która była godzina, kiedy

pan zszedł na dół?

— Piętnaście po jedenastej. Może czternaście, nie wiem. Zszedłem i otworzyłem drzwi.

— Czy były zamknięte?

— Tak. Otworzyłem drzwi. Pan Profesor Drummond siedział za stołem. Zamknąłem drzwi

po wejściu i powiedziałem: Przepraszam, panie profesorze... — a wtedy zobaczyłem...

— Tak. I co pan zrobił?

— Podszedłem i otworzyłem usta, żeby krzyknąć, ale zobaczyłem jakiś ruch i spojrzałem.

Ale to tylko kropla krwi oderwała się od fotela i upadła na ziemię. Potem

upadła druga... — Spojrzał w stronę fotela i odwrócił głowę. — Teraz jest tam cała plama... — Opanował się. — Wiedziałem od razu, że pan Drummond nie żyje. Patrzyłem w jego oczy. Mogą panowie mi nie wierzyć, ale pomyślałem nagle o mojej matce... że w związku z tym nie dostarczę pieniędzy i Christoph pójdzie do więzienia, a ona... Rozejrzałem się. Pieniądze leżały w kasie. W ogóle nie myślałem chyba wtedy albo to był jakiś szok. Porwałem pieniądze i uciekłem z pokoju.

— Czy zamknął pan za sobą drzwi?

— Co?... Tak... Na pewno tak. Kiedy dostałem się na górę, wpadłem do siebie i zamknąłem drzwi na klucz. Położyłem

pieniądze na stole i od razu zrozumiałem, co zrobiłem. Ogarnęło mnie okropne przerażenie. Wtedy zrobiłem drugą rzecz, której nie rozumiem do tej chwili. Wstałem, otworzyłem drzwi i zapukałem cicho do profesora Hastingsa, którego pokój sąsiaduje z moim.

Nie spał jeszcze. Wpuścił mnie. Powiedziałem, że pojedę do Ameryki, kiedy on zechce, ale muszę mieć zaraz tysiąc funtów. Spojrzał na mnie ze zdziwieniem, ale bez słowa wyjął książeczkę czekową i wypisał czek. Wtedy przypomniałem sobie, że zostawiłem uchylone drzwi, a na stole u mnie leży ta paczka banknotów.

Wziąłem czek i wybiegłem. Wróciłem do pokoju. Zamknąłem drzwi i ogarnęło mnie jeszcze większe przerażenie, jeżeli to było możliwe. Hastings na pewno dostrzegł, że dzieje się ze mną coś niedobrego. Nie puka się przecież do ludzi tak późno i nie mówi się takim tonem. Widziałem zresztą, że jest zaskoczony moją zgodą. Musiałem coś zrobić. Przede wszystkim zejść i włożyć z powrotem do kasy tamten tysiąc bez względu na to, co się stanie.

Ale najpierw pan Hastings wyszedł i wrócił po kilku minutach. Słyszałem zamykanie jego drzwi. Wreszcie wstałem, wsunąłem paczkę banknotów do kieszeni i ostrożnie wyjrzałem. I

właśnie wtedy posłyszałem jakieś kroki na schodach... Były bardzo ciche, ale usłyszałem je... W nocy każdy szelest jest głośniejszy. Cofnąłem się.

— Która była wtedy godzina?

— Pół do pierwszej. Cały czas patrzyłem na zegarek. Pamiętam każdą upływającą minutę.

— A potem co?

— Potem siedziałem jeszcze przez pewien czas. Byłem pewien, że osoba wchodząca na górę obudzi kogoś i doniesie o zabójstwie. Ale widocznie to był ktoś, kto nie wracał z gabinetu. Pomyślałem, że może ktoś uczuł głód i zszedł do kredensu. Po półgodzinie, tuż przed pierwszą postanowiłem zejść.

Było cicho. Na palcach zszedłem po schodach. Bałem się tak strasznie, jak jeszcze nigdy w życiu. Wszedłem tu, stanąłem z ręką na klamce i równocześnie usłyszałem, że ktoś otwiera i zamyka drzwi na górze. Podbiegłem do kontaktu, zgasilem lampę i rzuciłem na stół pieniądze. Ktoś schodził po schodach. Stałem obok stołu i kurczowo ścisnąłem coś, co okazało się przyciskiem. Nie myśląc, co robię, cofnąłem się na palcach za drzwi. Ten ktoś wszedł. To był mężczyzna. Zapytał: Ianie? A ja wiedziałem, że Ian Drummond nie odpowie,

i wtedy pan Alex, bo poznałem go po głosie, zacznie szukać kontaktu, zapali światło i znajdzie mnie obok ukrytego w ciemności trupa. Wtedy nic mnie nie uratuje... Ja tego wszystkiego właściwie nie myślałem, ale to było we mnie. Uniosłem rękę i uderzyłem go w głowę, a potem skoczyłem do drzwi i zamknąłem je cicho. Widziałem, że upadł. W połowie schodów zrozumiałem, że trzymam w ręce ten przycisk. Dopadłem mojego pokoju i zatrzymałem się. Otarłem przycisk, żeby nie zostawić odcisków palców, i położyłem go na parapecie okna. A potem wszedłem do siebie, chwyciłem leżący na stole czek pana Hastingsa i

wsunąłem mu go pod drzwi. Później zamknąłem swoje drzwi, rozebrałem się i leżałem pod kołdrą do chwili, póki nie zapukała do mnie policja. Myślałem, że to po mnie, ale... To jest wszystko, absolutnie wszystko, co wiem.

— Tak... — Parker kiwnął głową. — A dlaczego otarł pan przycisk, a nie pomyślał o tym, że zostawia pan ślady na klamce? I na kontakcie elektrycznym? Na szczęście dla pana opowieść pana pasuje na razie do faktów. Jeszcze jedno... Czy... czy ta krew kapiała szybko?

— Krew... nie. Kropla... później znowu kropla... w długich odstępach.

— Czy spojrział pan na podłogę, tam

gdzie opadały?

— Nie. Tam był mrok. One padały w cień za stołem. Tu kończyła się granica światła lampy... Właśnie to było okropne, że one tak ginęły i nie wydawały żadnego dźwięku. — Wzdrygnął się.

— Jeszcze jedno... Oddał pan ten tysiąc funtów i oddał pan czek. Skąd pan teraz weźmie pieniądze dla brata?

— Nie wiem... — Davis rozłożył ręce. — Nie chcę myśleć o tym. Muszę to jakoś znieść. Może matka też to zniesie. Ale nie mogę. Teraz, kiedy pan Drummond nie żyje, nie mógłbym wyjechać tam... To by było jak zdrada... W końcu ja też jestem naukowcem...

angielskim naukowcem. Zdaję sobie sprawę z tego, co te badania oznaczają. Gdyby nie panika, nigdy bym tego nie zrobił. Później to co innego. Kiedy to się zakończy. Nie. Nie ma wyjścia. Ale tego nie mogę zrobić.

— Mogę panu pożyczyć tysiąc funtów na przeciąg dwu tygodni, jeżeli inspektor Parker nie ma nic przeciwko temu — powiedział Alex.

— Ja? — Parker rozłożył ręce. — Dopóki ten pan jest na wolności, ma pełne prawo otrzymywać czeki od każdego. To prawdopodobnie nagroda za to, że nie uderzył cię mocniej?

— Tak — Alex wyjął swoją książeczkę i wypisał czek. Odeśle mi je

pan na to samo konto bankowe — powiedział.

Filip Davis wyciągnął ku niemu rękę.

— Gdyby pan wiedział... — Nie mógł powiedzieć ani słowa więcej.

— Niech pan idzie teraz do swojego pokoju, a potem zapuka do pani Lucji Sparrow i zapyta, czy napisała ten list dla pana. Jeżeli tak, chcę, żeby mi go pan przyniósł.

— W tej... w tej sytuacji nie mogę przecież...

— Młody człowieku... Niech pan nie zapomina, że to pan każe mi wierzyć w swoje opowiadanie. Fakty mówią, że był pan w tym pokoju w czasie, kiedy

mogło być popełnione zabójstwo, że zabrał pan z kasy pieniądze, że nie powiadomił pan nikogo o tym, co pan zobaczył, że później uderzył pan w głowę ciężkim przedmiotem obecnego tu pana Alexa i uciekł pan na górę, nie interesując się nawet tym, czy go pan nie zabił, i próbując zacierać za sobą ślady. Może pan być równie dobrze mordercą, jak nim nie być. Szczerze mówiąc pośród osób w tym domu znam kilka, które mają lepsze alibi niż pan. A w tym domu było w noc zabójstwa osób bardzo niewiele. Osiem, ściśle biorąc. Jest pan nadal w czołówce tego wyścigu. Niech pan lepiej robi to, o co pana proszę.

— Tak, proszę pana... Zaraz

postaram się to... załatwić... — Filip Davis wstał i wyszedł.

— Szefie! — Jones stanął w drzwiach i rozłożył ręce. — Żadnej plamy na żadnym bucie, chyba na tych, które miał na nogach. Ale trudno mu było zaglądać pod pięty.

— W porządku... — Parker odprawił go ruchem ręki. Podeszedł do Alexa. — Zdaje się, że on mówi prawdę... ten szachista... ten układacz rebusów na wiele ruchów z góry... Potworny gaduła... Czy powiedział ci coś ciekawego?

— Tak. — Alex skinął głową. — Wydaje mi się, że bardzo.

— I mnie — powiedział Parker — i

mnie.

— Pan Davis, szefie! — powiedział Jones.

Filip Davis wszedł i zbliżywszy się do inspektora podał mu kopertę.

— Powiedział pan, oczywiście, że to policja żąda tego listu?

— Ja... Nie mówił pan ani słowa o tym, że nie wolno mi tego zrobić...

— Nie mówiłem. Co powiedziała pani Sparrow?

— Powiedziała, że w końcu panowie już wiecie ode mnie, co tam jest w środku, więc to nie ma znaczenia, jeżeli ja sobie tego życzę.

— Dobrze. Dziękuję panu.

Davis stał niezdecydowanie.

— Słusznie — powiedział Parker.
— Niech pan nie odchodzi. Proszę mi pokazać podeszwę pańskiego lewego buta... tak... a teraz prawego. Ten list zatrzymam chwilowo, a potem zwrócimy się do pani Sparrow. Jest nam potrzebny w zupełnie innym celu niż łamanie tajemnicy korespondencji. Dziękuję panu za pana trudy, młody człowieku, a w przyszłości niech pan szybciej działa mózgiem, a wolniej przyciskami do bibuły.

Davis otworzył usta, ale wyszedł bez słowa.

XIII. Szklanka

Parker położył na stoliku kopertę zawierającą list Lucji Sparrow i sięgnął do portfela. Wyjął stamtąd drugi list. Alex pochylił się nad obydwoma papierami.

— Nie muszę gwałcić tajemnicy korespondencji pani Sparrow — powiedział inspektor — żeby zrozumieć, że oba te dokumenty są napisane na jednej i tej samej maszynie.

Czy widzisz literę „a”? Jest obniżona. „O” jest natomiast trochę powyżej linii. Oczywiście to wymaga jeszcze potwierdzenia ekspertyzy, ale jestem przekonany, że... O, zobacz, „f”

ma spłaszczony i trochę skrzywiony łebek, jak gdyby drobny defekt. I tu, i tu... Jones!

— Tak, szefie?

— Masz tu te papierki, wyślij je natychmiast autem do Londynu i niech zrobią ekspertyzę porównawczą. Czeka! — Wyrwał z notesu kartkę i nakreślił na niej kilka słów. — Zabierz to.

— Tak, szefie!

— Osobiście nie mam żadnych wątpliwości, że list, który otrzymaliśmy przed dwoma tygodniami, napisany był na maszynie Sary Drummond — powiedział Parker — a to znaczy bardzo wiele.

Alex przytaknął.

— Ale to nie zbija mojej hipotezy — szepnął nie poruszając się. — Na razie nic jej nie zbija... Słuchaj, Ben. Czy ty wiesz, że ja wczoraj zacząłem pisać książkę, w której Ian... w której Ian miał być zabity?

— Jak to? — Parker spojrział na niego z niekłamanym zdumieniem — Ian?

— Tak... To znaczy, nie. Chcę ci o tym opowiedzieć. Otóż miałem jeszcze w Londynie koncepcję książki. Nie plan, ale koncepcję, że ktoś zostaje zabity, a śledztwo utrudnia pewien sposób, w jaki... — zawahał się. — Czekał, zaraz do tego dojdę. Otóż kiedy przyjechałem

tutaj, żeby napisać
w spokoju tę książkę, zrozumiałem, że to
idealne miejsce dla jej akcji: odcięty od
świata dom, grupka ciekawych,
niecodziennych charakterów, konflikty
pomiędzy ludźmi utajone, ale istotne,
zagrożenie z zewnątrz w związku z
badaniami. Zmieniłem, oczywiście,
zawód ludzi i opis posiadłości, ale
pozostawiłem mniej więcej to samo
towarzystwo, bo łatwiej mi było
operować realiami. To bardziej pobudza
fantazję. Otóż założyłem, że zabity
zostaje gospodarz. Wszyscy
są równie niewinni... Ślady gmatwiają
się prawie tak jak tu. Ludzie byli u niego
o różnych porach. Istnieje problem alibi

i motywu...

— Czekaj — powiedział Parker — Joe, czekaj, na miłość boską, przecież tu...

— Daj mi dokończyć — Joe powstrzymał go ruchem ręki. — Otóż śledztwo przebiega mniej więcej jak tu... Ślady okazują się błędne, odciski palców gmatwają tylko sprawę... Trzeba myśleć. I detektyw odnajduje zabójcę przy pomocy odnalezienia motywu... rozumiesz... Motyw cały czas jest ukryty w mroku, a detektyw nie może go odnaleźć, chociaż go wyczuwa i wie, że całe

to piekielne nieporozumienie musi mieć jakiś klucz to, coś ty określił mówiąc, że

fakty muszą obrócić się na swojej osi i ukazać zupełnie inne oblicze. Na razie wszystko się zgadza. W tej mojej książce zabójcą jest...

— Stój! — Parker podszedł do niego i położył palec na ustach. — Nie mówmy o tym.

Nie sugerujmy się książkami Joe, ani niczym, co nam obciąża głowę. Zobaczymy. Nie chcę mówić tobie, co myślę, ani ty mi nie mów tego, co myślisz. Chcę, żebyś był przy mnie. Chcę, żebyś nie wpływał na mnie ani ja na ciebie. Mamy jeszcze całą masę zupełnie niezrozumiałych faktów. Przesłuchanie nie jest jeszcze skończone.

— Tak — powiedział Joe — ale to przerażające. Może mam obsesję tego, co napisałem.

Ale każdy nowy fakt potwierdza to. Początkowo nie zwracałem na to żadnej uwagi. Ale teraz...

— Teraz przesłuchamy pana Roberta Hastingsa, profesora uniwersytetu Pensylwania. Albo nie. To straszne, Joe. Przecież Ian nie żyje, a ja jestem głodny... Od wczoraj nie jadłem. Joe, musimy teraz napić się kawy, bo i ty nic nie miałeś dziś w ustach. Musimy zjeść parę kanapek.

— Zapomniałem o tym zupełnie... — powiedział Joe.

— Tak. I ja... Jones!

— Tak, szefie!

— Poproś, żeby nam zrobiono mocną kawę i parę kanapek.

— Tak, szefie!

— Myślę, że pani Drummond nie będzie miała nic przeciwko temu — powiedział Parker —

że trochę bezceremonialnie zarządzamy jej zapasami? Idź do niej i zapytaj, czy będziemy mogli z nich skorzystać?

— Tak, szefie!

Alex i Parker siedzieli w milczeniu, wpatrując się w chustkę, pod którą leżał nóż i mały rubinowy wisiołek. Potem Parker wstał, podszedł do drzwi laboratorium i zajrzał przez nie.

— Nie znaleźliśmy tam nic ciekawego... — powiedział. — Czy wyglądało ono dokładnie tak, kiedy wszedłeś do niego wieczorem?

Alex wstał. W laboratorium nadal paliło się światło. Szafa z wymalowaną na drzwiach trupa czaszką była otwarta.

— Wychodząc, Ian zgasił tu światło... — powiedział Alex — i zamknął szafę... Ale poza tym, nic... nie. Nie wiem. Chyba nic się nie zmieniło.

— A teraz światło jest zapalone... — mruknął Parker.

— Z tego wynika, że Ian liczył się z szybkim powrotem tutaj. Wziął pudełka z hakami, linki i przeszedł z nimi do gabinetu, gdzie

było wygodniej pracować przy niskiej lampie na dużym stole. Za chwilę miał zamiar wrócić i odnieść niepotrzebne pudełka do szafy. Dlatego zostawił ją na pół otwartą...

— Szefie?

— Tak?

— Pani Drummond prosi, żeby panowie zachowywali się zupełnie jak we własnym domu. Żałuje, że sama nie może zarządzić wszystkim, ale źle się czuje.

— Co robiła, kiedy wszedłeś?

— Siedziała na łóżku i patrzyła w okno. Podskoczyła, kiedy zapukałem. Wiem o tym, bo drzwi były uchylone trochę i najpierw zajrzałem. Jest bardzo

przygnębiona, szefie. Widać, że płakała.
Nic dziwnego zresztą, prawda?

— Możesz odejść, Jones. Czy
kazałeś przysłać nam tę kawę?

— Tak.

— I oczywiście daj coś naszym
ludziom. Niech po kolei schodzą do
kuchni. Nie chcę, żeby ten dom nagle
opustoszał. A za dziesięć minut poproś
pana Roberta Hastingsa.

— Tak, szefie!

W tej samej chwili drzwi uchyliły
się.

— Czy można? — powiedziała
cicho pokojówka. W obu rękach niosła
dużą tacę, na której stało śniadanie dla
dwóch osób. Jones wyjął jej tacę z rąk i

zatrzymał się niepewnie, nie wiedząc, gdzie ją postawić.

— Zjemy w jadalni... — mruknął Parker — panno...

— Kate Sanders, proszę pana — powiedziała pokojówka. — Ale ja...

Parker wziął tacę z rąk Jonesa i oddał jej.

— Zaraz tam przyjdziemy — powiedział. Dziewczyna wyszła. — Jones! Nikt tu oczywiście nie ma prawa wejść pod żadnym pozorem. Nikt.

— Tak, szefie!

Inspektor skinął na Alexa i ruszył ku drzwiom. Kate Sanders rozłożyła już obrus na jednym

z końców stołu w jadalni i ustawiła filiżanki. Parker czekał w milczeniu, aż skończy. Kiedy dygnęła i zwróciła się ku drzwiom, zatrzymał ją ruchem ręki.

— Chwileczkę, panienko.

Podeszła i stanęła ze spuszczonej oczami. Była wyraźnie zapłakana, ale stała prosto i kiedy uniosła głowę, słysząc pierwsze słowa inspektora, Alex zauważył, że Kate Sanders jest niezwykle zaciekawiona tym, co się stało, a na pewno także tym, co się może stać.

— Przeżyliśmy tu okropną tragedię — powiedział inspektor. — Proszę nam powiedzieć, panno Sanders, czy nie rzuciło się pani wczoraj albo podczas

ostatnich dni nic ciekawego w oczy?

— Ciekawego, proszę pana?

— To znaczy coś, co wykraczałoby poza codzienny tryb życia w Sunshine Manor. Jakiś szczegół, drobiazg nawet.

— Nie, proszę pana... No, może to, że przy bramie rozbili namiot dwaj młodzi ludzie, proszę pana. Ale oni są bardzo sympatyczni...

— Nie wątpię... — Parker mimo woli uśmiechnął się lekko i natychmiast spoważniał. — A poza tym?

— Nic... może... No, ale to pewnie nieważne...

— Co? — zapytał Parker. — Proszę nam powiedzieć.

— Ta szklanka... — I widząc jego

zaciekawione spojrzenie dodała: —
Stała w sieni
na kominku...

— Kiedy?

— Dziś rano... Nie sprzątam dzisiaj
jak należy, bo... tamten pan zabronił
dotykania rzeczy, a poza tym wszędzie
chodzi policja i zagłada... Ale kiedy
zrobiło się widno, wyszłam, żeby
zamieść

w sieni, bo ci panowie tyle nanoszą
kurzu i żaden z nich nie wyciera nóg...

— Tak. I co?

— I ona stała tam. Szklanka pełna
pomarańczowego soku.

— A czy nie mógł postawić jej tam
któryś z domowników wczoraj w ciągu

dnia?

— Mógł, ale kiedy przed pół do jedenastej kładłam się spać, zajrzałam na górę do pani Drummond, żeby zapytać, czy czegoś nie potrzebuje... Nie dzwoniła na mnie, ale ja... my ją tu wszyscy lubimy... może Malachi tylko trochę się boczy... Przepraszam, że panom takie głupstwa mówię... — zamilkła zawstydzona.

— Proszę mówić dalej. Zajrzała panienka do pani Drummond i co?

— Nic, bo niczego ode mnie nie potrzebowała. Powiedziałam więc dobranoc i zeszłam na dół.

I przypomniało mi się, że rano przy sprzątanii odkręciła mi się śrubka od

rączki odkurzacza

i położyłam ją tam. Odkurzacz działa i bez tej śrubki. Zresztą ja się na tym nie znam. Ale chciałam ją odnaleźć, żeby Malachi znalazł miejsce, z którego się odkręciła, i przykręcił ją z powrotem. Więc schodząc do sieni podeszłam i zabrałam ją.

— Tak, i co? A ta szklanka?

— Właśnie, proszę pana. Szklanki nie było tam wtedy. A rano, kiedy tylko nas obudzono, ubrałam się i wyszłam, bo chciałam dowiedzieć się, czy pani Drummond nie potrzebuje czegoś po takiej strasznej... To są niby głupstwa, ale czasami filiżanka mocnej kawy, proszę pana, może człowieka w

najgorszej chwili podnieść trochę z...

— Tak, tak. I co?

— I przechodząc przez sień zobaczyłam, kiedy powracałam, tę szklankę. Światło na nią padało.

— I co panienka z nią zrobiła?

— Zabrałam ją, zupełnie odruchowo. Płakałam wtedy, bo kto by nie płakał, widząc panią Drummond dziś rano... Zabrałam szklankę i zaniiosłam do kuchni. Umyłam ją od razu. A potem razem z innymi naczyniami zaniiosłam do pokoju kredensowego.

— Gdzie jest ten pokój?

— Tu, obok jadalni. Idzie się do niego przez mały korytarzyk. Tu stoi szkło, srebra i podręczna lodówka,

gdzie pan Drummond kazał trzymać zawsze trochę szynki, soki i nieco innych rzeczy

do jedzenia, bo czasem bywał głodny w nocy, kiedy pracował. Zaniosiłam ją tam i postawiłam obok innych szklanek.

— Czy dobrze ją pani umyła i wytarła?

— To jasne, proszę pana! — W głosie dziewczyny zabrzmiała lekka, prawie niedostrzegalna uraza.

— A czy pokój kredensowy jest zawsze otwarty?

— Tak, proszę pana. Zawsze.

— Dziękuję paniencie bardzo. — Parker usiadł i wrzucił dwie kostki cukru do kawy.

Kate Sanders dygnęła lekko i ruszyła ku drzwiom.

— Jeszcze jedno — powiedział inspektor. — Czy klamki w domu czyści się co dnia?

— Co tydzień, proszę pana, proszkim. Codziennie rano wyciera się je szmatką.

— A w gabinecie?

— Tak samo jak wszędzie indziej, proszę pana.

— Czy wczoraj wieczorem nie wycierała pani przypadkiem klamek w drzwiach prowadzących z sieni do gabinetu pana Drummonda?

— Nie, proszę pana. Nigdy nie robię tego wieczorem.

— Dziękuję bardzo, panno Sanders.

XIV. Plama krwi

Przez chwilę jedli w milczeniu. Alex wypił dwie filiżanki gorącej kawy i zmusił się do zjedzenia kawałka chleba z masłem. Potem odsunął talerzyk.

— Nie mogę więcej — powiedział.

— Ani ja. — Parker wstał. —

Przejdźmy teraz do gabinetu. Tam przesłuchamy pana Roberta Hastingsa. Myślę, że wyjaśni on nam kilka szczegółów i że to jego wyjaśnienie

zaciemni sprawę
do reszty.

I nie mylił się.

— Nie umiem panom nic
powiedzieć o tej okropnej tragedii —
powiedział Hastings
po uprzednim potwierdzeniu w całej
rozciągłości zeznań Davisa i Sparrowa.
— Jestem głęboko wstrząśnięty, a wraz
ze mną, jak sądzę, wszyscy ludzie,
którzy rozumieli, jak wielki był wkład
badawczy Drummonda w dziedzinę, nad
którą pracował. To niepowetowana
strata nie tylko
dla was, Anglików, ale dla nas
wszystkich. To nic, że pragnąłem go
widzieć w Ameryce.

Te sprawy to sprawy konkurencji i walki pomiędzy przemysłami. Ale sama osoba Iana i jego umysł były bez względu na miejsce, gdzie się znajdował, bezcenne dla ludzi. Tacy jak on tworzą postęp, kształtują jego formy i wrywają materii cały, kawał niewiadomego. Niewielu znam badaczy, którzy mogliby się z nim równać.

— Ale po pozyskaniu Sparrowa, na przykład, śmierć jego zahamowałaby w Anglii rozwój tej dziedziny, o której pan wspomniał. Dziedzina ta rozkwitłaby w Ameryce, prawda?

— Nie rozumiem pana? — powiedział Hastings. — To znaczy, nie

pragnę pana rozumieć.

— Panie profesorze... — Parker wstał. — Jestem tu, żeby odnaleźć człowieka, który zamordował Iana Drummonda. Nikt poza szaleńcem nie zabija bez motywu. To morderstwo nie zostało popełnione przez szaleńca. Dlatego chcę odnaleźć motyw. Kiedy go odnajdę, będę miał w rękach mordercę. Pan mógł, przynajmniej teoretycznie, zamordować Drummonda po to, żeby uniemożliwić ukończenie jego dzieła...

Robert Hastings poczerwieniał i zerwał się na równe nogi. Pięści miał zaciśnięte i błyskawice w oczach.

— Jeszcze jedno słowo — zawołał
— a...

— W ten sposób okazuje pan —
powiedział Parker spokojnie — że
wyżej ceni pan słowne sformułowania
na temat tej zbrodni niż spokojne
wysłuchanie tego, co mam do
powiedzenia
i odpowiedzenie mi, dlaczego nie zabił
pan Drummonda i nie mógł pan tego
uczynić.

Albo dlaczego nie zabił go człowiek,
będący z panem w zмовie?

Hastings był nadal czerwony, ale
spokojny, ton głosu Parkera podziałał na
niego.

— Ale czy pan sobie zdaje sprawę,

co pan do mnie powiedział!?

— A czy sądzi pan, że wszystkie mieszkające tu osoby są mniej godne szacunku niż pan?

A jednak Drummonda nie zabił nikt z zewnątrz. Ugodził go ktoś z was! I wszyscy jesteście równie podejrzani w oczach prawa. Czy rozumie mnie pan?

— Tak, rozumiem pana. — Hastings usiadł. — Proszę, niech pan pyta. Odpowiem panu, jak będę umiał, ale obawiam się, że niewiele mam do powiedzenia.

— Czy nie ma pan nic do dodania w swojej relacji z wczorajszego wieczoru?

— Nie — Hastings zaprzeczył

głową. — Nic.

— Właśnie! — Parker klasnął w rękę. — I pan, właśnie pan wybuchą oburzeniem, Kiedy mówię, że mógł pan zamordować Iana! Przecież mógłbym pana w tej chwili kazać aresztować i nie wiem, czy nie zrobię tego, jeżeli... — urwał na ułamek sekundy — jeżeli nie wytłumaczy mi pan, skąd się wzięła ta plama krwi na czubku pańskiego lewego bucika. — Pochylił się i wskazującym palcem dotknął nogi Hastingsa. Alex, który przyglądał się profesorowi, nie spuszczać z niego ani na sekundę oka, zobaczył, że twarz tamtego powlokła się trupią bladością.

— Co? — powiedział Hastings. —

Plama krwi...? — Przymknął oczy.

— Tak: plama krwi. — Parker wyprostował się w milczeniu. Przez chwilę żaden z nich nie poruszył się. Potem Hastings spojrzął na czubek buta i zadrżał.

— Co?... Co pan zamierza zrobić?... — zapytał. — Ja? Ja nie wiem skąd...

— Zamierzam: albo oddać ten but do analizy chemicznej, a wtedy jestem przekonany, że wykaże ona na nim krew Iana Drummonda, którego strata tak bardzo pana dotknęła. Wówczas zostanie pan zamknięty w więzieniu i nie będę się panu tłumaczył z tego, co mam zamiar zrobić. Albo... przyzna się pan, skąd wzięła się ta plama na pańskim

bucie, a wtedy: albo uwierzę panu i pozostanie pan tu jako osoba podejrzana, albo nie uwierzę panu i zostanie pan postawiony w stan oskarżenia.

— Ale ja... pan chyba nie rozumie, co dla człowieka na moim stanowisku... w świecie nauki... Czy pan sobie zdaje z tego sprawę...?

— A czy pan zdaje sobie sprawę, panie profesorze, że był pan gościem w tym domu, że zamordowano gospodarza, człowieka, któremu sam pan wystawił tak chwalebne epitafium, a pan, uczony o światowej sławie i człowiek, który, jak słyszę, dba o opinię

świata, zataił

już w pierwszym przesłuchaniu prawdę i w ten sposób oczywiście wspomaga mordercę, jeżeli, oczywiście, nie jest pan nim.

— Ale ja... Powtarzam panom, że nie zabiłem Iana Drummonda. Przysięgam na to!

— Panie profesorze Hastings. Proszę nie zachowywać się jak dziecko. Może, zamiast tego, zechce pan pomyśleć, jak udowodnić nam, że jest pan człowiekiem, którego przysięga ma jakieś znaczenie. Na razie okłamał nas pan w najobrzydliwszy sposób. Bez względu na to, co pan sądzi, staje się pan przez to współnikiem mordercy.

— Ale ja... Powtarzam panom, że nie zabiłem Iana.

— Poza tym, że był pan tu w noc zbrodni, nie wszczął pan alarmu i deptał pan w krwi umarłego! Bagatelka!

Hastings poruszył głową jak bokser, który otrzymuje cios po ciosie, a za wszelką cenę chce dotrwać do końca i nie stracić przytomności. Odetchnął głęboko.

— Kiedy Filip Davis wpadł do mnie po ów tysiąc funtów, wyglądał tak zdumiewająco, że przez chwilę zwątpiłem, czy jest przy zdrowych zmysłach. Musi pan zrozumieć, że kilka minut wcześniej był u mnie profesor Sparrow, z którym przed godziną

uzgodniłem jego wyjazd i warunki, na których przyjedzie do Stanów. Po godzinie Sparrow wszedł do mnie z obłądnym prawie wyrazem twarzy i okazało się, że zupełnie zmienił zdanie z przyczyn, których mi nie chciał wyjaśnić. Potem wszedł Filip Davis i wyraził nagłą zgodę, porwał czek, po czym zniknął z nim tak pośpiesznie, jak gdyby banki były czynne w nocy. Byłem zdumiony... Proszę sobie wyobrazić moją sytuację. Czułem... wiedziałem, że pomiędzy nimi wszystkimi coś się odbywa, że dzieje się tutaj coś, o czym nie wiem i co wpływa na ich decyzję... Sprawa ta była dla mnie bardzo ważna... Jestem nie tylko badaczem, ale

udziałowcem w wielkim koncernie przemysłu syntetycznego. Zależy nam na tym, żeby ściągnąć najlepszych uczonych z całego świata. Nie wstydzę się tego. Stawiam warunki, proponuję wielkie wynagrodzenia i można się z tym zgodzić albo nie. Drummond odrzucił od razu moją propozycję i nie zmieniło to w najmniejszym stopniu mojego stosunku do niego. Nadal twierdzę, że świat nauki stracił jednego z największych swoich ludzi. Gdyby żył dłużej, doszedłby prawdopodobnie do ogromnych osiągnięć... Ale co ja chciałem powiedzieć...? Tak. Otóż zostałem sam w pokoju. W ciągu godziny: Sparrow, który się zgodził, odmówił, a Davis,

który odmówił, zgodził się. Nie wiedziałem, co myśleć o tym i o ich dziwnym zachowaniu. Wyjrzałem przez okno.

W pracowni Iana świeciło się jeszcze światło. Postanowiłem zajrzeć do niego pod jakimś pretekstem i przekonać się, co się stało. Byłem pewien, że on także musi mieć jakiś wpływ na to, co się dzieje z dwoma pozostałymi badaczami. Niestety nie myliłem się, chociaż wpływ ten był zupełnie inny, niż przypuszczałem. W każdym razie powiedziałem sobie, że nie stanie się nic złego, jeżeli zejdę i pod pozorem ostatniej rozmowy przed pożegnaniem, bo odjechać miałem

bardzo wcześnie, spróbuję zorientować się, w jakim stopniu mogę uznać sprawy Davisa i Sparrowa za rozstrzygnięte. Zszedłem. Drzwi były zamknięte. Wiedziałem, że do gabinetu nie puka się, więc nacisnąłem je cicho. Kiedy znalazłem się w środku, zobaczyłem, że Drummond siedzi za stołem i po chwili zobaczyłem całą resztę... Podszedłem, żeby sprawdzić, czy żyje i czy trzeba wezwać pomoc. Ale był już zimny. Mam za sobą trzy lata medycyny, którą kiedyś studiowałem jako przedmiot uzupełniający. Natychmiast zorientowałem się, że tu już nic nie pomoże. W tej samej chwili pojąłem, że podejrzenie może paść na mnie. Szukał

pan motywu zbrodni. Mnie także przyszedł on do głowy. Drummond wspomniał mi o jakimś liście, który podobno przyszedł do policji angielskiej, ostrzegając przed zamachem ze strony nieznanymi sił. Śmiał się wówczas z tego, ale ja się teraz nie śmiałem. To ja reprezentowałem interesy sprzeczne z interesami, którym służyły badania Drummonda. Cofnąłem się do drzwi i przypomniałem sobie, że pozostawiłem przecież odciski palców na klamce. Wytarłem więc do czysta rękawem obie klamki, zewnętrzną i wewnętrzną, a potem na palcach pobiegłem na górę i zamknąłem się u

siebie w pokoju. Rozebrałem się prędko i położyłem do łóżka, ale nie spałem i wiem dokładnie, kiedy Filip wsunął mi czek pod drzwi. Zmartwiałem wtedy. Później nic już się nie stało do chwili, kiedy zapukała do mnie policja. To, co powiedziałem, pokrywa się absolutnie z prawdą i nie mam już nic do dodania.

— Tak... — Parker usiadł. — O której godzinie znalazł się pan tu?

— Była może 12.10, a może 12.12? Trudno mi określić, wiem, że wychodząc z pokoju spojrzałem na zegarek i było, mniej więcej, dziesięć po dwunastej.

— A jak długo był pan tu, w gabinecie?

— Dwie, może trzy minuty.

— To znaczy, że o 12.15 wyszedł pan stąd?

— Prawdopodobnie tak.

— Dobrze. Niech pan wróci do pokoju, panie profesorze. I proszę się stamtąd nie oddalać.

Hastings wstał. Był nadal bardzo blady.

— Mam nadzieję, że nie posądza mnie pan naprawdę o zabójstwo Iana?

— zapytał z niepokojeni.

— Nie — Parker potrząsnął głową.

— Jeszcze przed pana wejściem tutaj wiedziałem, że pan nie mógł zabić Iana

Drummonda, ale najprawdopodobniej był pan tu po dokonaniu zabójstwa.

— Więc pan wiedział! — Hastings wyszedł pocierając dłonią swoją wielką łysinę, na której lśniły kropelki potu.

XV. „Uderzyłam raz po raz”

A teraz, niestety, musimy porozmawiać z panią Sarą Drummond — powiedział Alex. — Wolałbym nie być przy tym. To wszystko jest tak straszne.

— Tak — Parker westchnął. — Musimy porozmawiać z Sarą

Drummond, ale myślę,
że zostaniesz. To, że morderca Iana jest
na wolności, jest jeszcze bardziej
straszne. — Spojrzał
na zegarek. — Jest ósma rano. Przed
dziewięciu godzinami Ian żył jeszcze. I
mógł żyć jeszcze wiele lat... Nie wyjadę
z tego domu bez jego zabójcy... nawet
gdyby jakieś moce piekielne miały
to wszystko jeszcze bardziej powikłać.
Ale o czym ja mówię? Przecież wiem,
kto zabił Iana Drummonda, a właściwie,
to nie ja wiem, to policjant we mnie
wie. Mógłbym już teraz wydać nakaz
aresztowania i nikt nie mógłby
uniewinnić osoby, którą bym wskazał.
Ona jedna nie ma alibi i ma powód, dla

którego powinna była zabić. Wszyscy inni albo mają alibi, albo nie mieli powodu go zabijać. Jakże to wszystko jest proste, jak jasne! Tak jasne, że bezsensowne!

Alex pokiwał głową.

— Właśnie — mruknął. — Tak jasne, że aż bezsensowne.

— Ale dajmy temu spokój! — Parker wstał i zaczął się przechadzać po gabinecie, omijając szerokim łukiem pusty fotel i plamę krwi, która była już prawie czarna i wsiąkła w barwny motyw dywanu. — Widzisz! Jego krew już znika... staje się tylko plamą na dywanie. Potem ktoś odda dywan do chemicznego czyszczenia i tak zniknie

ostatni ślad po nim. Nie zostawił dziecka, a żonę miał niewierną. Tak przemija człowiek. Nie znam się na teatrze, ale czy może być tragedia bardziej grecka? Czy wróci mu ktoś życie dlatego, że my, ty i ja, wiemy albo domyślamy się, kto go zamordował? Ale on kochał kogoś. Bez względu na to, co wiemy o niej, on ją kochał. Dlatego musimy być dla niej dobrzy. On by na pewno tego chciał. Był łagodny. Może nawet przebaczyłby jej, chociaż złamałoby mu to życie, gdyby żył. Jones!

— Tak, szefie! — Pyzate oblicze sierżanta było roześmiane od ucha do ucha.

— Cóż cię tak rozweseliło?

Jones spowaźniał natychmiast i wyprostował się.

— Nic, szefie... Tylko panna Sanders...

— Tylko panna Sanders ma dołeczki w policzkach, tak? Ale przyjechałeś tu na koszt królowej nie po to, żeby podziwiać dołeczki panny Sanders. A panna Sanders niech też uda się do swoich zajęć, jeżeli ma jakiegokolwiek!

Przez otwarte drzwi Alex usłyszał cichy odgłos oddalających się szybko stóp.

— Zamknij drzwi, Jones! — powiedział inspektor — i przyglądaj się pilnie wszystkiemu, co się dzieje w tym domu. Nie wolno ci się ruszyć z tej

sieni, póki cię nie odwołam. Czy nikt nie próbował zejść na dół?

— Tak, szefie... Nie było zakazu...

— Kto?

— Pan Hastings i pani Sparrow. Oboje łączyli się telefonicznie z Londynem.

— O czym mówili? Jakie numery?

— Pan Hastings łączył się z biurem podróży i odwołał swój nocny lot do Nowego Jorku. A pani Sparrow dzwoniła do szpitala i poprosiła do aparatu profesora Billows. Potem zapytała o zdrowie pani Wright. Później mówiła coś łacińskimi słowami i na końcu powiedziała, że da znać później, czy będzie mogła przyjechać, bo tu

zatrzymuje ją nieprzewidziana okoliczność rodzinna. Powiedziała, że da znać po obiedzie. Sprawdziłem numer. Dzwoniła do szpitala w Charing Cross na oddział chirurgii.

— Dobrze, Jones. — Parker zamknął drzwi. Zwrócił się do Alexa. — Teraz będziesz musiał skupić wszystkie siły mózgu i wyobraźni. Myślę, że przejdziemy chyba do salonu. Nie wolno nam jej tu przesłuchiwać. Przejdź do salonu, a ja sam po nią pójde.

— Dobrze — powiedział Alex i podniósł się. Wyszli do sieni. Parker ciężkim krokiem skręcił na schody. Idąc ku drzwiom salonu, Alex słyszał jeszcze jego kroki cichnące za

zakrętem schodów... „Zaraz zobaczy nad głową napis — pomyślał — «Czcij Boga pod tym dachem...» Ktoś wystąpił jednak przeciw przykazaniom Boga i ludzi i zamordował niewinnego człowieka.

by dach ten runął mu na głowę”. — Otworzył drzwi do salonu. Było tu cicho, słonecznie i pogodnie. Promienie wpadające przez odsunięte firanki barwiły wesoło różowe rokokowe foteliki i wyblakłe już nieco obicia ścian, o wzorze i barwie identycznej jak ta, którą miały meble. W fantazyjnie wygiętym, wielkim złotym lustrze Alex zobaczył swoją twarz, bladą, ze śladami

nie zgolonego zarostu, który już zaczynał przebijać skórę. Drzwi biblioteki były otwarte. Cztery ciemne klubowe fotele wokół niskiego stołu. Półki z książkami. Dwa wielkie globusy pod oknem. Jeden ukazywał świat widziany okiem siedemnastowiecznego geografa. Na drugim były ciała niebieskie połączone liniami, które tworzyły rysunki zwierząt i osób. Nazwy gwiazdozbiorów. Wielka Niedźwiedzica trzymała w łapach tarczę, na której widniał napis: ORBIS CAELESTIS TYPUS. OPUS a M. CORNELLI. Lutetie Parisiorum. Anno MDCXCIII... Dzieło Marka Cornellego...

Ludzie tworzą dzieła... Dzieło Iana

Drummonda... Powiedział przed śmiercią: „Za dwadzieścia lat cała sprawa będzie przestarzała i przyjdą nowe, udoskonalone metody i pomysły, o których nam się dziś nie śni...”

Czy warto? Czy warto demaskować zabójcę?... Nawet jeżeli kochało się zamordowanego jak brata? Zabójca żyje, lęka się, cierpi... Zabójca chce żyć... Ale Ian Drummond też chciał żyć.

Ian Drummond mógł żyć długie lata i umrzeć tu spokojnie jako stary, mądry człowiek, dobry

i kochany przez młodszych, których by uczył... Ian był dobry, Ian był uczciwy. A zabójca? Zabójca był wyrachowany: poświęcił życie Iana Drummonda dla

własnego szczęścia. I chociaż nic nie wskrzesi Iana Drummonda, zabójca musi być ukarany. Chociażby dlatego, że chciał pogrążyć innego człowieka i chciał, żeby ten inny człowiek odpowiadał za jego zbrodnię. Zabójca chciał pozbyć się przeszkód na swojej drodze.

Odwrócił głowę, bo drzwi się otwarły i weszła Sara Drummond, a za nią Parker. Alex skłonił się jej w milczeniu. Odpowiedziała ledwie dostrzegalnym ruchem głowy. Ubrana była w prostą szarą sukienkę. Twarz miała spokojną, ale widać było na niej ślady łez i nie przespanej nocy.

— Uprzedziłem panią, że jesteś

moim współpracownikiem —
powiedział Parker. —

Ale chciałbym wyjaśnić, że pan Alex nie jest w żadnym stopniu związany z policją. Czy pani zgadza się, żeby był obecny podczas naszej rozmowy?

— Tak — Sara Drummond pochyliła głowę. — Nie mam nic do ukrycia. Każdy może być obecny przy mojej rozmowie z panem. Niech panowie usiądą.

Zajęła miejsce w fotelu. Usiadła prosto i złożyła ręce na kolanach. Alex spojrzał na nią z bliska i zobaczył kobietę zmęczoną, złamaną i niemłodą. Jakże inna była jeszcze przed dwudziestu czterema godzinami... „Oto

jestem... — pomyślał. — Zadany cios i czyn spełniony”.

— Słucham — powiedziała Sara Drummond. — Czego panowie życzą sobie ode mnie? Mogę odpowiedzieć na każde pytanie, panie inspektorze. Proszę się nie krępować niczym.

„Otwarcie i bez lęku — myślał Alex dalej — powiem wam, jak zginął...” — Nie. Ona tego nie powie.

— Proszę pani... — Parker chrząknął i umilkł. Ale potem podjął z wyraźnym wysiłkiem: — I pan Alex, i ja wiemy o... o rodzaju znajomości pani z panem Sparrow. Wiemy, o czym mówiliście państwo wczoraj w parku... Nie chcę do tego powracać. Chciałbym

pani zadać tylko kilka rzeczowych pytań. Istnieją pewne okoliczności, w których muszę je zadać. Chciałbym, żeby mi pani przede wszystkim powiedziała, co pani robiła wczoraj od chwili powrotu z parku. Która była godzina wtedy.

— Więc on panom to wszystko opowiedział — Sara skinęła głową, jakby potakując jakiejś nie znanej im myśli. — Co robiłam po powrocie z parku? Po wejściu do domu poszłam do gabinetu Iana i byłam tam mniej więcej piętnaście minut.

— Czy można wiedzieć, w jakim celu weszła tam pani? — Mąż pracował wtedy, prawda?

— Tak, pracował. Dlaczego tam

weszłam? Przyszłam do gabinetu Iana w obawie, aby Sparrow nie wszedł tam, zanim nie przejdzie mu wzburzenie. Opuścił mnie nagle, kiedy siedzieliśmy na ławce, i odszedł. Szukałam go po całym parku. Nie znalazłam.. Przyszło mi do głowy, że najlepiej będzie, jeżeli do chwili zamknięcia drzwi i powrotu wszystkich domowników będę przy Ianie. Sparrow obiecał mi, że nie powie mu o... o wszystkim, a tylko porozmawia z nim o swoim wyjeździe. Chciał dziś wyjechać stąd, a potem pojechać do Ameryki. Wiecie to panowie od niego?

— Tak.

— Chciałam jak najdłużej odwlec

chwilę ich rozmowy. Wiedziałam, że przy mnie Sparrow nie odważy się powiedzieć ani słowa o sobie i o mnie. I wiedziałam, że kiedy ochłonie, także tego nie powie. Bałam się tych pierwszych minut. Odszedł ode mnie bardzo zdenerwowany... Ian pracował. Powiedział, że rano chce się wybrać na ryby z panem, bo jest bardzo zmęczony. Zapytał mnie, czybym nie popłynęła razem z wami. Zgodziłam się. Przyjechałam tu wczoraj bardzo szczęśliwa. Ale żeby pan zrozumiał... Mając lat szesnaście tańczyłam w music-hallu. Każdy wie, co to jest za życie. Musiałam walczyć na całej długiej drodze do tego stanowiska na

scenie, które zajmuję teraz. A trzeba było walczyć wszystkimi sposobami. Mężczyźni w moim życiu znaczyli i niewiele, i bardzo wiele. Byli mi potrzebni i ja im byłam potrzebna. Ale oni byli mi potrzebni do pokonywania przeszkód w życiu, a ja im, bo byłam młoda i podobno ładna. Poznałam Iana mając trzydzieści jeden lat. Mówię to, bo chcę, żeby pan poznał całą prawdę. Nie kochałam go, kiedy wychodziłam za niego za mąż... — powiedziała to spokojnym, matowym głosem. — Oczywiście mówiłam mu, że go kocham, bo to mówi każda kobieta każdemu mężczyźnie, za którego wychodzi. Ale Ian był mi

wtedy po prostu potrzebny. Nie tak potrzebny jak tamci poprzedni mężczyźni, ale inaczej. Byłam już znaną aktorką, byłam sławna. Teraz należało zdobyć odpowiednią pozycję społeczną. Od roku już wiedziałam, że wyjdę za każdego sympatycznego mężczyznę, który będzie miał odpowiednie warunki towarzyskie. Chciałam już mieć dom, męża

i stać się szanowaną osobą. Zresztą nie byłam pierwszą aktorką, która tak zrobiła. Mogłabym wymienić ich kilka w samym Londynie. W ludziach takich jak ja, którzy walczyli dzień i noc, żeby wejść po wszystkich szczeblach tej piekielnej drabiny, jest nieustanna chęć

zabezpieczenia się
na jej szczycie. Chciałam tego
wszystkiego: chciałam mieć starą
posiadłość rodzinną, stare rodowe
nazwisko, chciałam, żeby mój mąż był
kimś znanym i szanowanym do tego
stopnia, żebym mogła zmienić nazwisko
sceniczne i występować pod jego
nazwiskiem, Ian odpowiadał tym
wszystkim warunkom, a poza tym
zakochał się we mnie. Zresztą zrobiłam
wszystko, co w ludzkiej mocy,
żeby to nastąpiło. A potem pobraliśmy
się. Myślałam, że od tej chwili zmeni
się całe moje życie. Zmieniło się, to
prawda. Ale Ian miał swoją absorbującą
go pracę, ja moją, a za sobą całe moje

życie. Zawsze lubiłam podporządkowywać sobie mężczyzn. Gdybym kochała Iana od pierwszego wejrzenia, może przestałabym o tym myśleć. Nie wiem. Ale było inaczej. Żyłam nadal sama w Londynie i odwiedzałam go tylko albo on mnie. Planowaliśmy ciągle wspólną podróż, ale nic z tego nie wychodziło, bo albo on nie miał czasu, albo ja... Ian wierzył mi bezgranicznie. Ale przed nim wierzyli mi i inni. Nigdy nie mogłam zrozumieć, dlaczego wierność człowieka wobec człowieka ma być rozumiana tylko w pewien ograniczony sposób. Wydawało mi się, że urodziłam się bez tej

konieczności. Nie byłam wierna Ianowi. Spotkałam tu Sparrowa. Jego i jego piękną żonę. Była tak piękna i tak przytłaczająco królewska, a on tak pełen zasad, że... Ale to nie tylko to. Wydaje mi się, że już wtedy zaczęłam coraz bardziej lubić Iana. To miało być, może, jakimś antidotum. Całe życie broniłam się przed miłością. Bałam się. Bałam się każdej słabości ludzkiej. Ciągłe musiałam być silna. To potem nie przechodzi tak łatwo. Ja nie chciałam kochać nikogo... Czy pan mnie rozumie?

— Patrzyła z niepokojem na Alexa.

— Tak — powiedział niespodziewanie Parker. — Wszystko to jest zupełnie zrozumiałe. — Umilkł.

— Co ja mówiłam?... Tak... Sparrow dawał mi równowagę. Był tu. Mogłam patrzeć na nich obu przy stole i myśleć, że panuję nad nimi. Lucja nic nie wiedziała, a Ian także niczego się nie domyślał... Byłam panią siebie. Miałam już wszystko, czego w życiu chciałam, i nie zapłaciłam za to. Tak mi się przynajmniej wydawało, bo później zrozumiałam, że właśnie brakowało mi najważniejszego: miłości. Sama nie wiem, jak pokochałam Iana. Stało się to niedawno. A może nawet trochę wcześniej, niż sobie z tego zdaję sprawę... Ale w końcu zrozumiałam, że jest mi drogi, że jest nie tylko moim mężem,

ale jedynym człowiekiem, którego kocham i któremu chcę być wierna, bo nie chce już nikogo innego. To była wielka radość, bo zrozumiałam, że taką wierność mogę przyjąć. Taka wierność jest prawdziwa, bo nie wynika z żadnego zakazu

ani przykazania, ale z pragnienia wyłączności... Wtedy Sparrow i nie tylko Sparrow... musieli zniknąć... — Urwała. Jej spokojny, cichy głos jeszcze przez chwilę brzmiał im w uszach. —

Ale Sparrow nie chciał zniknąć — powiedziała nagle. — Nie tylko nie chciał, ale dopiero wtedy zaczął pragnąć, abym rzuciła Iana, a on Lucy. To było przerażające. Nie wiedziałam,

co zrobić. Zwlekałam, oszukiwałam go, wreszcie postanowiłam zrobić z tym koniec. Kiedy napisał do Londynu, prosząc o widzenie, przyjechałam tu i powiedziałam mu wczoraj, że musimy o sobie zapomnieć. Zniósł to z trudem, a potem zniknął mi w ciemności. Byłam oszalała ze strachu. Jestem aktorką i umiem się opanowywać bardziej, niż wydawałoby się to możliwe. Weszłam do gabinetu Iana i siedziałam, szczebiocząc i słuchając, czy on nie nadchodzi. Wreszcie doszłam do wniosku, że już wrócił, do domu. Wstałam i poszłam na górę. Przez drzwi garderoby usłyszałam jego głos w pokoju Lucy. Zaczęłam wierzyć, że

nie powie Ianowi o niczym. Bałam się tylko ich decydującej rozmowy. Kiedy Sparrow przyjdzie do Iana i powie mu, że zrywa z nim współpracę, wtedy Ian będzie go pytał. Będzie zaskoczony, może nawet będzie mu robił wyrzuty. A wtedy... Bałam się zasad Sparrowa. Są takie zasady na świecie, które robią więcej złego niż ich brak. Może będzie chciał powiedzieć prawdę? Oczyszczyć się przed przyjacielem? Ian zrozumiałby go, ale nigdy nie zrozumiałby mnie. Nawet gdyby mi przebaczył, szczęście nasze byłoby pogrzebane. Zaczęłam żałować, że nie zabiłam Sparrowa w parku! — Urwała. — Tak! — powiedziała. — Chcę mówić

całą prawdę: żałowałam tego. Ale już było za późno. Musiałam czekać na rezultat ich rozmowy. Przed jedenastą weszła do mnie Lucy, prosząc o maszynę do pisania. Dałam jej tę maszynę. Najwyraźniej nie wiedziała o niczym. To był dobry znak. Sparrow prosiłby ją najpierw

o przebaczenie. Znam mężczyzn. Oczywiście, uzyskałby je, bo ona go kocha nad życie... Ale ja?... Czekałam dalej... Ian nie wracał chociaż obiecał, że wróci wcześniej... Powiedziałam mu, że bardzo chcę, żeby przyszedł. Nie widzieliśmy się przecież cały tydzień... Podeszłam do drzwi, a potem wsunęłam się na palcach do garderoby. Z daleka

słyszałam głos Sparrowa. Potem płacz Lucy. Było już w pół do dwunastej... Cofnęłam się do siebie. Coś się działo... Ale co? Co on jej powiedział? Nigdy nie przypuszczałam, że Lucy jest zdolna do płaczu. Potem zdawało mi się, że Sparrow wyszedł z pokoju i schodzi po schodach. Uchyliłam swoje drzwi i starałam się zobaczyć, kto zszedł, ale nikogo nie zauważyłam. Bałam się zajrzeć do Lucy. Bałam się, że ona przyjdzie do mnie i zrobi mi scenę. Drżałam o moje życie z Ianem. Nerwy mnie zawiodły. Upadłam na łóżko i leżałam długo, czekając, że każdej chwili otworzą się drzwi i Ian wejdzie. Ale nie

otworzyły się. Kiedy spojrzałam na zegarek, było dwadzieścia pięć po dwunastej. Coś się musiało stać. Pomyślałam, że na pewno Sparrow powiedział mu wszystko i Ian siedzi na dole, trzyma głowę w rękach i jest sam ze swoją rozpaczą... Przez chwilę wahałam się... Zawsze w życiu wolałam przeczekiwać burzę i zjawiać się jak najpóźniej... Ale jego kochałam. Wiedziałam, że muszę zejść i bez względu na wszystko zmusić go, żeby został przy mnie. Byłam nawet gotowa powiedzieć, że Sparrow kłamie ohydnie, bo został przekupiony przez Hastingsa i chce wyjechać do Ameryki,

a nie ma uczciwego pretekstu do tego. Zdawało mi się, że to będzie najlepsze. Potrafiłabym patrzeć Sparrowowi prosto w twarz i pokazać mu drzwi jako oszczercy, Ian uwierzyłby mi chyba. Zeszłam i otworzyłam drzwi... A on siedział tam... z nożem w plecach... Był nieżywy... Wszystko było skończone na zawsze. Stałam tam i patrzyłam na niego. Nic już nie miało znaczenia. Pomyślałam o tym, że umierając nie wiedział o mnie nic złego. Tylko to, co najlepsze. Pocałowałam go w głowę i wyszłam. To już był koniec. Na górze pomyślałam, że na pewno ktoś go znajdzie i będę musiała wyjść z pokoju, i

rozmawiać... Chciałam się zabić, ale nie miałam na to siły.

A później i to przeszło. On nie żyje. Wszystko nie ma już najmniejszego znaczenia. — Rozłożyła ręce drobnym, bezsilnym gestem i odwróciła głowę ku oknu.

— A później nie wychodziła pani z pokoju aż do mego wejścia?

— Nie. W ogóle nie wychodziłam z pokoju do tej chwili.

— Wiedząc, że on jest tam na dole...? I że ktoś go zamordował?

— Ja wiedziałam, kto go zamordował.

— Kto?

— Ja... — powiedziała Sara

Drummond łamiącym się głosem. — Bez względu na to, kto wbił w niego ten nóż, ja jestem przyczyną jego śmierci.

I dopiero teraz ukryła twarz w rękach i zanosła się strasznym, spazmatycznym łkaniem.

Alex i inspektor czekali, spuściwszy oczy. Alex skubał bezsensownie koniec krawata. Powoli łkanie ucichło. Sara Drummond uniosła głowę.

— Przepraszam — powiedziała cicho. — Teraz będę już spokojna.

— Chciałbym tylko powiedzieć pani, że według wszelkiego prawdopodobieństwa, jeżeli w tej sprawie nie zachodzi zupełnie obłędne

powikłanie zjawisk, profesor Harold Sparrow nie zabił pani męża.

— Co? — powiedziała Sara. — Co? — i chwyciła rękami za poręcze krzesła, jakby bojąc się upaść.

— Ma on żelazne nieomal alibi. W chwili kiedy zabito Iana, rozmawiał z Robertem Hastingsem u siebie w pokoju.

— Więc kto zabił Iana? Kto, kto to zrobił?

— Jedyłą osobą, która miała możność to zrobić i miała jednocześnie powód, żeby to zrobić, jest niestety, jak dotychczas, pani — powiedział Ben Parker i pochylił głowę, jak gdyby chcąc uniknąć jej wzroku..

Ale Sara Drummond nie patrzyła na niego. Kiedy uniósł wzrok, spoglądała w okno, za którym widać było dziedziniec przed domem, a za jego krawędzią ogromne niebieskie morze.

— Tak... tak... — powiedziała nie odwracając oczu. — Zabiłam go...

— A czy będzie pani także gotowa opisać okoliczności zabójstwa?

— Tak... — Odwróciła wzrok od okna i spojrzała na niego pustymi, niewidzącymi oczami... — Tak... weszłam.. pisał list... — I nagle zaczęła recytować cicho martwym, głuchym głosem: — Uderzyłam raz po raz dwukrotnie, a on... dwa razy krzyknął i upadł nieżywy... A gdy leżał, zadałam

trzeci cios... ofiarny... w podzięcie Zeusowi... władcy państwa zmarłych...

Następne jej słowa były już tylko nieartykułowanym bełkotem.

XVI. Morderca Iana Drummonda, oczywiście.

Kiedy po godzinie przybyła karetka szpitalna i wsunięto do niej leżącą na noszach nieprzytomną Sarę Drummond, inspektor Parker westchnął ciężko i potarł dłonią nie ogolony podbródek. Stali

na dziedzińcu we troje: on, Lucja Sparrow i dyżurny policjant. Za szybą

oszkłonych drzwi wejściowych inspektor dostrzegł bladą twarz kucharki i pyzată, rumianą buzię Kate Sanders, obok której stał sierżant Jones. Karetka ruszyła cicho, wjechała na zakręt i po chwili zniknęła pomiędzy drzewami alei.

— Boże, Boże — szeptała ledwie dosłyszalnie Lucja Sparrow. Zakryła oczy dłonią. Potem opuściła dłoń i spojrzała na Parkera. — Nigdy, nigdy bym w to nie uwierzyła...

— Czy ona wyjdzie z tego? — zapytał inspektor.

— Nie wiem. Nie jestem psychiatrą. Ale obawiam się, że wyjdzie. To tylko chwilowy skutek wielkiego wstrząsu i

napięcia nerwów. Zaczęła bredzić, a potem zapadła w omdlenie. Po zastrzyku oddychała już równo i nie było żadnych niepokojących objawów. Ale chyba lepiej byłoby dla niej, gdyby... — Urwała. — Nie powinnam tak mówić, jestem lekarzem. Biedny Ian. Gdyby wiedział... gdyby tylko wiedział... — Uniosła ku inspektorowi szare, smutne oczy. — Pan był jego przyjacielem, zdaje się?

— Byłem — powiedział Parker.

— A ona... I nikt nie mógł temu zapobiec. Nikt. A kiedy obudzi się, sama wpadnie w rozpacz... Ona nie była taka zła, jak... jak by wskazywały na to fakty. To tylko brak moralności...

— Przyglądałem się pani podczas ostatniej godziny... — Inspektor skłonił się lekko. — Opiekowała się nią pani jak siostrą. Po tym wszystkim. Takich rzeczy nie widuje się często.

— A cóż miałam robić? — Lucja rozłożyła ręce. — Chory jest chorym, bez względu na wszystko, co lekarz o nim myśli.

— I, być może, skrzywdziła ją pani ratując.

— I tego nie wolno nam brać pod uwagę. Miałam obowiązek pomóc jej, a jestem na pewno ostatnim człowiekiem, który odważyłby się ją sądzić. Jestem stroną, nie sędzią. Ale jeżeli nawet skrzywdziła mnie, to przecież... —

wskazała dom — jego skrzywdziła jeszcze tysiąc kroć gorzej. On nie żyje. A my wszyscy musimy żyć dalej. Jutro mam operację. Inna tragedia. Inni ludzie. Poza tym mam moje życie do naprawienia. Harold... mój mąż leży u siebie w pokoju. Płakał. To było potwornym przejściem dla niego. Może nawet większym niż dla mnie?... Ian nie żyje, a ona go zabiła. Harold myśli, że jest powodem.. Nie rozumie życia. Pomimo wszystko jest naiwny. Teraz będzie długo, długo wracał do siebie po tym wstrząsie. Czeka mnie wiele pracy przy nim...

— Pani na pewno bardzo kocha

swojego męża? — powiedział inspektor, jak gdyby potakując jakiejś nie wypowiedzianej myśli.

— Nad życie — stwierdziła Lucja Sparrow, a ton jej głosu był taki, że Parker uwierzył jej od razu. — Nie musiałam nawet niczego mu przebaczać. Wolałabym umrzeć, niż go stracić. Myślę, że to nie była jego wina... To ona go opętała.

— Tak. Prawdopodobnie ma pani słuszność. Pan Sparrow na pewno wróci do siebie po tym wszystkim. Życzę tego pani. I nie tylko pani. To wielki uczoney. Po śmierci Drummonda spadł na niego cały ciężar odpowiedzialności za dokończenie ich wspólnej pracy.

— Harold dokona tego! — Uniosła swoją królewską, jasną głowę. — Odzyska siły i dokona tego wszystkiego, co mieli zrobić razem.

— Kiedy pragniecie państwo stąd wyjechać?

Lucja spojrzała na zegarek.

— Jest dziesiąta. Za godzinę chciałabym wyjechać. Chcę opuścić Sunshine Manor na zawsze... — zawahała się i nagle powiedziała z naciskiem: — Nie pozwolę, aby Harold kiedykolwiek nawet przejechał przez te okolice. Ten kawałek świata musimy pozostawić za sobą... i wszystkie wspomnienia stąd! — Jak gdyby zawstydzona tym wybuchem, spojrzała

raz jeszcze na zegarek. — Muszę już iść.
On jest tam sam.

Parker uklonił się jej w milczeniu.
Odeszła. Patrzył na nią, gdy wstępowała
na stopnie tarasu
i zbliżała się ku drzwiom wejściowym
— królewska, spokojna i jasnowłosa,
obojętna wobec ciekawych oczu służby,
jak gdyby cały brud świata musiał
spłynąć do stóp jej wyprostowanej
sylwetki. W progu natknęła się na
wychodzącego z domu człowieka, który
ustąpił na bok
i przepuścił ją z lekkim ukłonem.
Inspektor uniósł brwi.

— Gdzie byłeś, Joe? — zapytał,
kiedy Alex zbliżył się do niego. — Już

od pół godziny rozglądam się za tobą.

— Pisałem przez parę minut — powiedział Alex z rozbijającą szczerością. — Czy... czy zabrali ją?

— Tak. Dostała zastrzyk nasenny i zabrali ją do szpitala.

— Czy jest pod konwojem policyjnym?

— Tak.

— Ale nie jest obłąkana?

— Doktor Lucja Sparrow twierdzi, że nie. Lekarz szpitalny także był dobrej myśli. Prawdopodobnie wyjdzie z tego i będzie zupełnie normalna... Joe?

— Tak? — powiedział Alex.

— Zawsze byłem wobec ciebie szczery. Teraz też chcę być. Nie wierzę,

żebyś w kilkanaście godzin po śmierci Iana mógł zajmować się w tym piekle swoim pisaniem. Co się stało?

— Nic — mruknął Alex. — Notowałem tylko pewne moje spostrzeżenia. Prosiłeś mnie w czasie przesłuchań, żebym nie zabierał głosu i nie mącił ci wizji. Ale już jest po wszystkim. Czy chciałbyś mnie wysłuchać?

— A ty mnie? — zapytał niespodziewanie Parker.

— Ja?... Tak.

— To chodźmy do gabinetu Iana...

— Dobrze.

Ruszyli ku domowi. Sierżant Jones nadal dyżurował w sieni. Parker

zauważył, że kiedy pojawił się w drzwiach, panna Kate Sanders natychmiast zajęła się gorliwie polerowaniem płyty kominka.

— Czy mój posterunek tutaj jest zdjęty, szefie?

— A czy mówiłem coś podobnego?

— Nie. Ale przecież...

— Za chwilę... — powiedział Parker i wszedł za Alexem do gabinetu. Kiedy zamknęli za sobą drzwi, Alex odwrócił się na pięcie.

— Czy możesz wydać rozkaz, aby nikt z domowników nie opuszczał domu?

— Kogo masz na myśli?

— Wszystkich. Ale pomiędzy nimi mordercę Iana Drummonda, oczywiście!

Parker skinął głową.

— Więc i ty tak myślisz... Ale dowody... Nie mam dowodów... Nie mogę przecież...

— Zaczekaj — Joe uniósł rękę. — Powiedzieliśmy, że nie opuścimy tego domu bez zabójcy Iana. Czy możemy pozwolić, żeby zabójca opuścił ten dom bez nas?

— Nie wiem — Parker zagryzł wargi. — Boję się, że nie będę go mógł powstrzymać. Nie mam nic, co by mogło stworzyć akt oskarżenia...

— Wydadz rozkaz... — mruknął Alex — a wtedy może coś się uda zrobić.

Parker podszedł do drzwi i uchylił je.

— Jones!

— Tak, szefie?

— Niech nikt nie opuszcza tego domu pod żadnym pozorem, dopóki nie zezwolę na to ja sam osobiście. Powiedz to także ludziom w ogrodzie. Ani jedna osoba stąd nie wyjdzie.

— Tak, szefie... — powiedział Jones z wyraźną nutką zdumienia, którą Alex uchwycił, chociaż siedząc w krześle nie mógł widzieć jego twarzy. Parker zamknął drzwi i powrócił do stolika.

— Czy wiesz, kto zabił Iana? — zapytał krótko.

— Tak. Wiem. A ty?

— Ja także. To znaczy... Czy mógłbyś mi udowodnić, kto zabił Iana?

Bo ja...

— Zrobimy to razem — powiedział Alex. — Zaczniemy od początku. W chwili zabójstwa było w domu osiem osób:

1. Joe Alex,
2. Malachi Lenehan,
3. Kate Sanders,
4. Robert Hastings,
5. Filip Davis,
6. Sara Drummond,
7. Harold Sparrow,
8. Lucja Sparrow.

Zaczniemy od osoby numer jeden: Joe Alex. Czy masz dla mnie jakieś

alibi?

Parker otworzył notes:

a) Nie mogłeś napisać listu na maszynie Remington Sary Drummond, bo przed dwoma tygodniami nie było cię w Sunshine Manor,

b) nie mogłeś ukraść noża, wisiorka i rękawiczek gumowych Lucji Sparrow, bo do kolacji obie kobiety były w swoich pokojach, a ty tam nie wchodziłeś. Na kolację zszedłeś pierwszy, razem z Filipem Davisem, który nawet cię wyprzedził, bo już tam był, kiedy wszedłeś. Po kolacji nie wchodziłeś na górę, tylko wyszedłeś do parku. Z parku wróciłeś ostatni. Obie kobiety były już

u siebie. Kiedy Lucy weszła do Sary po maszynę, miałbyś jedyną okazję wejścia do jej pokoju.

Ale nie mogłeś o tym wiedzieć, bo Lucy weszła do pokoju Sary przez garderobę, to znaczy

nie wychodząc na korytarz. Później, kiedy przyszła do ciebie po papier, nie wchodziła, zamknęła drzwi i zapukała do Filipa Davisa, nie wchodząc także. Wobec tego dostrzegłaby cię z korytarza, gdybyś pragnął wejść do niej. Sara była przez cały czas u siebie. Lucy także powróciła do siebie. Nie miałeś więc szans zabrania przedmiotów, które znaleziono przy Ianie, i nie miałeś szansy zabicia go nożem Lucy Sparrow.

Poza tym:

c) nie miałeś najmniejszego powodu, żeby zabijać Iana Drummonda. Na szczęście znam cię tak długo, że wiem o niepodobieństwie przekupienia ciebie przez kogoś z zewnątrz. Wiem także, że byłeś jego prawdziwym przyjacielem. Nie mógłbyś go zamordować w ten sposób. W żaden sposób. Twoje alibi jest rzeczowe i emocjonalne. Nie miałeś ani możliwości, ani motywu zabójstwa. Skreślam ciebie.

— Drugą osobą jest Malachi Lenehan — powiedział Alex.

— Tak, pomijając ohydny nonsens tego podejrzenia i przypuszczenie, że ten przyjaciel rodziny Drummondów, który

pamięta trzy ich pokolenia i kochał Iana jak syna, mógł go zabić skrytobójczo, Malachi ma alibi. Nie miał nawet teoretycznej okazji podrzucenia pokrwawionej rękawiczki pod szafę i ukradzenia wisiora. Jedno pytanie: czy widziałeś ten drugi nóż, kiedy walizkę przyniesiono na kort tenisowy?

— Tak — Alex skinął głową. — Myślę, że wszyscy tam obecni go widzieli, bo skupiliśmy się wokół Lucji Sparrow, a walizka w pewnej chwili stała się ośrodkiem zainteresowania.

— Więc Malachi nie miał szansy ukradzenia noża także. Z tych samych przyczyn co ty. Skreślam go.

— Trzecią osobą jest Kate

Sanders... — powiedział Alex.

— Tak. Jeżeli chodzi o tę panienkę, to jej alibi ma tylko jeden mocny punkt. Nie miała żadnej szansy podrzucenia pokrwawionej rękawiczki pod szafę i drugiej do szafy. Mogła to zrobić tylko wtedy, kiedy Sara Drummond zeszła o pół do pierwszej na dół i weszła do gabinetu. Ale na to Kate Sanders musiałaby być fenomenem natury. Musiałaby przewidzieć przyszłość, to znaczy wiedzieć, że po północy, w półtorej godziny po zbrodni, Sara zejdzie na dół i nie narobi alarmu, co wydaje się przecież rzeczą nieprawdopodobną. Wówczas Kate Sanders, wiedząc to, mogłaby popędzić

jak błyskawica na górę, wpaść do pokoju Sary i przez ten pokój do garderoby, zrobić swoje, a potem wyjść i nie spotkać Sary, schodząc w dół. Zważywszy fakt, że gdyby Kate Sanders była mordercą, nie mogłaby nawet przypuścić, że ktoś wchodzący nie zechce wszcząć alarmu (a nie wszczął go nikt z nich, poza tobą!), co oczywiście uniemożliwiłoby jej wejście na górę i ułożenie rzeczy. Poza tym musiałaby, zamiast udać się do pokoiów służbowych w suterenie, przebywać po zbrodni półtorej godziny w okolicy gabinetu i — nie zrażając się tym, że był tam Filip o 11.15, Sparrow o 11.40, Hastings o 12.10 i żaden z nich

nie obudził całego domu! — musiałyby czekać właśnie na Sarę i wykonać całą tę karkołomną operację. To jest tak nieprawdopodobne, jak nieprawdopodobne jest, żeby tak głupiutka pokojówka o pyzatej buzi była wyrafinowanym mordercą, pragnącym zwalić winę na Lucy Sparrow. Skreślam ją, bo wszystko to razem nie ma najmniejszego sensu.

Urwał i zastukał ołówkiem w notes.

— Specjalnie omijam tu wszystkie twoje możliwe wypowiedzi i korektury, bo od pierwszej chwili postanowiłem wykluczyć te trzy osoby, jako nie mające ani możliwości, ani żadnego powodu do zamordowania Iana Drummonda. Czy

zgadzasz się ze mną?

— Najzupełniej. — Alex kiwnął głową. — Pozostaje nam więc pięć osób, spośród których musimy wyłonić zabójcę. Teraz nadchodzi profesor Robert Hastings. Czy masz dla niego alibi?

— Tak. Pełne, nie zwalczone niczym, o ile, oczywiście, nie zamordowali Iana wspólnie:

on, Harold Sparrow i Lucja Sparrow, co jest zupełnym absurdem. Od 10.40 do 11.20 rozmawiał

ze Sparrowem, co nie daje mu szansy zabicia Iana, bo Ian musiał zginąć w czasie tej rozmowy. Poza tym, po cóż by wracał? Po dokumenty z kasy? Więc

dlaczego tak głupio wdepnął w krew, która była rozlana z innej strony stołu? Jak i kiedy miałby szansę ukradzenia wisiorka i rękawiczek, a potem wepchnięcia jednej rękawiczki pod szafę, a drugiej do szafy pomiędzy rzeczy Lucy? Lucy miała wisiorek przy kolacji i odeszła z nim na górę. Hastings wyszedł do parku. Kiedy wrócił, Lucy była u siebie i Sara była u siebie. Potem ma alibi, bo rozmawiał z jej mężem, kiedy nie było jej w pokoju. Później musiałby w jakiś magiczny sposób dostać się do garderoby, nie widziany przez obie, zajmujące dwa pokoje po obu jej stronach, kobiety. Nie. Hastings nie mógł zrobić nic

z tego. A poza tym wszystkim: nie było go w ogóle w Anglii, gdy morderca napisał list

na maszynie Sary Drummond. To decyduje. Alibi jego jest wszechstronne i nieodwołalne. Skreślam go.

— Tak. — Alex przytaknął głową.
— Teraz Filip Davis. Numer 5.

— Właśnie. Co do Davisa, byłem w dużym kłopotcie. On mógł to zrobić. Wszedł do Iana

w czasie, gdy Ian mógł być zamordowany, i nie ma powodu, aby dawać wiarę jego słowom,

że zastał już trupa. Ale abstrahując od motywu, którego chyba nie miał, bo Drummond prawdopodobnie pożyczylby

mu pieniędzy, to morderstwo popełnione jest przecież z premedytacją i Filip musiałby iść po pożyczkę, mając w kieszeni nóż, wisiołek i rękawiczki. Ze strony Filipa Davisa, szachisty, człowieka umiającego wyliczyć na wiele ruchów naprzód posunięcie przeciwnika, obawiałem się jakiegoś podstępu. Ale on na pewno nie mógł ukraść noża

i rękawiczek, bo Lucja wychodząc poszła właśnie do niego. Kiedy stała przedtem przed twoimi drzwiami, także by go zobaczyła, bo musiałby przejść obok niej, chcąc się dostać do jej pokoju. Potem wróciła do siebie, a Sara, zważywszy, że przy tym rozwiązaniu nie

ona, lecz on jest mordercą, nie opuszczała w ogóle pokoju do 12.30. A jak mógłby później podrzucić rękawiczki? Kiedy? Poza tym musiałyby zaplanować ten mord przed dwoma tygodniami, pisząc list, a przecież, gdyby Sparrow pożyczył mu pieniędzy, cała jego wędrówka po domu i zejście do Drummonda byłyby zupełnie nie usprawiedliwione. A dlaczego miałyby obciążać Lucy Sparrow, o której pisze w tajemnicy listy do siostry, że ją kocha? Dlaczego miałyby to robić wiedząc w dodatku, że Lucy ma chorą rękę i być może nawet naderwany mięsień, co dawałoby jej niezłomne alibi? A poza tym zupełny brak motywu.

Filip nie musiał przecież ohydnie mordować Iana, żeby wyjechać do Ameryki. Mógł podziękować za pracę i odejść. Znając Iana, wiedział na pewno tak dobrze jak my, że dałby mu on jeszcze na drogę list polecający i jak najlepszą opinię. Więc co? Filip ma alibi rzeczowe. Nie mógł w żaden sposób ukraść noża i rękawiczek i nie mógł także wsunąć ich tam, gdzie je znaleziono. Te rękawiczki rozwiązują nam bardzo wiele problemów. Jak gdyby morderca umyślnie je tam wsunął nie po to, aby obciążyć kogoś, ale aby wyizolować ludzi, którzy nie mogli brać w tym udziału. Żeby mieć zresztą spokojne sumienie, zatelefonowałem

godzinę temu

do Londynu, aby sprawdzili, jak ma się sprawa z tym bratem Davisa. To prawda. Nie mogę więc nie wierzyć w motywy jego postępowania tej nocy. Zresztą po co schodziłby później o pierwszej? Po co zostawiłby ślady swojej bytności? Po co przyznawałby się, że widział Iana o 11.15? Nie. Davis nie mógł tego zrobić. Skreślałam go.

Alex przytaknął.

— Harold Sparrow, numer sześć — powiedział.

— Tak. Przede wszystkim: nie mógł zabić Iana, bo rozmawiał w tym czasie z Hastingsem. Chwilę przedtem rozmawiał z Filipem, a po rozmowie z

Hastingsem mówił dwadzieścia minut z żoną. Jego alibi rozciąga się więc o wiele szerzej, niż musiałyby nawet. Po cóż by schodził później na dół i dotykał dwoma palcami noża, na którym poprzednio nie zostawił żadnych odcisków? On miał powód do zabicia Iana. Miał także powód do obciążenia Lucy tym mordem. Ale po prostu nie miał kiedy zabić. Profesor Hastings jest jego tarczą i nic tej tarczy nie przebije. A zważywszy fakt, że morderstwo zostało dokonane najprawdopodobniej dwie, trzy minuty przed jedenastą, to jego własna żona Lucy jest mu najlepszym alibi, bo była wówczas na korytarzu. Skreślam go, skreślam, bo

muszę.

— Zgoda — powiedział Alex.. —
Sara Drummond. Numer siedem.

— Tak. Sara Drummond mogła zabić
Iana. Wiemy tylko, co robiła o 10.45, bo
wówczas Lucy przysłała do niej po
maszynę. Później, do chwili mojego
przybycia, nikt jej nie widział.
Zostawiła tylko ślady swojej bytności u
Iana o godzinie 12.30. Jej odciski
palców muszą pochodzić mniej więcej z
tego okresu, bo o 12.10 Hastings wytarł
klamkę do czysta, a o pierwszej ty
zszedłeś

na dół, a Filip jeszcze na kilka chwil
przed tobą. To wszystko, co wiemy.
Poza tym miała ona powód, żeby zabić

Iana...

— Chwileczkę... — powiedział Alex. — Jaki powód?

— Jak to? Żeby się go pozbyć... bo... z powodu tego romansu ze Sparrowem.

— O ile wiem... — szepnął Alex — to chciała się pozbyć właśnie Sparrowa. I gdyby musiała kogoś zabić, to chyba raczej jego. To byłoby, poza tym, logiczne. Powiedziała nam zresztą, że żałowała tego. Tak, wierzę, że Sara Drummond mogłaby zabić Sparrowa z lęku, aby Ian nie dowiedział się o wszystkim. Ale zabijać Iana? A dlaczego? Pytanie „dlaczego” ma tu swój sens. Zbrodnia została popełniona z premedytacją, więc morderca musiał

mieć do niej silny
i niezwalczony powód, musiał działać
konsekwentnie, żeby osiągnąć cel,
którego warunkiem była śmierć Iana
Drummonda. Sparrow mógłby mieć taki
cel, zgoda. Nie mówiąc o jego miłości
do Sary, usunąłby w ostatnim stadium
prac swego współtowarzysza i
wykorzystałby w pewien nieunikniony
sposób dla siebie sukces, którego
autorami byli obaj. Ale niestety
Sparrow,
jak wiemy, nie mógł tego zrobić. Ale
Sara? Gdyby Sara chciała się pozbyć
Iana jako męża,
nie przyjechałaby po prostu już więcej z
Londynu i przysłałaby mu grzeczny list,

że ich małżeństwo jest błędem i prosi o rozwód. Wiedziała, że Ian dałby go jej natychmiast bez względu na to, jak by cierpiał, Ian był przyzwoitym człowiekiem i jego działania dawały się określić

w pewien sposób z góry. Jeżeli przypuścimy natomiast, że chciała się pozbyć Lucy Sparrow, to też nie ma sensu, bo gdyby tylko kiwnęła palcem, Harold Sparrow rzuciłby Lucy i odszedł od niej bez rozlewu krwi. Kobieta, która wygrywa, nie musi w ogóle popełniać zbrodni. Wystarczy, że odrzuci jednego mężczyznę, a weźmie drugiego. I Ian, i Lucy musieliby się z tym pogodzić.

To oni mogliby raczej chcieć zamordować Sarę. Jeżeli przypuścimy, że Sara działała pod nagłym impulsem rozmowy ze Sparrowem po kolacji: złąka się, że Sparrow powie wszystko Ianowi, zeszła na dół i zabiła Drummonda, aby sprawa nie wyszła na jaw, to wszystko nie ma wielkiego sensu. Po pierwsze, najlepszy argument znalazła sama Sara w rozmowie z nami. I ona myślała o tym, że Sparrow może wygadać się. Wówczas powiedziałyby, że to nieprawda. Pokazałyby Sparrowowi drzwi. Chociaż tobie ani mnie nie udałoby się to może, to jednak aktorka taka jak Sara Drummond mogłaby chyba

w samego Sparrowa wmówić, że mu się to wszystko śniło. Poza tym:

a) Dlaczego napisała ten list na swojej własnej maszynie?

b) Dlaczego tę maszynę pożyczyła na kilka minut przed zbrodnią osobie, którą chciała obciążyć, mogąc przypuszczać, że policja sprawdzi tę maszynę? Mogła ją przecież wyrzucić po napisaniu listu.

c) Dlaczego wybrała dzień, w którym Lucy miała chorą rękę i obciążając ją, wiedziała równocześnie o możliwym alibi?

d) Dlaczego później pozostawiła odciski palców, skoro nie pozostawiła ich na lancecie?

e) Dlaczego nie próbowała sobie

robić żadnego alibi po fakcie, ale wróciła do siebie i nie zajrzała nawet do Lucy?

f) Dlaczego się nie rozbierała, chociaż to rzucało na nią podejrzenie?

g) Dlaczego deklamuje przy kolacji o trzech ciosach, które potem zadaje Ianowi? Żeby się obciążyć? Dlaczego deklamowała mi to samo w samochodzie? Chyba po to, żebyśmy nie mieli najmniejszych wątpliwości, że to ona.

h) Dlaczego ta inteligentna kobieta bierze lancet Lucy, wisiołek Lucy, rękawiczki Lucy...

i wszystko to razem rozrzuca tak jawnie nieomal: przy trupie, w szafie, pod

szafą, żeby każdy policjant mógł to znaleźć bez trudu i żeby Lucy Sparrow stała się mordercą-głupcem, siejącym wokół siebie dowody swojej winy... i to dowody takie, jak „na przykład łańcuszek, które są dowodami za nią, a nie przeciw niej? I czyni to wszystko, żeby pozbyć się Lucy, o której godzinę wcześniej powiedziała Sparrowowi, że musi do niej wrócić. Lucy jest w tej sytuacji ratunkiem Sary. To żona, która ukoł w końcu Sparrowa. Może on do niej wrócić. Sparrow wyraźnie nam mówił, a twoje dochodzenia przed zabójstwem wykazały, że Sara już od dłuższego czasu nie utrzymuje bliższego kontaktu

ze Sparrowem. Sara chciała się od niego oderwać. Dlaczego więc miałyby przy tym zabijać swojego męża i obciążać tym absolutnie niewinną, o niczym na razie nie wiedzącą Lucy? Dlaczego? Dlaczego? Dlaczego? Nie mówię już o tym, że Sara Drummond nie jest człowiekiem wpadającym w panikę. Jechałem z nią samochodem i widziałem, jak hamowała przed stojącym na szosie dzieckiem. Wiedziała absolutnie o wszystkim, co się dokoła niej dzieje, nawet o tym, że przyglądałem się jej w tej chwili. Ta wielka aktorka ma błyskawiczny refleks i umiejętność

nie tracenia nerwów. Więc czy załamałaby się tak nagle po rozmowie ze Sparrowem? Do tego stopnia, że porwałaby w pośpiechu łańcuszek Lucy i jej nóż, a także rękawiczki, a potem zbiegłaby na dół i zabiłaby Iana? Bez potrzeby, zresztą... Bo co innego złamać komuś życie, a co innego zabić tego kogoś.

— Ale... niestety, Sara Drummond jest jedynym człowiekiem, jak dotąd, który mógł popełnić tę zbrodnię — powiedział Parker. — Jeżeli założymy, że to nie ona zabiła Iana... A niczego bardziej bym nie pragnął, chociaż Ianowi nie wróci już to życia... Niestety, pozostaje nam już tylko

jedna osoba i potem... cóż, możemy sprawdzać całą listę od nowa. A przecież gdzieś musi być luka.

— Lucja Sparrow — powiedział Alex. — Numer ósmy i ostatni.

— Tak — Parker zajrzał do notesu. — Pierwszą moją myślą, kiedy rozpocząłem przesłuchania, a nawet przedtem, było znalezienie człowieka, który miałby motyw zbrodni i nie miałby alibi. Otóż Lucja Sparrow nie ma żadnego motywu dla zamordowania Iana. W tym czworokącie małżeńskim mogłaby ona zabić Sarę, to byłoby aż nadto zrozumiałe jako motyw zbrodni. Mogłaby od biedy zabić Sparrowa, to także mieści się w

granicach wyobraźni. Ale Ian? Zabić Iana, którego jedyną winą wobec niej był fakt, że stał się on tak samo zdradzonym mężem, jak ona żoną? Nie. Mogłaby pójść do Iana i opowiedzieć mu o Sarze i Sparrowie. Ale ze wszystkich ludzi w tym domu, wyłączwszy służbę i ciebie, Lucja Sparrow miała najmniej powodów, żeby zabić Iana. Nie miała żadnego powodu.

— Lucja Sparrow miała powód — powiedział Alex spokojnie. — Spośród wszystkich ludzi w Sunshine Manor tylko ona mogła dokonać tego zabójstwa w ten właśnie sposób. A powód ten leży przede mną jak na patelni od chwili, gdy zacząłem

robić plan mojej książki.

XVII. „Powieм wam, jak zginął”

Jak to? — powiedział Parker i zamknął notes. — Co ma z tym wszystkim wspólnego twoja książka?

— Kiedy zacząłem wczoraj robić jej plan, odrzuciłem oczywiście wszystkie nonsensy z walką konkurencyjnych przemysłów. Zacząłem szukać motywu dla zabójcy. Miałem przed sobą jako modele tych samych ludzi... Ian był przecież tym, który miał zostać zamordowany... Okazało się, że przy badaniu motywów Lucy Sparrow może go zabić, ale pod warunkiem.

— Jakim? — zapytał Parker, który znowu zajrzał do swego notesu.

— POD WARUNKIEM, ŻE ZBRODNIA TA OBCIĄŻY SARĘ DRUMMOND. Ale zacznijmy od początku: Lucy zaczyna rozumieć, że Sparrow kocha Sarę. Nie było to zbyt trudne zważywszy, że Sparrow nie jest mistrzem zwodzenia kobiet. Sam słyszałem, kiedy Sparrow mówił w nocy do Sary o tym, że Lucy się na pewno domyśla. Lucy Sparrow zaczęła myśleć. Gdyby poszła do Iana i odkryła mu swoje wiadomości, Ian mógłby rzucić Sarę. Ale Sparrow byłby dla Lucy stracony na zawsze. Kochał Sarę. Nawet wczoraj, kiedy Sara

odrzucała go definitywnie, nie chciał powrócić do Lucy. Chciał wyjechać sam do Ameryki. A cóż dopiero, gdyby rozpoczęła tego rodzaju skandaliczne działania. Zresztą Lucy Sparrow nie należy do ludzi, którzy się skarżą, tak mi się przynajmniej wydaje. Gdyby zabiła Sarę, podejrzewania skierowałyby się przeciwko niej, bo była pierwszą osobą, której mogłoby zależeć na tej śmierci. Sparrow sam natychmiast by się w tym zorientował, nawet gdyby policja nie wpadła na trop zabójcy. A Lucy Sparrow nie miała zamiaru spędzić reszty życia w więzieniu. Natomiast z radością zobaczyłaby tam Sarę. I wtedy zrozumiała, że zabójstwo Iana

Drummonda jest dla niej nieodzowne, że nie pozostaje jej nic innego.

— Jak to? — zapytał znów Parker.
— Jak doszedłeś do tego?

— Bo tylko zabójstwo Iana, po którym Sara skazana byłaby jako zbrodniarz, rozwiązywało trzy ważne sprawy:

a) Pogroźałoby na zawsze Sarę. Lucja straciłaby za jednym zamachem rywalkę i zemściłaby się okropnie na najbardziej znienawidzonym człowieku.

b) Sparrow po takim ciosie wróciłby skruszony do niej i już nigdy nie pomyślałby bez drżenia o tym, co zrobił.

c) Sparrow i ona zyskaliby na tym

całą sławę i wszystko, co płynęło z badań ich obu. Byłoby to zupełnie naturalne po śmierci Drummonda. Sparrow, który nie był i nie jest człowiekiem formatu Iana, awansowałby nagle nieskończenie i wyzwoliłby się spod cienia indywidualności Iana, co było także ważne dla ich przyszłego życia. W końcu badania te prowadzili we dwóch, ale jak to się pisze w encyklopediach, po śmierci Drummonda ukończył je i ogłosił (czytaj: skorzystał na nich) Harold Sparrow. Przy tym Sparrow byłby najzupełniej niewinny i nieświadomy tego. Ale sądzę, że ten trzeci motyw był tylko dodatkowy. Lucja

kochała Sparrowa bardzo,
a nienawidziła Sary. Widziała tylko tę
jedną możliwość i skorzystała z niej.
Zresztą plan jej, poza paroma maleńkimi
potknięciami, był genialny.

1. Jako pierwszy krok napisała list na
maszynie Sary, podczas jej
nieobecności. List ten miał zwrócić
uwagę policji na życie mieszkańców
Sunshine Manor. Udało się to. Po paru
dniach wiedziałeś już, że Sara
Drummond i Harold Sparrow znajdują się
lepiej, niż powinni. To było bardzo
ważne dla Lucy, bo przecież mógłby
zajść taki przypadek, że policja nie
dowiedziałaby się o tym,
a ona sama nie mogłaby nic powiedzieć

policji, bo przecież musiała udawać, że nie ma pojęcia

o romansie Sary i jej męża. Wówczas cały plan byłby na nic, bo policja nie wiedziałaby, że Sara jest niewierną żoną, że ma kogoś innego, że może chcieć się pozbyć Iana i jej, biednej Lucy,

na którą rzuci poszlaki w formie łańcuszka, rękawiczek i noża. Poza tym maszyna wskazywałaby

w efekcie na Sarę. Czy zauważyłeś, że podczas śledztwa Lucy powiedziała o malutkim remingtonie Sary? To było bardzo zręczne. Wiedziała na pewno, że inspektor Scotland Yardu Parker ma ten list w kieszeni i ma zrobioną ekspertyzę

maszyny. Teraz chciała powiedzieć, że ta maszyna jest na górze, że to maszyna Sary. Ona sama, komunikując o tym, w pewien sposób zwalniała się od autorstwa listu, bo przecież nikt nie przypuściłby, że jest tak głupia, aby napisawszy list pomagać w odkryciu maszyny.

2. Drugim jej krokiem była ta udana kontuzja na korcie. Kontuzja potrzebna dla paru celów.

I tu należy ją podziwiać: celem tym nie było zdobycie alibi. Przeciwnie. Schodząc na przesłuchanie ze zdrową ręką, Lucy ściąga jak gdyby na siebie podejrzenie wiedząc, że wobec absurdu

podrzuconego łańcuszka i ten argument będzie na jej korzyść. Kontuzja była jej potrzebna

do pożyczenia maszyny od Sary, pożyczenia papieru ode mnie, a nade wszystko po to, aby Ian Drummond usiadł i napisał list dla niej. Zeszła przecież do niego pod jakimś pretekstem. Pretekstem tym był oczywiście list. Drummond, siedząc na dole, nie mógł wiedzieć, że przed chwilą pożyczyła na górze maszynę. Lucy weszła. Drummond nie pracował już. Poprosiła go, żeby nakreślił jej kilka słów na kartce, Ian odsunął pudełko, wziął kartkę i zaczął pisać... „Szanowny panie profe...” To mnie od

razu uderzyło, tak jak i ciebie, dlaczego Ian zaczął pisać pośród haczyków? Mógł to zrobić tylko na prośbę mordercy. Ale parę osób mogło go poprosić o taki list. Tylko nie Sara Drummond, jego żona, jak mi się wydaje. Kiedy na drugi dzień usłyszałem Jonesa, mówiącego, że Lucy dzwoniła do profesora w Londynie, zrozumiałem. Człowiek w takiej sytuacji jak Lucy myśli o drobiazgach w sposób uproszczony. Zresztą nie mogła prosić Iana, żeby napisał jej list do przyjaciółki. Zeszła i powiedziała, że ma parę słów do skreślenia do swojego szefa, a nie chce, żeby Sparrow o nich wiedział, na przykład. Nigdy się już nie

dowiemy, co powiedziała.

— Dlaczego? — zapytał Parker.

— Poczekaj... — Alex mówił dalej.

— Ta kontuzja służyła, poza tym, do ukazania noża chirurgicznego. Schodząc do nas ze zdrową już ręką zapobiegła ewentualnemu badaniu lekarskiemu, które stwierdziłoby, że ręka jest zdrowa. Po napisaniu listu do Scotland Yardu i minięciu pewnego czasu doszła do wniosku, że można już działać. Ale musiała zaczekać na Sarę, która była w Londynie. W dniu przyjazdu Sary włożyła rubinowy wisiorek, kontuzjowała sobie rękę, namówiwszy przedtem Sarę na grę w tenisa. Ukazała obecnym na korcie swoją walizeczkę

z nożem, a potem poszła do siebie i spokojnie czekała, kiedy może uderzyć. Wiedziała, że Ian zawsze pracuje sam do północy. Po dziesiątej przyszedł do niej Filip, który powiedział jej, że nie może znaleźć jej męża. Lucy od razu zrozumiała, że Sparrow jest w parku z Sarą i dlatego umknął chłopcu, który prosił go tuż po kolacji o spotkanie. To prawdopodobnie pchnęło ją do szybkiego działania. Nie wiedziała przecież, że ta sprawa wygasa, przynajmniej ze strony Sary. Zresztą nie sądzę, żeby ją ta wiadomość powstrzymała. Teraz ważne były dwa momenty: 1 — alibi dla Sparrowa i 2 — brak alibi dla Sary. O 10.45 Lucy

wchodzi do Sary i pożycza maszynę. Sara jest u siebie i nic nie wskazuje, żeby miała wyjść. Za minutę czy dwie Lucy puka do moich drzwi. Zauważ, że w tym samym momencie jej mąż rozmawia z Hastingsem, a Filip czeka na nią

u siebie w pokoju. Tak więc wie ona, gdzie są wszyscy ludzie, którzy mogliby zejść do Iana. Lucy Sparrow po odniesieniu maszyny do swego pokoju stała już przed moimi drzwiami z nożem ukrytym pod chustką, przytrzymującą jej rękę, a wisiołek i rękawiczki miała w kieszeni. Była gotowa. Kiedy moje drzwi zamknęły się, zbiegła na dół. Ale musiała mieć alibi, jakieś alibi, gdyby

ktoś ją zauważył wracającą, co nie było niemożliwe, bo mógł to zrobić na przykład Hastings wychodząc od Sparrowa. Biegnie więc do kredensu, nalewa sobie szklanę soku pomarańczowego i wraca. Stawia sok w ciemnej sieni na kominku. Wchodzi do Drummonda i ściskając nóż za chustką, mówi: „Ianie, napisz mi kilka słów do mojego profesora...” Ian oczywiście robi to...

Ale zaledwie napisał dwa słowa, Lucy uderza. Lucy śpieszy się. Jej alibi zbudowane jest na jej odwiedzinach w pokojach sąsiadów. Później nikt przecież nie będzie pamiętał, czy była parę minut wcześniej, czy później. I tu

omyliła się. Ja wiedziałem, że przyszła do mnie o 10.50, a Filip, który czekał i denerwował się, zauważył, że przyszła o 11.02-11.03. Czy nie zastanowiła cię odwaga mordercy, który zabił w domu pełnym ludzi, uderzając nożem w plecy? Tylko chirurg mógłby wiedzieć, gdzie uderzyć, żeby ofiara nie mogła się zerwać! Normalny człowiek nie zaryzykowałby nigdy takiej zbrodni. I tu wielka improwizacja zbrodniarza: Lucy bije trzy razy! Bo Sara recytowała i każdy o tym pamięta. Potem błyskawicznie rzuca swój zamknięty wisiołek na ziemię. Ręka, którą chowała pod chustką, była cały czas w gumowej rękawiczce. Teraz Lucy nie zdejmuje jej,

ale macza we krwi drugą rękawicę. Wszystko to odbywa się w ułamkach sekund. Lucy

ma przecież przy sobie papier maszynowy, który pożyczyła ode mnie. Zawija w ten papier pokrwawioną rękawiczkę i wychodzi, nie pozostawiając żadnych śladów. Biegnie na górę.

I tu błąd. Zapomniała o soku, który zostawiła na kominku. Nie można się jej zresztą dziwić.

W takiej chwili, tuż po zabójstwie. Ciemna sień. Pobiegła. Chciała być jak najdalej. Zresztą weszła nie widziana przez nikogo. Zostawiła rękawiczkę w garderobie i wyszła do Filipa. Potem

była już spokojna. Mogła rozmawiać ze Sparrowem, płakać i dowiadywać się, że w jego życiu jest ktoś inny. Podejrzewam, że wszczęła tę rozmowę naumyślnie, żeby przedłużyć mu czas alibi. Ale może chciała i sobie w ten sposób pomóc. Przecież kazała Filipowi zejść na dół i poprosić Drummonda o pieniądze. Filip powinien był to zrobić. Ale Filip nie narobił alarmu. Nie narobił go także Sparrow po zejściu i po powrocie. Więc Lucy czekała. Po trzech godzinach ktoś w końcu zawiadomił policję.

Plan był idealny. Gdyby padło na nią podejrzenie, jak musiało paść ze względu na nóż i wisiołek, to po

pierwsze, jak mówiłeś: dlaczego miałyby ona właśnie zabijać Iana? A jeżeli ona, to dlaczego siałaby wokół zabitego swoje rzeczy? Zabijać z premedytacją własnym nożem, który tyle osób widziało? Co za nonsens! A gdybyś nie zwrócił uwagi na łańcuszek, mogłaby to zrobić sama i zapytać cię, czy sądzisz, że zamknięte łańcuszki mogą spadać przy szamotaniu? Zbyt wiele było na nią skierowanych śladów, aby można ją było w ogóle podejrzewać. A poza tym istniała przecież Sara, żyjąca z jej mężem i pewnie nienawidząca jej? Najwyraźniej ktoś ją chciał obciążyć. A ona, dobra i wspaniałomyślna do granic rozpaczy,

przyznała się, że zabiła Iana! Czy rozumiesz

to genialne pociągnięcie?! Przyznała się, bo przecież chciała dać do zrozumienia, że osłania Sparrowa, któremu zrobiła najlepsze w świecie alibi. Nic to nie mogło kosztować, a od razu rozwiewało podejrzenia, bo nie umiała nawet znaleźć motywu zabójstwa. Oczywiście ten prawdziwy, ukryty motyw miał na wieki pozostać jej własnością. A później te piekielne rękawiczki, ukryte pozornie tak głupio w miejscu, do którego dostęp miały tylko one dwie:

Lucy

i Sara. Przecież gdyby Lucy zabiła, nie chowałyby ich tak nonsensownie?

Mogła to zrobić tylko Sara, oczywiście! Te rękawiczki stały się alibi dla wszystkich, prócz Sary... i Lucy, ale Lucy potrafiła się już wyizolować od podejrzeń. Nie miała powodu zabijać Drummonda, nie miała powodu, żeby obciążać siebie. A Sara miała powód, żeby go zabić i ją obciążyć tą zbrodnią. Od rana Lucy czekała, że wpadniemy na to. Zachowywała się niezwykle taktownie. Ale zauważ: o ile odkrycie, że Ian został zabity jej nożem, nie spowodowało żadnej widocznej reakcji, o tyle, kiedy powiedziałaś jej, że wisiołek został znaleziony we krwi obok zmarłego, przyznała się. Chciała nam w ten sposób

powiedzieć, że teraz nie ma już żadnych wątpliwości, że nie wie, które z nich to zrobiło, ale boi się, że to jej mąż, i kocha go tak bardzo, że woli zginąć, aby tylko on był szczęśliwy.

Ale Lucja Sparrow, dumna i spokojna, bóg sali operacyjnej, który wyleczył tak wielu, że może jednego zabić, rządząca się własnym prawem — popełniła parę błędów:

1. Podczas przesłuchania powiedziała, że brak noża w walizce zauważyłaby od razu, a później dodała, że dziś rano wkładała tam bandaż elastyczny. To znaczyło, że brak noża nie zaskoczył jej, chociaż pozornie nic o tym nie wiedziała. A mógł jej nie zaskoczyć

tylko wtedy, gdyby wiedziała, gdzie ten nóż jest: tkwił on wówczas w plecach Iana.

2. Wisiołek. Zwróciłem uwagę, że nosi go kolejno do dwu różnych sukien jednego dnia, co kobietom zdarza się bardzo rzadko. Wówczas pomyślałem, że nie dba po prostu o sprawy swojej urody, ale potem, kiedy wisiołek nabrał znaczenia, przemyślałem tę sprawę jeszcze raz. Chciała go nam wrazić w pamięć.

3. To ona powiedziała: „Sara ma malutkiego remingtona”, chociaż poprzedniego dnia mówiła mi, że nie zna się zupełnie na maszynach. Zresztą żadna

kobieta tak nie mówi o maszynie do pisania. Mówią po prostu: „Pożyczyłam maszynę do pisania”...

4. Szklanka. Tylko morderca mógł pozostawić tę szklankę. Żaden z idących później: Filip, Sparrow, Hastings, Sara, Filip i ja nie byliśmy w sytuacji, w której człowiek chce zejść po sok, a w każdym razie, może zeszlibyśmy tam po odwiedzeniu zdrowego Drummonda. Ale każdy z nas schodził, mając do niego interes. I każdy przekonywał się, że on nie żyje, więc później nie mógł po prostu iść po sok. A tylko morderca mógł pójść po sok, zostawić go na kominku, wejść do Iana, zabić go i zapomnieć o soku. Sara nie

potrzebowała tego rodzaju usprawiedliwienia w swoim własnym domu. Mogła zejść po cokolwiek. Nikt by się nawet tym nie zainteresował. Mogła pójść i wydać dyspozycje służbie. Wziąć sok po 10.30 mogła tylko Lucy, chora Lucy Sparrow, której mąż właśnie rozmawiał i nie chciała go odrywać od gościa. I tylko Lucy Sparrow powiedziała, że nie schodziła w ogóle. A zresztą po co zatrzymywałyby się i stawiała szklankę na kominku? Tylko po to, żeby po ciemku móc otworzyć drzwi gabinetu ręką w rękawiczce. Gdyby niosła szklankę w jednej ręce, musiałaby użyć drugiej do otwierania. A wtedy

musiałaby wypuścić nóż albo ukryć go gdzieś, skąd nie tak łatwo byłoby go wyciągnąć. Zresztą szklanka z sokiem zawadzałaby jej bardzo. A potem zapomniała o niej.

Ale brakowało mi jednego i dlatego wszedłem do jej pokoju, kiedy byliście na dole i pytałeś mnie, gdzie byłem. Poszedłem tam po kartkę spalonego papieru.

— Po co? — zapytał Parker i otarł pot z czoła. — Po co?

— Po kartkę papieru, w którą Lucy Sparrow zawinęła zakrwawioną rękawiczkę! W coś ją przecież musiała zawinać, żeby nie pobrudziła jej szlafroka. A potem musiała ją

natychmiast spalić, bo Filip po paru minutach mógł odkryć morderstwo i byłoby za późno. I znalazłem tę kartkę, spaloną zupełnie — w kominku, oczywiście.

Parker wstał.

— Tak... — powiedział cicho. — Myślałem o tym wszystkim... Myślałem o całych fragmentach tego... Chwilami byłem przekonany o tym samym, co ty. Ale nie miałem motywu! A ty znalazłeś motyw. Ale jak... jak udowodnimy jej to? To są poszlaki... To nawet jest pewne. Ty wiesz i ja wiem, że tak było. Ian też wiedział w ostatniej sekundzie swojego życia. Ale sąd? Jaki sąd

na świecie skaże ją na podstawie twojej hipotezy i nawet efektownych, jak to nazwie jej adwokat, wniosków? —
Podszedł do Alexa: — Joe, to straszne!

Alex wstał. Podszedł do drzwi i wyjrzał.

— Czy mogę zadać jedno pytanie panu Jonesowi?

— No chyba! Mów. Jones!

— Tak, szefie? — Jones pojawił się, jak gdyby wyrósł spod ziemi.

— Czy pani Sparrow schodziła w czasie naszej rozmowy w gabinecie? — zapytał Alex.

— Tak. Dzwoniła do Londynu, że nie przyjedzie na operację i żeby zrobił to jakiś inny doktor...

— Chodźmy... — powiedział Alex i pierwszy ruszył po schodach na górę. Przed drzwiami pokoju Lucy Sparrow zatrzymał się i nie pukając ostrożnie nacisnął klamkę.

Parker wszedł za nim i zatrzymał się przy drzwiach. Lucy Sparrow leżała ubrana na łóżku. Wyglądała, jak gdyby ogarnął ją sen. Dopiero kiedy Alex podszedł do niej i dotknął jej ręki, inspektor poruszył się. Ręka pięknej kobiety opadła bezwładnie, zwisając ku podłodze. Alex pochylił się.

— Cyjanek — powiedział cicho i wskazał drzwi, które prowadziły do pokoju Sparrowa.

Parker odwrócił się. Kominek był

otwarty. Leżała w nim kartka papieru, nie spalona: cała i nie zmięta nawet.

Chcę ci oszczędzić sądu, poniżenia i wzgardy ludzkiej — przeczytał. —

Dowody

są wystarczające i poślą cię tam, gdzie posłałaś Iana. Lucjo, bądź odważna, jeżeli byłaś okrutna.

Za chwilę wejdzie tu policja i nałożą ci kajdanki. Oszczędź tego mnie, którego kochałaś, nie pozwól, żebym widział cię na ławie oskarżonych, żebyś musiała mówić o nas, o mnie, o niej, o sobie... Harold Sparrow. — A jeśli nie on, to ktoś, kto napisał to w jego imieniu.

— Czy... czy to ty napisałeś? —

zapytał szeptem.

Alex bez słowa wziął go za rękę i wyprowadził z pokoju.

— Ta kartka napisana jest także na maszynie Sary Drummond — powiedział. — I wątpię, żebyś odnalazł jej autora. Wiem tylko, że musiał ją napisać chyba ktoś, kto dobrze wiedział, jak dumną osobą była Lucy Sparrow i jak kochała swojego męża. Skonfrontowana z nagą prawdą, z tym, że jest odkryta, nie zastanawiała się, jak ma się obronić i czy się obroni. Partia była przegrana. Odeszła.

— To musiał napisać także ktoś, kto bardzo kochał pamięć Iana i nie chciał, żeby jego życie prywatne było tematem

dla stu wścibskich reporterów sądowych... — powiedział Parker.

Zeszli na dół i zatrzymali się w sieni.

— Telefon do pana — powiedziała pyzata Kate Sanders, wynurzając się z cienia w korytarzyku.

— Do mnie?! — Alex otrząsnął się i podszedł do aparatu. — Halo?

— To ja — powiedział znajomy głos. — Jak się czujesz?

— Karolina?

— Tak.

— Skąd wzięłaś mój adres?

— Zadzwoiłam do twojego wydawcy. Siedzę sama nad morzem i trochę mi smutno. Pomyślałam, że

rozerwę się, jeżeli zadzwonię do ciebie.

— Jutro przyjeżdżam do Torquay — powiedział Alex. — Będę o dwunastej przed hotelem Excelsior.

— O, mój miły! — powiedziała Karolina i odwiesiła słuchawkę.

Alex wrócił do sieni. Przez oszklone okna widać było park w słońcu. Karolina. Dobra, spokojna, miła Karolina. Potrzebował jej teraz jak nigdy przedtem. Karolina: ład, cisza, życie bez krwi i zbrodni. Kochana, dobra Karolina.

Spojrzał na podjazd. Czarny jaguar przywiózł go wczoraj do tego domu. Wskoczyła wtedy z niego smukła dziewczyna i rzuciła się

na szyję Ianowi Drummondowi...
Wszystkie pachnidła Arabii...

— Jestem zmęczony — powiedział do Parkera. — Czy odwieziesz mnie do Londynu swoim samochodem?

— Oczywiście — inspektor położył mu rękę na ramieniu.

KONIEC